tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 16 (1267)
15-21.04.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

PO WYBORACH
GDZIE JESTEŚ, LEWICO?

BIEDA W PAŃSTWOWEJ
INSPEKCJI PRACY

POLACY
W SIECI INWIGILACJI

JOLANTA CZARTORYSKA
MOJA PROKURATURA

Co dalej z Ukrainą?

POUFNE NEGOCJACJE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
16 >
9 771509 311409

eprasa.pl cecf2a93f3

eprasa.pl cecf2a93f3

Jerzy Domański

Są w rządzie, ale po co

Choć będzie jeszcze dogrywka wyborów samorządowych, nie zmniejszy ona bólu głowy, jaki mają wyborcy o poglądach lewicowych. Kolejne wybory z jeszcze gorszym wynikiem potwierdzają, że przepaść między wyborcami a ich reprezentacją polityczną jest coraz głębsza. A gdyby nie grupa wyborców, którzy trzymają się zasady, że zawsze głosują na lewicę, rezultat byłby jeszcze gorszy. Co wcale nie znaczy, że po lewej stronie wszyscy są sfrustrowanymi pesymistami w podłym nastroju. Politycy lewicowi już nie myślą o klęsce. Najczęściej powtarzane przez liderów lewicy są słowa: jesteśmy w rządzie, rządzimy, będziemy rządzić. Oceniam skalę tego współrządzenia na kilkaset osób w kraju. Tłum wiceministrów poobsadzał znajomków w podległych instytucjach. Redakcja dostaje coraz więcej listów z opisami tego kumoterstwa w spółkach skarbu państwa, w mediach publicznych i rozmaitych agencjach. Przykro na to patrzeć.

Nie będziemy się przyglądać, jak ktoś szybciutko wchodzi w buty poprzedników. I robi dokładnie to samo co tamci. Po ośmiu latach rządów PiS z przystawkami trzeba do spodu rozliczyć tamtą złodziejską i w wielu miejscach niekompetentną ekipę – nie odpuścimy tego. Ale też niech nikt z obecnej władzy nie liczy na parasol ochronny i milczenie. Mamy więc, Drodzy Czytelnicy, taką sytuację, że jak w niczym nie zależeliśmy od poprzedniej władzy, a wręcz odwrotnie, utrącano nas na każdym kroku, tak i teraz niewiele się zmieni. Może poza otwartym zwalczaniem naszego tygodnika. Liderzy współrządzącej Nowej Lewicy uczciliby koniec PRZEGLĄDU. Na początek wprowadzili zapis na naszych dziennikarzy w rozmaitych programach TVP. Smutne to. I dobrze pokazuje mentalność tych politycznych przegrywów.

Pytacie, czy po zmianie władzy pojawią się na naszych łamach, choć śladowo, ogłoszenia dotyczące programów rządowych. Powinny, bo nie ma powodów, aby dyskryminować naszych czytelników. Jest nawet resort, który taką emisję zlecił. I co? Trudno uwierzyć, ale zatrzymał to wiceminister z partii Czarzastego.

Bez łaski. Obejdziemy się bez tego. Niezależność ma swoją cenę. Tylko pisanie prawdy może Polskę uwolnić od ludzi, którzy nigdy nie powinni trafić do ważnych urzędów. Po drugiej turze wyborów samorządowych planujemy dużą debatę o przyszłości lewicy w Polsce. Szykujcie więc pióra i klawiatury. Będziemy drukować Wasze opinie i propozycje. Będziemy pismem czytelników. Waszym organem.

Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl cecf2a93f3

W NUMERZE

KRAJ

8 **Po wyborach i co dalej**
Kto wygrał, kto w dół?

16 **Wielki Brat czuwa**
Polacy nielegalnie podsłuchiwani

20 **Osamotnieni pracownicy są skazani na klęskę**
Systemowa impotencja instytucji

22 **Jak Eskimos jabłka skupował**
Kolejna afera w rolnictwie

25 **Oswoić lęk**
Lekarze w Sejmie o aborcji

26 **Legenda kontra pewna przyszłość**
Małkowski znów prezydentem Olsztyna?

28 **Gminy przejmą zęby**
Gdy do dentysty na NFZ się nie da

ZAGRANICA

12 **Poufne negocjacje**
Jak się skończy wojna Rosji z Ukrainą

30 **Tykająca bomba**
Tiktokowe królestwo skrajnej prawicy

34 **Skuteczny jak Pellegrini**
Korespondencja z Bratysławy

OPINIE

38 **Agata Całkowska**
Pora na nowego dyrektora

KULTURA

40 **Garstka gra Czyżewską**
Monodram o polskiej Marilyn Monroe

42 **Czerniowce – mała ojczyzna**
– rozmowa z Marianne Hirsch i Leo Spitzerem

46 **Qulturalia**

66 **Czuj, czuj, odczuwaj**
Cracow Art Week

HISTORIA

47 **Do odważnej świat należy**
Prokurator Jolanta Czartoryska

OBSERWACJE

50 **Murale zaangażowane**

52 **Dziewuchy**
Marzenia, miłość i polska wieś

58 **Las od kuchni**
Wrzosowe piwo, herbata z igieł

ZWIERZĘTA

55 **Przeloty**
Ptasi przystanek Bug

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Są w rządzie, ale po co

11 **Jan Widacki**
Po wyborach samorządowych

19 **Andrzej Romanowski**
Bez złudzeń

33 **Roman Kurkiewicz**
Gdzie jest morderca Jolanty Brzeskiej?

37 **Tomasz Jastrun**
Wygrani przegrani

45 **Wojciech Kuczok**
Matka odchodzi

40
KULTURA

GARSTKA GRA CZYŻEWSKĄ
Monodram o polskiej Marilyn Monroe

50
OBSERWACJE

MURALE ZAANGAŻOWANE

55
ZWIERZĘTA

PRZELOTY
Ptasi przystanek Bug

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

Ustawa represyjna: wreszcie coś się ruszyło?

Milicja podlegająca władzy PZPR i policja podlegająca władzy PO-PiS to ten sam zły ustrój. Ale szeregowy milicjant czy policjant to w moim rozumieniu strażnik prawa i bezpieczeństwa publicznego. Ustawa dezubekizacyjna zarówno we wcześniejszym wydaniu PO, jak i późniejsza PiS była wredna, nieludzka. To jest jedna strona medalu. A druga – jako emerytowany górnik nie mogę się pogodzić z przelicznikiem 2,6. Rozumiem funkcjonariuszy narażających życie i zdrowie dla bezpieczeństwa innych, ta praca powinna mieć większy przelicznik niż 1,3. Praca górnika, też często wykonywana z narażeniem życia czy zdrowia przez pracujących bezpośrednio na wydobyciu, miała przelicznik 1,8. Reasumując, przelicznik emerytalny wyższy niż 1,3 powinien być stosowany przy pracy z bezpośrednim narażeniem życia i zdrowia. Komendant policji nie naraża życia i zdrowia w pracy (chyba że operuje granatnikiem), tak samo jak prokurator czy sędzia. Władza despotyczna dobrze karmi swoje psy, my chcemy władzy demokratycznej, więc służby bezpieczeństwa i obrony kraju traktujmy demokratycznie.

NAPRAWIĆ KRZYWDY

Ustawa represyjna: wreszcie coś się ruszyło?

Długa lista tragedii opisanych w białej księdze

Józef Brzozowski

•

Kierowany przez Donalda Tuska rząd PO nie lubił funkcjonariuszy służb mundurowych wywodzących się jeszcze z PRL tak samo jak rząd PiS. To Tusk rozpoczął zagrywkę finansową, bo potrzebował sukcesu politycznego. I politycznie to działało dobrze, bo w końcu „zabierano tym, którzy nas gnębili". Nikt nikogo nie gnębił, bo ci funkcjonariusze znakomicie wykonywali swoją robotę. To dzięki nim w latach 90. rozbijano grupy przestępcze. Skoro rząd PO mógł zabrać część renty czy emerytury, to PiS poszło na całość. Zabrało, ile się dało, a jeszcze wyrzuciło ze służby prawie 4 tys. oficerów, którzy dostali stopień w PRL. Pozbyto się znakomitej kadry, a teraz PO krzyczy, że jest źle, bo PiS rozwaliło służby. Dzisiaj nowa władza niczego wielkiego nie będzie robić, bo naprawianie własnych błędów nie jest w naszym stylu.

Andrzej Kościański

Ukraiński poligon

UKRAIŃSKI POLIGON

Ogromne problemy Polskiej Grupy Zbrojeniowej

Nie musimy szykować się do wojny, chyba że wejdziemy w nią nie na własne życzenie lub na rozkazy anglosaskich przyjaciół i wielkich korporacji. Rosja nie jest zainteresowana wojną z nami. Wojna dla nas to hekatomba, bo faktycznie nie jesteśmy do niej gotowi. Uważam, że podkręcanie wojennej atmosfery jest barbarzyństwem. U nas wojna z Rosją to wojna totalna, czyli z użyciem atomu. Zastanawiam się, czy ktoś zwariował, żeby nie określić tego mocniej.

Rafał Gonicki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Debata nad projektami ustaw aborcyjnych w Sejmie. Wicemarszałkini Monika Wielichowska (Koalicja Obywatelska) i poseł Dariusz Matecki (Suwerenna Polska). 11 kwietnia 2024 r.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl cecf2a93f3

W ciągu ostatniego roku zadłużenie Polaków wzrosło o 2,8 mld zł i wynosi już 45 mld zł. **Do Krajowego Rejestru Długów wpisanych jest już prawie 2,3 mln osób.**

•

Premier Tusk oświadczył, że **Polska nie zgodzi się na mechanizm relokacji imigrantów**. I że z całą pewnością ten mechanizm Polski nie będzie dotyczył.

•

Najpopularniejszymi polskimi autorami w 2023 r. byli: **Remigiusz Mróz**, Henryk Sienkiewicz, Katarzyna Bonda, Andrzej Sapkowski, Adam Mickiewicz, Olga Tokarczuk, Władysław Reymont, Joanna Chmielewska, Bolesław Prus i Jakub Żulczyk. Wśród zagranicznych najpopularniejsi są: **Stephen King**, Harlan Coben, J.K. Rowling, Agatha Christie, Joseph Murphy i Paula Hawkins.

•

Nie żyje Zofia Kucówna (90 lat), wybitna aktorka teatralna, filmowa i kabaretowa. Związana była m.in. z teatrami Narodowym, Powszechnym, Ateneum i Teatrem Telewizji.

•

Założona w Szwajcarii spółka **Orlen Trading straciła 1,6 mld zł** przedpłat za dostawy ropy naftowej i paliw. Nie ma dostaw i nie ma miliarda i sześciuset milionów złotych. Jest tylko były prezes Orlenu Daniel Obajtek.

•

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odwołał prof. Jana Żaryna z funkcji dyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. **Zastąpi go prof. Adam Leszczyński,** znany naszym czytelnikom autor „Ludowej historii Polski", historyk i socjolog, wykładowca Uniwersytetu SWPS.

•

Rodzice dzieci w wieku od 12. do 35. miesiąca od 1 października będą mogli skorzystać z jednego z trzech programów: „Aktywni rodzice w pracy", „Aktywni rodzice w żłobku" lub „Aktywnie w domu".

•

W Polsce jest **380 tys. dzieci ukraińskich w wieku szkolnym**. Świadczenia 800+ pobiera 210 tys. dzieci. Co miesiąc wypłaca się im 168 mln zł.

•

W 2023 r. przeszczepiono w Polsce 977 nerek od osób zmarłych i 97 od żyjących dawców.

•

W 2023 r. wystawiono ponad **200 tys. recept na medyczną marihuanę** dla 100 tys. Polaków. Wypalono jej ponad 4,6 tony.

•

Karę śmierci można wykonywać w 55 państwach na świecie, choć w 23 nie było takiego przypadku od ponad 10 lat. Najwięcej egzekucji jest w Chinach (brak oficjalnych danych, szacuje się, że ponad 1 tys. rocznie) i w Iranie (576). W USA w 2023 r. przeprowadzono 24 egzekucje.

•

Po 31 latach produkcji koncern **Levi Strauss zamyka zakład w Płocku**. Pracę straci ok. 700 osób.

•

Portal Drony.pl uruchomiony przez Krajowy System Informacji Dronowej pozwoli na zgłaszanie lotów, sprawdzanie aktualnych przepisów i rejestrowanie bezpilotowców.

PRZEBŁYSKI

Los RUCH-u SA w rękach ministra Budki

Za kilkanaście dni, a konkretnie 1 maja, kupujących prasę czeka kolejna katastrofa. Znany wszystkim Ruch SA przestanie świadczyć swoje tradycyjne usługi.

Kupiony przez Orlen Daniela Obajtka Ruch miał zarządy jak z koszmarnego snu. Jakby w planie było zaoranie tej firmy. Prawie się udało, ale są jeszcze w Ruchu ludzie znający się na kolportażu. Trzeba ich tylko wyzwolić z pisowskiej niewoli. Czekanie na decyzje Ireneusza Fąfary, nowego prezesa Orlenu, paraliżuje działanie Ruchu. I wprost prowadzi do katastrofy. Może ją zatrzymać minister Borys Budka, który sprawuje nadzór właścicielski nad Orlenem, czyli też Ruchem. Ministrze, nie bądź grabarzem tej firmy. Czytelnicy prasy by ci tego nie darowali.

Donosik Biedronia

Odezwał się samozwańczy, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało, reprezentant kobiet. Robert Biedroń, współlider Nowej Lewicy, a prywatnie kolekcjoner mieszkań, które kupuje na wynajem. Tak rozwiązuje problemy mieszkaniowe młodych Polaków. I Polek. W gazecie dla czytających powoli Biedroń poskarżył się, że „rząd za mało robi w sprawach kobiet". No faktycznie, szału nie ma. A dlaczego? Biedroń nie musi daleko szukać. W rządzie są lewicowe ministry: Katarzyna Kotula (ds. równości) i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (rodziny, pracy i polityki społecznej). I choć praktycznie wszyscy z tego klubu poselskiego są już w rządzie, to według Biedronia „za mało jest konkretów, które dowozi rząd". Brzmi to marnie. Jak donosik na własne koleżanki.

Seks w Collegium Humanum

Afera w Collegium Humanum, w którym setki ludzi zdobyło papiery pozwalające im na zasiadanie w radach nadzorczych spółek skarbu państwa, może mieć jeszcze inne paskudne oblicze. Docierają do nas plotki, że bardzo aktywna była tam mocno ustosunkowana grupa homoseksualistów. Takich, którzy wiele znaczyli i w Collegium Humanum, i w świecie polityki, zarówno tych z obecnej opozycji, jak i z dzisiejszej władzy, ale też hierarchów kościelnych. Mieli otwarty dostęp do studentów. I korzystali z władzy.

Kiedyś była afera z homoseksualistami polującymi na chłopców, którzy błąkali się po warszawskim Dworcu Centralnym. Były fakty, ale gdzieś się rozmyły. Może teraz będzie inaczej? Śledztwo CBA trwa.

Niespotykanie spokojny prezes

Z jakichś (taki żarcik) powodów tygodnik „Sieci" nie żałował miejsca na wynurzenia Marcina Zarzeckiego, prezesa, a od końca lutego eksprezesa Polskiej Fundacji Narodowej. Zarzecki ewidentnie marnuje swoje talenty. Jako bajkopisarz miałby zapewnionych wdzięcznych czytelników. Wierzących w sukcesy PFN. Według Zarzeckiego są one niesamowicie bogate. I to wszystko bez publicznych dotacji i subwencji. Na czterech stronach tygodnika Zarzecki nie powiedział ani słowa, skąd miał kasę. Pełna amnezja. Przypominamy więc jemu i Jackowi Karnowskiemu, że PFN założono za rządów premier Szydło, w 2017 r. 17 spółek skarbu państwa (m.in. Orlen, PGNiG, PKO BP, KGHM, PKP, PZU, PWPW, a nawet Polska Grupa Zbrojeniowa) wybuliło na początek 100 mln zł. A później kolejne. Zarzecki mówi: „Jestem spokojny o wyniki kontroli". My też!

FOT. YOU TUBE, X.COM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cecf2a93f3

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tylko połowa Polaków wzięła udział w wyborach samorządowych?

PROF. LECH SZCZEGÓŁA,
socjolog, Uniwersytet Zielonogórski

W oczach kilku milionów Polaków obecnych przy urnach 15 października wybory z 7 kwietnia nie miały tak wysokiej, powszechnie rozumianej stawki. Jesienią była ona szczególnie wysoka, oznaczała ryzyko trzeciej kadencji PiS i domknięcia systemu. Było to klarowne nawet dla wyborców chwiejnych i niezdecydowanych, którzy dominują w młodym pokoleniu. Tym razem rezultat interesował tylko klasę polityczną oraz twarde elektoraty, mające zinternalizowany obowiązek głosowania. Emocje opadły. Trudno, aby silnie mobilizowała je kwestia tego, kto będzie miał władzę w sejmiku i jak zmieni się układ sił w radach samorządowych. Młodsi, wciąż jeszcze życiowo mobilni wyborcy nie odczuwają znaczenia instytucji władzy lokalnej ani własnego z nimi związku. No i ta rajska pogoda...

DR MACIEJ SYCHOWIEC,
politolog, Uniwersytet SWPS

Jeśli porównamy wyniki z ostatnimi wyborami parlamentarnymi, możemy mieć poczucie, że wielu wyborców nie traktuje wyborów samorządowych jako tych, które mają jakąś szczególną rangę. Paradoksalnie podkreśla się zarazem, że samorządność to jest coś, co Polsce się udało po 1989 r. Wielu wyborców mogło żyć w przeświadczeniu, że pójście na wybory w październiku zeszłego roku załatwiło w pewien sposób sprawę. Teraz już nie trzeba się mobilizować i ponownie potwierdzać swoich racji. Innym zjawiskiem jest to, że wielu wyborców nie zna do końca swoich przedstawicieli lokalnych. Część kojarzy wyłącznie wójta czy burmistrza. W lokalach wyborczych można było zauważyć, że część ludzi nad kartami wyborczymi wyciągała telefony i szukała informacji o kandydatach. Za niską frekwencję odpowiadają też migracje. Ludzie zmieniają miejsce zamieszkania, ale niekoniecznie rejestrują się do wyborów w nowym miejscu.

PROF. JOLANTA ITRICH-DRABAREK,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Frekwencja wcale nie była taka mała. Pamiętajmy, że 2,5 mln Polaków przebywa za granicą, co oznacza, że nie brali udziału w wyborach samorządowych, ponieważ można w nich głosować tylko w kraju. To wpływa na frekwencję. Około 550 tys. osób za granicą brało udział w wyborach parlamentarnych. Teraz nie mogło. Można też odnieść wrażenie, że media nie są aż tak zainteresowane lokalnymi wyborami, ponieważ trudno je oszacować. Dlatego skupiają uwagę na wyborach do sejmików wojewódzkich, bo tam rolę odgrywają partie polityczne, co nijak się ma do samorządności. Część osób jest zaś zadowolona z tego, co je otacza. Chodzą ładnym chodnikiem, mają blisko na nowy plac zabaw. Takim osobom wydaje się, że to stan naturalny, że to się robi samo, i nie zastanawiają się nad tym, że mogłyby mieć wpływ na zachodzące w otoczeniu zmiany.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl cecf2a93f3

Lewica miała gorszy wynik niż pięć lat temu, bo ledwie 6,32% głosów do sejmików. Nz. wieczór wyborczy: Magdalena Biejat, Adrian Zandberg, Robert Biedroń, Włodzimierz Czarzasty i Dorota Olko.

Po wyborach i co dalej

Kto wygrał, kto w dół? Co zrobi Tusk? Gdzie jesteś, lewico?

Robert Walenciak

Czy wybory samorządowe zmieniły Polskę? Jeśli ktoś w ostatnim tygodniu był słuchaczem polskich mediów, nie tylko prawicowych, jeśli słuchał polityków PiS, to mógł odnieść wrażenie, że oto 7 kwietnia dokonała się wielka wiktoria Jarosława Kaczyńskiego. Świat się zmienił i już w najbliższej przyszłości PiS odzyska Polskę.

Tak mówił Kaczyński w wieczór wyborczy – że gdyby wybory parlamentarne były dziś, to PiS może miałoby większość w Sejmie. Tak mówił też jego przyboczny, europoseł Dominik Tarczyński. On z kolei daje obecnej koalicji pół roku, potem ma się rozpaść, a PiS wróci do władzy ze wzmożoną siłą. Owszem, to wszystko są marzenia i zaklęcia. Ale z czegoś wypływają.

•

Cofnijmy się o parę tygodni. Wówczas we wszystkich mediach dominował pogląd, że PiS się sypie, Kaczyński popadł w demencję starczą, wybory samorządowe przyniosą kres jego formacji. No, może uda się pisowcom obronić sejmik w województwie podkarpackim, może w lubelskim, i to wszystko. Za chwilę zobaczymy wielki finał tej formacji. Będzie mijanka? Tak dziennikarze zaczynali rozmowy z politykami i ekspertami. A ta mijanka oznaczała, że PO, sama PO, wyprzedzi PiS.

Jeśli ktoś w to uwierzył, miał prawo wieczorem 7 kwietnia czuć się jak po nokaucie. Ale nie ma sensu mu współczuć – to jego problem, że uwierzył.

Układ sił, jak pokazały wybory, niewiele się zmienił. PiS nie upadło, Platforma go nie zmiażdżyła, wszystko pozostało bez zmian, może poza tym, że Lewica dostała gorszy wynik niż pięć lat temu, bo ledwie 6,32% głosów do sejmików. Ale to także nie jest wielką niespodzianką, o jej marnych perspektywach pisaliśmy już na początku lutego, gdy Tusk zdecydował, że nie pójdzie z nią w koalicji do wyborów.

No dobrze, ale pogląd, że wybory samorządowe będą klęską PiS, skądś się wziął, na jakichś przesłankach, choćby wątłych, został zbudowany. Łatwo je wskazać. Rzeczywiście po oddaniu władzy PiS szalało, a Kaczyński się miotał, czego apogeum była sprawa Kamińskiego i Wąsika. Wówczas notowania tej partii szły w dół, jej bezradność każdy widział.

Ale później na politycznej scenie zagrano inne przedstawienie. PiS się z niej wycofało, Kaczyński, Macierewicz, Morawiecki może nie zniknęli, ale ograniczyli swoją wcześniejszą nadaktywność. Wiemy

eprasa.pl cecf2a93f3

to z przeszłości – schowanie największych awanturników zawsze dobrze robiło PiS w kampanii wyborczej.

Gdy PiS usunęło się na dalszy plan, na scenę weszli rolnicy. Ostatnie tygodnie to ich bezustanne protesty. To ich Polacy widzieli w telewizji, dostrzegali też, że władza nie potrafi problemu rozwiązać, że kryzys trwa i trwa. W efekcie konflikt, coraz bardziej emocjonalny, zmobilizował wieś. To widać po frekwencji – wyborcy mieszkający na wsi byli 7 kwietnia bardziej zmobilizowani niż ci w miastach.

Miastowi najpierw przyznawali rację rolnikom, a potem zaczęli złościć się na rząd. Że nie jest sprawczy, tylko nieporadny i kluczy. Nieważne, że cała sprawa, związana z przywozem ukraińskich produktów rolnych do Polski, to efekt nieudolności ekipy PiS. Że to PiS nie dopilnowało interesów polskiego rolnictwa, ba, miesiącami oszukiwało producentów zbóż, zapewniając ich, że krzywda im się nie stanie, a ukraińskie zboże Polskę ominie. Ważne, że obecna ekipa sobie z tym nie radzi.

Jeżeli ukraińskie zboże i sytuacja rolników mobilizowały wyborców PiS, to koalicja rządząca nie miała na podorędziu nic, by mobilizować swoich. Główne straszaki, czyli Kaczyński i jego ludzie, zeszły na drugi plan. TVP Info, to pisowskie, zniknęło. Za to mogliśmy obserwować komisje śledcze. Ich członkowie zapowiadali, że rzucą polityków PiS na kolana, ale szybko się okazało, że nie rzucają, bo są nieprzygotowani do tych przesłuchań.

Mogliśmy również obserwować kłótnie wewnątrz koalicji. I to gorszące, gdy posłanka Żukowska, szefowa klubu Lewicy, pisała do marszałka Sejmu Szymona Hołowni: „Wyp…".

To wszystko budowało rozczarowujący obraz nowej władzy. Jako nieporadnej, nieradzącej sobie z problemami, zagubionej i coraz mocniej skłóconej. W ten sposób do wielkiej części wyborców Koalicji 15 Października wysłana została kartka z usprawiedliwieniem: po co iść do wyborów, skoro wiadomo, że PiS przegra? Po co iść, skoro najważniejsze zostało już zrobione, PiS nie rządzi? Po co, skoro ta koalicja nie porywa? No i nie poszli. Frekwencja spadła z 74% do 52%. Czyli w październiku do wyborów poszło 21 mln Polaków, 7 kwietnia – 15 mln, 6 mln mniej. PiS straciło 2,75 mln wyborców, Platforma 2,2 mln, Trzecia Droga ponad 1 mln.

•

Czy taki wynik to żółta kartka dla rządzących? Na pewno. Ale przecież chodzi o coś innego. Polityka ma dwa obszary, równie ważne – faktów i przekonań. I jeżeli w sferze faktów PiS się cofnęło, utraciło kolejne sejmiki, a w dużych miastach poniosło klęskę (spójrzmy na Warszawę, Gdańsk czy Szczecin), to w sferze przekonań odniosło wyborcze zwycięstwo.

Druga rzecz – polityka to także obszar przyszłych możliwości. Do wyborów dominowało przekonanie, że za chwilę Platforma domknie swoje zwycięstwo i nastanie ulubiony stan Tuska: nie ma z kim przegrać. Ale po wyborach wiemy, że tak nie jest. Ma z kim przegrać. Dla obecnej koalicji jest realna alternatywa. PiS ma swój twardy elektorat, który go nie opuścił. Bez sensu są więc różne rozłamy i odejścia, bo wyborcy PiS chcą PiS i niczego innego. To buduje pewność siebie pisowskich polityków. I Kaczyński już tak się zachowuje.

Zaraz po wyborach stwierdził, że „dzisiejszy sukces powinien być traktowany jako zachęta do zdecydowanego, energicznego działania, rozbudowy partii oraz tworzenia wielkiej koalicji, która będzie zwyciężała. Bo Polska musi być krajem, którym rządzą polscy patrioci, uczciwi ludzie". Kaczyński wie, że ta sytuacja wzmacnia go w obozie prawicy, buduje też ludzi PiS, którzy przecież pozostali w instytucjach państwowych. To do nich byli ministrowie rządu Morawieckiego piszą: „Wytrwajcie!".

A Tusk i jego koalicja? Premier w powyborczych tweetach mobilizował zwolenników, pisząc: „Wygraliśmy w miastach, odbijamy kolejne sejmiki, kto mówił, że będzie łatwo? Do roboty!". Ale czy te zaklęcia będą skuteczne? Czy mogą się stać platformerską narracją – że mamy kolejny sukces? Jeżeli, to tylko w grupach najbardziej Platformie oddanych. Bo na pewno nie w szerszym gronie. Dlatego Tusk rzucił inną zapowiedź: rekonstrukcji rządu na przełomie wiosny i lata, czyli po wyborach europejskich. To również niewiele.

Wybory, ich rezultat, a także kampania wyborcza uwidoczniły zatem słabości rządzącej koalicji, jej „choroby", które w przyszłości będą się nasilać. Przede wszystkim pokazały, że składa się ona z różnych sił, z różnymi programami i wielkimi ambicjami. To można było pomijać, odsuwać na dalszy plan, gdy układało się rząd. Ale w miarę rządzenia te różnice zaczynają wychodzić na wierzch. Poza tym koalicja nie tylko jest różna programowo, składa się nie tylko z wielu ambicjonerów, ale i z ludzi o często niewielkich umiejętnościach i niewielkiej wyobraźni. A to może prowadzić do wielkich kłopotów.

Gdy marszałek Hołownia odłożył na czas powyborczy debatę na temat projektów ustaw regulujących sprawę aborcji (odbyła się ona 11 kwietnia), wybuchła awantura. Lewicowe posłanki uznały to za obrazę i zdradę, Anna Maria Żukowska Hołownię nawyklinała i w gruncie rzeczy Lewica osiągnęła to, co chciała – uczyniła prawo do przerywania ciąży jednym z elementów kampanii. Czy było warto? Wyniku to jej nie podbiło, każdy przecież wie, że samorządy o aborcji nie decydują. Za to każdy woli, by reprezentowali go politycy zrównoważeni, potrafiący się zachować, rozumiejący mechanizmy państwa. Skoro powierzamy im cząstkę swojego losu, przyglądamy się im szczególnie uważnie. To dość banalna prawda, ale politycy (i polityczki) Lewicy, już nie tacy młodzi, zupełnie tego nie rozumieją. Są wciąż na etapie poglądu, że im kto głośniej krzyczy i jest bardziej zaangażowany, tym lepiej.

Wyborcy mieszkający na wsi byli 7 kwietnia bardziej zmobilizowani niż ci z miast.

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl cecf2a93f3

Na marginesie sporu o aborcję… Nie przyniósł on punktów Lewicy, kobiety i młodzież to grupa, w której absencja wyborcza była największa. Nie przyniósł punktów Trzeciej Drodze, ataki na Hołownię na pewno jej zaszkodziły. I osłabił Platformę – pokazując ją jako partię niezdecydowaną, a samego Tuska jako osobę niepanującą nad swoją koalicją.

Tusk stoi więc przed poważnym problemem – przewodzi bowiem nie tylko swojej partii, Platformie, ale i koalicji. A jeżeli ta stanie się niesterowalna, będzie to rzeczywiście pierwszym krokiem do utraty poparcia i do przegranych wyborów. Jak temu zapobiec?

Ewidentnie widać, że Tusk próbuje coś z tym robić. I działa mniej więcej tak, jak Kaczyński działał wewnątrz swojej koalicji, mając do czynienia z ziobrystami i gowinowcami. Próbuje podcinać im skrzydła, trochę skłócać, trochę rozbijać i wchłaniać. Zresztą jest już na etapie wchłaniania Lewicy.

•

Można przyjąć tezę, że tę decyzję podjął już dużo wcześniej. 30 stycznia Tusk zadzwonił do Czarzastego i poinformował go, że PO pójdzie do wyborów sama, że nie chce koalicji wyborczej z Lewicą. Tym samym zostawił go na lodzie, skazując na pewną przegraną. Tak się stało. 6,32% poparcia to w skali kraju klęska, to mniej niż SLD i Wiosna każde z osobna. To również sygnał, że partia Czarzastego jest bytem homeopatycznym, bez struktur i wpływów. Wspomnienie po dawnych strukturach SLD to wyłącznie wspomnienie. Porażka Lewicy w wyborach, a wszystkie media o tym piszą i mówią, spycha tę partię do roli przystawki. I teraz pozostaje tylko pytanie, kiedy Tusk ją skonsumuje.

Tuskowi zresztą, co widać, nie chodzi o polityków Lewicy, bo oni zajmują komuś miejsca na listach wyborczych, co denerwuje aparat PO (który też chce być na listach), ale o wyborców. Lewica stoi więc dziś przed taką alternatywą: albo będzie szła do wyborów sama, a wtedy PO będzie wołać, by nie marnować głosu, i w ten sposób przejmie lewicowych wyborców, albo będzie próbowała zawrzeć z PO koalicję, ale jeśli coś takiego nawet nastąpi, to jedynie na warunkach Tuska. A ten ma jeszcze jedną możliwość – może Lewicę rozbić i część jej ludzi przejąć. To nie musi być trudne, trzy czwarte posłów Lewicy jest na posadach rządowych w roli sekretarzy stanu. Można w ciemno zakładać, że większość, gdyby stanęła przed wyborem: albo posada, albo Czarzasty, wybrałaby to pierwsze.

Czy to oznacza, że jest już po lewicy? Tak być nie musi. Elektorat lewicowy to przynajmniej 20% wyborców i rośnie. Mamy więc swoisty fenomen: elektorat lewicy się powiększa, a poparcie dla lewicowej partii spada. Dlaczego tak się dzieje, łatwo odpowiedzieć. Kłopot w tym, że partia Lewica jest tak skonstruowana, że jej szefowie są praktycznie nieodwoływalni, za to mogą zawiesić każdego członka ugrupowania, kiedy tylko zechcą. To jest de facto ich prywatna formacja, więc trudno przewidywać tu zmiany. Z drugiej strony PO nie jest partią lewicową i nawet nie chce nią być. Będzie zatem wielu wyborców, którzy woleliby mieć „swoją" partię, ale nie mają. Kto ich zagospodaruje?

Mamy swoisty fenomen: elektorat lewicy się powiększa, a poparcie dla lewicowej partii spada.

•

Odrzucając koalicję z Lewicą, Tusk kalkulował, że opłaca mu się upokorzyć Czarzastego, zepchnąć go do głębokiej defensywy. Pytanie, czy dobrze wyliczył cenę, którą przyszło mu za to zapłacić. Czy zepchnięcie Lewicy do głębokiej defensywy było warte odpuszczenia tych paru sejmików wojewódzkich? A przede wszystkim czy było warte dania PiS możliwości złapania oddechu?

To jasne, Tusk wolałby mieć słabe PiS. Ale mocne też nie musi być dla niego absolutnym złem. Te kilka miesięcy rządów koalicji pokazało bowiem, że obecny rząd nie jest naoliwioną machiną, że dziedziczy po PiS wiele patologii. A te błędy najłatwiej ukryć w bitewnej wrzawie. Gdy PiS u bram – łatwiej będzie mobilizować i aparat partyjny, i wyborców.

Można przypuszczać, że tą drogą, odświeżania nieustającej wojny PiS kontra PO, Tusk za chwilę energicznie pomaszeruje. Zwłaszcza że wybory europejskie stwarzają do tego idealną okazję. Kaczyński zresztą też w to wchodzi. W ostatnich wystąpieniach mówił, że PiS to patrioci, którzy chcą Polski wielkiej, liczącej się w świecie, a Platforma chce Polski skarlałej, uległej. Buduje zatem podział patrioci kontra targowica.

Kaczyński wie, że mocno zarysowane podziały w polskiej polityce przynoszą dobre rezultaty. Tak było z podziałem na Polskę postkomunistyczną i postsolidarnościową, czyli wojnę SLD-AWS. Tak było z podziałem na Polskę liberalną i solidarną, który został ogłoszony w wyborach 2005 r. I tak było z kwestią Smoleńska – w to, że w prezydenckim samolocie była bomba, wierzy 29% Polaków! Teraz tę listę podziałów prezes uzupełnia nową ofertą. Wielka Polska kontra targowica.

Ale Tusk ma na to ripostę. Już ją słychać. To propozycja podziału Polski na tych, którzy chcą iść w stronę Zachodu, i na tych, którzy tam iść nie chcą, de facto wybierając Wschód. Na tych, którzy chcą silnej Polski w Unii Europejskiej, w Europie, i na tych, którzy chcą polexitu. Na zachodniaków i swojaków.

Dla Tuska taki plebiscyt jest atrakcyjny – bo większość Polaków (choć i to się zmienia) wciąż woli patrzeć na Zachód, nie chce polexitu. Ten podział, ze względu na przeszłość i kompetencje szefa Platformy, właśnie jego czyni naturalnym liderem szerokiego proeuropejskiego obozu. Spychając Hołownię gdzieś dalej, o Czarzastym i Biedroniu już nie mówiąc. Pozwalając tuszować bieżące problemy.

Taka wojna wpycha w ręce Tuska więcej władzy, a opinię publiczną poddaje patriotycznemu szantażowi. Że kto przeciw PO, ten przeciwko Polsce w Europie. Polityka też tak wygląda – im bardziej jest skomplikowana, tym prostszych sposobów się chwyta.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Z Galicji

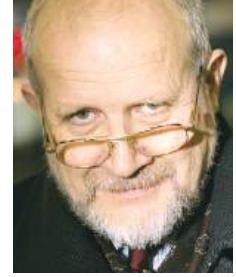

Jan Widacki

Po wyborach samorządowych

Wynik wyborów samorządowych, mam nadzieję, zmusi do przemyśleń członków koalicji rządzącej. Wybory te pokazały kilka prawd. Po pierwsze, PiS ciągle żyje, wciąż popierane jest przez mniej więcej jedną trzecią społeczeństwa. Poparcie dla niego nie spadło mimo ujawniania kolejnych afer, mimo zamilknięcia głównych, jak się wydawało, tub propagandowych tej partii w postaci TVP czy TVP Info. Ostre rozliczenia i towarzysząca im kampania medialna nie przyniosły żadnego efektu. Zapewne jedynie scementowały elektorat tej partii. PiS nie tylko żyje – ma się dobrze, dyszy żądzą zemsty. Jak tylko uda mu się wrócić do władzy, to dopiero pokaże, jak mogą wyglądać rozliczenia. Jak w imię słuszności można nie zważać na prawo. Przejmować na powrót telewizję, sądy i prokuraturę. To zagrożenie realne. I liderzy wszystkich ugrupowań rządzącej koalicji muszą się z tym liczyć. Powtarzam po raz setny: nie PiS jest nieszczęściem Polski. Nieszczęściem jest to, że jedna trzecia Polaków myśli tak jak PiS. Kto ma pomysł, co zrobić, aby myślała inaczej? Platforma skażona grzechem pierworodnym arogancji zobaczyła, że sama z PiS przegrywa! Potrzebuje koalicjantów! A skoro potrzebuje, nie może ich traktować protekcjonalnie. Trzecia Droga też chyba już widzi, że jej górny pułap to kilkunastoprocentowe najwyżej poparcie. Sama nic nie zdziała, musi szukać silniejszego sojusznika.

A Lewica? Jej wynik w wyborach samorządowych okazał się gorszy niż w wyborach parlamentarnych. Marne poparcie rzędu 6% nie jest wynikiem jakiegoś szatańskiego spisku, ale ma jak najbardziej rzeczywiste przyczyny. Obowiązkiem liderów jest ich zidentyfikowanie. Nie ma co się pocieszać: „a Magdalena Biejat osiągnęła w Warszawie dobry wynik". Dobry? Lepszy niż cała Lewica w Polsce. Ale to świadczy nie o dobrym wyniku pani Magdaleny, tylko o fatalnym Lewicy. Ten „dobry wynik" to kilkanaście procent głosów w wyborach na prezydenta Warszawy, w których Rafał Trzaskowski uzyskał ponad trzy razy większe poparcie i wygrał wybory od razu w pierwszej turze. Z całą sympatią do kandydatki Lewicy na urząd prezydenta Warszawy to taki sukces jak sukces pewnego skauta, który spóźnił się na pociąg, ale na szczęście zaledwie o trzy minuty. Nie okłamujmy się. Pani Magdalenie Biejat należą się gratulacje, że osiągnęła wynik ponaddwukrotnie wyższy niż jej ugrupowanie. Jak już, to jej sukces, a nie sukces Lewicy. Czym więc Lewica się chwali?

A wydawać by się mogło, że Lewica, wierna swemu przesłaniu, w wyborach samorządowych miała wiele do ugrania. To w wyborach do samorządu mogła pokazać, że stoi na straży interesów zwykłych ludzi. Tych, którzy na co dzień nie myślą o zwycięstwie jakiejś ideologii, o sprawach dla nich abstrakcyjnych, nawet takich jak praworządność, Trybunał Konstytucyjny czy odpowiedzialność konstytucyjna prominentnych przedstawicieli odsuniętej od władzy prawicy. To w wyborach samorządowych jest okazja upomnieć się o zbudowanie żłobka czy przedszkola, remont szkoły, usprawnienie transportu publicznego, ułatwienie dostępu do edukacji i do lekarza. Tymczasem można odnieść wrażenie, że dla Lewicy przed wyborami najważniejsza była zmiana definicji gwałtu w Kodeksie karnym. Ważniejsza niż odkręcenie Ziobrowej nowelizacji prawa karnego, która cofnęła nas cywilizacyjnie o 150 lat.

Nie PiS jest nieszczęściem Polski. Nieszczęściem jest to, że jedna trzecia Polaków myśli tak jak PiS.

A ta awantura o sejmową debatę nad ustawą o liberalizacji prawa dopuszczającego przerwanie ciąży, którą marszałek Hołownia przesunął o niecały miesiąc? Czy upieranie się przy terminie o ten niecały miesiąc wcześniejszym warte było awantury wewnątrz koalicji, i to tuż przed wyborami? Nie można było powstrzymać histerii i, co tu dużo mówić, chamstwa? A wszystko w sytuacji, kiedy i tak wiadomo, że ustawa liberalizująca przepisy dopuszczające przerwanie ciąży nie może wejść w życie, dopóki prezydentem jest Andrzej Duda! Ta niepotrzebna awantura miała, zdaje się, pokazać odrębność Lewicy od reszty koalicji. Jeśli tak, to zdecydowanie nie wyszło. To znaczy odrębność pokazała, ale ze stratą dla Lewicy. Przy okazji mocno zazgrzytało w koalicji. Warto było? A wsparcie przez prominentną posłankę partii Razem w wyborach prezydenta Krakowa Łukasza Gibały? Co wspólnego ma Lewica z Gibałą? Jej zwolennicy w Krakowie byli albo zniesmaczeni, albo zupełnie zdezorientowani. Głosów Lewicy na pewno to nie przysporzyło.

Ma o czym myśleć Donald Tusk, ma o czym myśleć Włodzimierz Czarzasty. Tylko Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz mogą spać w miarę spokojnie. Do czasu. Chciałoby się przytoczyć słowa Księdza Biskupa. Nie Jędraszewskiego. Krasickiego!: „Chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie! Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

JAK SIĘ SKOŃCZY TA WOJNA

POUFNE NEGOCJACJE

Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego USA Jake Sullivan i sekretarz stanu Antony Blinken rozmawiają z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim podczas Forum Ekonomicznego w Davos w styczniu 2024 r.

Jakub Dymek

Czy ta wojna zakończy się rozejmem, czy rozstrzygnie na polu bitwy? To pytanie pojawiło się w globalnej debacie, ledwie rosyjskie rakiety przecięły ukraińskie niebo 24 lutego 2022 r. Szybko też podzieliło świat na dwa obozy. Można nazywać przedstawicieli tych dwóch stronnictw realistami i idealistami, zwolennikami interwencjonizmu i polityki powściągliwości albo jastrzębiami i gołębiami pomocy Ukrainie – nazwy są jednak drugorzędne. Istotna była treść tego sporu. A eksperci, analityczki czy dziennikarze i emerytowani dyplomaci spierali się publicznie o to, o czym za zamkniętymi drzwiami politycy musieli rozmawiać brutalnie szczerze. Czyli: co będzie potem?

To „potem" zdaje się zbliżać coraz szybciej. Słyszymy bowiem kolejne doniesienia, że rozmowy na wysokim szczeblu między USA i Rosją nie tyle nadejdą, ile już trwają. Mamy przed sobą przecież amerykańskie wybory prezydenckie. W Europie prezydent Emmanuel Macron, a za nim inni przywódcy sugerują głębsze zaangażowanie w konflikt lub przejęcie odpowiedzialności po ewentualnym wstrzymaniu pomocy przez Amerykanów. Z kolei Polacy, Estończycy bądź Czesi boją się amerykańskiej odwilży w stosunkach z Moskwą, więc tym bardziej widzą w rozmowach zagrożenie. Jednocześnie do powszechnej świadomości przebija się fakt, że sankcje nie zaszkodziły Rosji tak, jak mieli nadzieję ich autorzy. Dysproporcja w zapasach amunicji między walczącymi stronami działa na niekorzyść Ukrainy. A Rosja – wykorzystując pomyślne okoliczności – prędzej rozpocznie kolejną ofensywę, niż się wycofa. Portal Politico – nie po raz pierwszy – donosi, że europejscy politycy w rozmowach *off the record* mówią o koniecznych negocjacjach i ustępstwach wobec Putina, o których nie ma mowy publicznie.

W jakim więc momencie jesteśmy i w co grają teraz światowe mocarstwa?

Realiści i idealiści, jastrzębie i gołębie

Przez pierwsze kilkanaście miesięcy wydawać się mogło, że zwolennicy tezy o konieczności „totalnej porażki Rosji" i przeciwnicy dyplomacji są górą. Pomoc Ukrainie zjednoczyła przywódców państw Zachodu i stała się źródłem „wielkiej

eprasa.pl cecf2a93f3

narracji" dla liderów i partii tak różnych jak amerykańscy demokraci, torysi w Wielkiej Brytanii oraz Prawo i Sprawiedliwość w Polsce. Triumfował urzędowy optymizm. A fakt, że Ukraina nie upadła, dostarczał argumentów za tym, by dalej ją zbroić. W świetle doniesień o zbrodniach i atakach na cele cywilne wezwania do zakończenia wojny przy stole negocjacyjnym jawiły się jako legitymizowanie agresji i kapitulanctwo.

Amerykańscy autorzy snuli wizje rozpadu Rosji i zagłodzenia rosyjskiego niedźwiedzia za pomocą sankcji. Przywódcy Polski, Estonii czy Finlandii nie bali się wygłaszać bojowych deklaracji – przynajmniej tak długo, jak amerykańska pomoc zbrojeniowa płynęła do Ukrainy szerokim strumieniem. Minister spraw zagranicznych Czech ogłaszał jeszcze latem 2023 r., że „zbliżają się jego wakacje na Krymie". Sugerował tym, że rosyjska porażka jest nieuchronna i okupowany półwysep już wkrótce wróci pod ukraińską kontrolę i powita zachodnich turystów.

Argumenty drugiej strony nie nabierały aż takiego rozgłosu ani nie miały aury moralnej jednoznaczności. Powątpiewania w ukraiński triumf militarny ginęły w chórze okrzyków zagrzewających do boju. Dodajmy: tym bardziej w Polsce, gdzie niedopuszczanie do głosu podobnych stanowisk zostało uznane nieomal za rację stanu. Opinia publiczna w naszym kraju była więc podwójnie oddzielona od toczącej się mimo wszystko – w think tankach i na łamach pism w rodzaju „Foreign Affairs" czy „The Atlantic" – debaty. Czytelnicy PRZEGLĄDU mogą jednak znać argumenty realistów i zwolenników polityki powściągliwości z przekładów publikowanych przez Piotra Kimlę czy wywiadów choćby z wybitnymi przedstawicielami tego środowiska, takimi jak Stephen Wertheim czy Samuel Moyn.

W skrócie zatem i dla przypomnienia: uważają oni, że jakaś formuła dyplomatycznego układu przewidująca wycofanie rosyjskich wojsk, odstąpienie od planu akcesji Ukrainy do NATO i zawarcie międzynarodowej umowy regulującej status ziem okupowanych jest konieczna do zakończenia wojny i uniknięcia tzw. scenariusza koreańskiego, który oznaczałby zamrożenie konfliktu na terenie Ukrainy (a więc siłową rewizję jej granic de facto, nawet jeśli nie de iure). Oceniają też, że dalsza walka nie polepszy, lecz pogorszy pozycję negocjacyjną Ukrainy.

Rozmowy na wysokim szczeblu między USA i Rosją nie tyle nadejdą, ile już trwają.

Ostatecznie więc może się okazać, że Kijów z pomocą Zachodu walczy w krwawej i wyniszczającej wojnie, kosztującej życie setek tysięcy osób, tylko po to, by zgodzić się na warunki gorsze niż te, które USA i NATO odrzuciły w 2022 r.

Od inwazji Putina minęły ponad dwa lata i waga tych dwóch stanowisk się zmieniła. Dziś głosy wierzących w militarne zwycięstwo Ukrainy osłabły, a presja na rozwiązanie dyplomatyczne rośnie. Dlaczego?

Dziś głosy wierzących w militarne zwycięstwo Ukrainy osłabły, a presja na rozwiązanie dyplomatyczne rośnie.

Dlaczego teraz?

Kwestia negocjacji czy dyplomatycznego wpływu staje się tematem pilnym z co najmniej dwóch powodów. Pierwszy dotyczy przestrzeni militarnej, drugi – polityki wyborczej. Na początku kwietnia światowy rozgłos zyskały słowa doświadczonego urzędnika i dyplomaty Kurta Campbella, świeżo powołanego na stanowisko zastępcy sekretarza stanu w administracji Bidena. Campbell na spotkaniu prestiżowego think tanku CNAS (Center for a New American Security) powiedział, że „z obserwacji poczynionych w ostatnich kilku miesiącach wynika, iż Rosja w stopniu niemal kompletnym odtworzyła swoją armię". I dodał, że to zasługa wsparcia handlowego i technologicznego z Chin.

Tezy Campbella były rzecz jasna krytykowane i podawane w wątpliwość. Jego szacunki podważali blogerzy militarni, twierdzący, że Rosja odbudowuje się na papierze i sięga po stary sprzęt. Mało kto jednak zaprzecza temu, że przestawiona na wojenne tory rosyjska produkcja przemysłowa dostarcza swojej armii pocisków i broni szybciej, niż sojusznicy Ukrainy są w stanie wysłać uzbrojenie do Kijowa. O podobnych sprawach mówią już otwartym tekstem wojskowi nawet z Estonii i Polski – dodając zresztą, że odbudowana armia zdolna będzie toczyć wojnę nie tylko z Ukrainą, ale także z NATO na kontynencie europejskim. Nawet jeśli jest w tym element propagandowy – podkreślanie rosyjskiej siły, aby zmobilizować europejskie społeczeństwa i rządy do większych wydatków – i tak zwiększa presję na to, by negocjować.

Nie inaczej jest z sankcjami. „Bloomberg" pisze, że limit ceny na rosyjską ropę, który miał uderzyć w eksport rosyjskiego surowca i wpływy do budżetu Moskwy, nie działa. Sankcje miały utrzymać cenę ropy Ural poniżej 60 dol. za baryłkę. Tymczasem, powołując się na źródła rządowe i analityków rynkowych, „Bloomberg" donosi, że już w momencie odprawienia statku w bałtyckim albo czarnomorskim porcie

eprasa.pl cecf2a93f3

surowiec kosztuje 75 dol. A jeszcze więcej, co jasne, gdy dopływa do odbiorcy.

Analitycy z brytyjskiego Royal United Services Institute mówią już, że Rosja ma „gospodarkę kałasznikowa" – prostą, wytrzymałą, wydajną. Denis Wołkow, szef rosyjskiego ośrodka badań opinii społecznej Centrum Lewady, podkreśla w rozmowie z brytyjskim „Guardianem", że wojna przyczyniła się do wielkiego transferu finansowego do biednych obszarów i najuboższych klas społecznych, dając szybki awans i napędzając konsumpcję.

W tym samym czasie Ukraina ma problemy z pozyskiwaniem rekrutów. Przyznał to w kwietniowej rozmowie z Politico bliski doradca prezydenta Zełenskiego Andrij Jermak. Jak dodał, wymaga to specjalnego wysiłku po stronie prezydenta oraz przedstawicieli rządu. Ci więc jeżdżą z miejsca na miejsce, próbując zmobilizować niechętne poborowi społeczeństwo i przyszłych żołnierzy.

Czas gra rolę. I tu przechodzimy do politycznej presji na negocjacje. Prezydent Joe Biden zbliża się do końca pierwszej kadencji i nie wiadomo, czy uda mu się uzyskać reelekcję. Latem minionego roku pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE, że dopóki pomoc Ukrainie i rozwój konfliktu nie stoją na przeszkodzie jego reelekcji i nie narażają świata na III wojnę światową, Biden pozostanie na obecnym kursie. Ale sytuacja się zmieniła. Bidenowi wspieranie Ukrainy (a równocześnie Izraela) bardziej ciąży, niż pomaga. Im bliżej wyborów, tym presja na zakończenie choć jednego konfliktu będzie większa.

Po pierwsze, coraz więcej Amerykanów wierzy, że wspiera swoimi dolarami cudze wojny, do tego takie, których końca ani pozytywnego rezultatu nie widać. Jak pokazało lutowe badanie Ipsos, USA są w tej sprawie podzielone. Większość demokratów niechętnie patrzy na wsparcie dla Izraela, większość republikanów zaś – na pomoc Ukrainie. Sondaż zlecony przez promujący ograniczenie zaangażowania militarnego USA Quincy Institute prowadzi do nieco innych wniosków. W tym badaniu 71% amerykańskich wyborców odpowiedziało, że Waszyngton powinien zachęcać Ukrainę do jak najszybszych negocjacji, a 48% uważa, że dalsze wsparcie militarne musi być uzależnione od tego, czy Ukraina zobowiąże się do kroków dyplomatycznych.

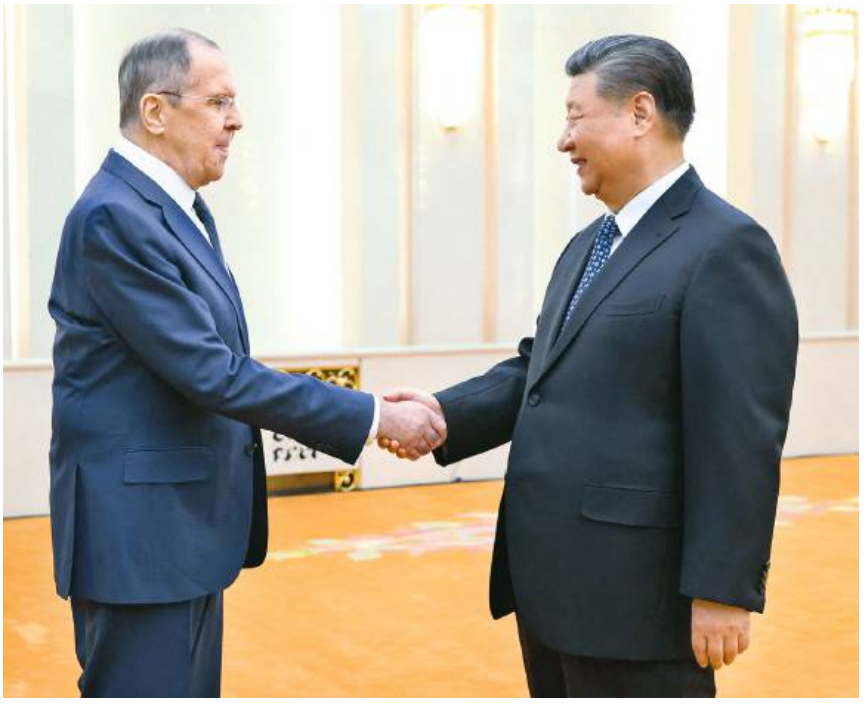

Zastępca sekretarza stanu Kurt Campbell zauważył, że w ostatnich miesiącach Rosja niemal kompletnie odtworzyła swoją armię, co jest zasługą Chin. Nz. minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow i przywódca Chin Xi Jinping na spotkaniu w Pekinie, 9 kwietnia 2024 r.

Do powszechnej świadomości przebija się fakt, że sankcje nie zaszkodziły Rosji tak, jak spodziewali się ich pomysłodawcy.

To prowadzi nas do punktu drugiego: Joe Biden obiecywał być prezydentem, który zakończy epokę „wiecznych wojen", nie chce więc kończyć kadencji jako ten, który uwikłał USA w więcej konfliktów, niż był w stanie rozwiązać.

Po trzecie, wśród demokratów panuje przekonanie, że jeśli do władzy dojdzie Trump, natychmiast zakończy wsparcie dla Ukrainy lub wprost „odda ją Rosji". Należy zatem dążyć do nawet odległego od ideału porozumienia, bo każde będzie lepsze niż to, co zaoferuje następca Bidena. Tak przynajmniej uważa amerykańska demokratyczna elita.

Tyle że teraz Putin może negocjować twardo i z pozycji siły, a czas gra na jego – nie USA i Ukrainy – korzyść. W dodatku uchodzący za największego w administracji Bidena specjalistę od Rosji dyrektor CIA i doświadczony dyplomata William Burns aktualnie zajmuje się negocjowaniem zawieszenia broni między Hamasem a Izraelem i wypuszczenia zakładników. Waszyngton ma zatem więcej niż jeden otwarty front, a i zbliżająca się kampania wyborcza wiele utrudni. Wszystko robi się więc jeszcze bardziej skomplikowane.

Jak rozmawiać?

„Choć nie ma przekonujących alternatyw, nic nie wskazuje, aby Rosja i Ukraina miały wkrótce podjąć negocjacje", piszą w marcowym eseju dla „Foreign Affairs" Samuel Charap i Jeremy Shapiro. Charap,

FOT. AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl cecf2a93f3

ekspert RAND Corporation, znany (i krytykowany) jest jako zwolennik porozumienia z Rosją i dyplomatycznej drogi rozwiązania konfliktu, więc jego ostrożność zasługuje na uwagę. „Obie strony wierzą, że dojście do zadowalającego porozumienia jest aktualnie niemożliwe, każda boi się, że ta druga nie zgodzi się na kompromis, albo wykorzysta każdą przerwę w walce do uzupełnienia zapasów i przygotowania do kolejnych działań zbrojnych", kontynuują autorzy tekstu.

Charap i Shapiro wymieniają wszystkie obiektywnie istniejące przeszkody na drodze do negocjacji. Na pierwszym miejscu brak zaufania do intencji drugiej strony – nie tylko walczących Ukrainy i Rosji, ale także stolic Zachodu wobec Moskwy i vice versa. Jednak – dodają autorzy – brak zaufania i długa lista wzajemnych pretensji towarzyszą każdej wojnie. A mimo to w przeszłości zwaśnionym stronom udawało się usiąść do stołu rozmów. Piszą też, że choć istnieją realne powody, aby nie negocjować, to koszt zaniechania będzie większy. Dla wszystkich, bo rosyjskie straty również są olbrzymie, a trwająca wojna destabilizuje sytuację na świecie na sposoby, których nie da się przewidzieć. Trzeba więc, nawet bez większych nadziei na prędki sukces, do negocjacji podejść, przekonują. Jednocześnie zaznaczają, by złagodzić obawy Kijowa, że negocjacje będą oznaczały koniec wsparcia, iż na czas rozmów konieczne może być nie tylko utrzymanie, ale wręcz zwiększenie pomocy militarnej.

Jak takie rozmowy miałyby wyglądać? Odpowiedź próbują przedstawić analitycy związani z Quincy Institute, George Beebee, czołowy analityk CIA ds. Rosji w czasach prezydenta George'a W. Busha, i Anatol Lieven, były korespondent w Europie Wschodniej i wykładowca King's College w Londynie. W opublikowanej w lutym 2024 r. analizie wychodzą z dwóch założeń. Pierwsze mówi, że nie da się załatać braków personelu ani zapobiec dalszemu drenowaniu zasobów ukraińskiego państwa inaczej niż poprzez bezpośrednie zaangażowanie zachodnich żołnierzy. To złe wieści dla Ukrainy. Drugie podpowiada, że Rosja może nie być zdolna do osiągnięcia swoich celów – odzyskania „historycznie rosyjskich ziem" i zablokowania natowskich ambicji Kijowa – za pomocą środków militarnych. To złe wieści dla Kremla. Jedno i drugie wskazuje na to, że powodów do negocjowania jest coraz więcej.

Dalsze walki będą pogarszać, a nie polepszać pozycję negocjacyjną Ukrainy.

Aby jednak negocjacje i wiarygodne porozumienie były możliwe, czołową rolę powinny odegrać Stany Zjednoczone, i to przede wszystkim od postawy Amerykanów zależy, czy wysiłki dyplomatyczne wystartują na dobre. Lieven i Beebee kreślą pięć zasadniczych warunków. Po pierwsze, wznowić pomoc militarną dla Kijowa. Inaczej Rosja będzie liczyła na łatwe zwycięstwo i nie podejmie negocjacji. Po drugie, otworzyć niejawne kanały dyplomatyczne z Moskwą i oprzeć się na zaufanych pośrednikach. Po trzecie, zasugerować za pomocą tych kanałów, że kwestia członkostwa Ukrainy w NATO jest na stole. Po czwarte, nawiązać kontakt z Chinami i krajami globalnego Południa, aby nie tylko uwiarygodnić wysiłki pokojowe przed zainteresowanymi stronami, ale także zakomunikować Rosji, że USA potrafią włączyć w rozmowy jej własnych sojuszników. Piąte i ostatnie: dostosować do nowych okoliczności język i publiczne komunikaty Waszyngtonu. Czyli powstrzymać się od podkreślania, że konflikt albo zostanie zakończony na polu bitwy, albo będzie trwał wiecznie.

Nic z powyższych faktów nie wskazuje, że dojście do porozumienia będzie łatwe. Ani że w wypadku wyborczej porażki administracja Bidena doprowadzi podobne starania do końca. Co więcej, to może być kolejna linia podziału między Europą a USA i między krajami naszego regionu a unijnym centrum. Debata ta toczy się jednak bardzo żywo, pomimo że w Polsce wciąż mało o tym słychać.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Wielki Brat czuwa

Nieważne, czy rządzi PiS, czy PO i PSL – polskie służby nadużywają prawa do inwigilacji obywateli

Andrzej Sikorski

Polacy emocjonują się aferą Pegasusa, ale żyją w nieświadomości, że są niezgodnie z prawem rozpracowywani przez służby „tradycyjnymi" metodami. I żadnej partii nie zależy na tym, by ukrócić ten skandaliczny proceder.

Te „tradycyjne" metody to m.in. podsłuchiwanie rozmów telefonicznych, kontrola korespondencji elektronicznej i listownej, udostępnianie przez operatorów danych telekomunikacyjnych – o lokalizacji telefonu, do kogo należy dany numer komórki oraz numer IP komputera, wykazów połączeń.

W sieci inwigilacji

Prawo do inwigilacji ma 12 służb: policja, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA, Krajowa Administracja Skarbowa, Służba Ochrony Państwa, Straż Graniczna, Żandarmeria Wojskowa, Agencja Wywiadu, Służba Wywiadu Wojskowego, Inspektorat Wewnętrzny Służby Więziennej.

Według doniesień „Gazety Wyborczej" Prokuratura Krajowa ma system Hermes, który służył do nielegalnej inwigilacji polityków, urzędników państwowych, sędziów i prokuratorów podejrzewanych o nielojalność wobec rządu PiS i Zbigniewa Ziobry.

Ale to nie wszystko. Z dokumentów ujawnionych przez Edwarda Snowdena wynika, że Polska bierze udział w dwóch programach amerykańskiej agencji wywiadowczej National Security Agency (NSA) – „Oakstar" i „Orangecrush" – przekazując USA nawet 3 mln metadanych dziennie. Nie wiadomo, czyje to dane ani kto i w jakich celach je wykorzystuje.

Zgodnie z oficjalnymi statystykami każdego roku podsłuchiwanych jest ok. 10 tys. osób. A przypadków, gdy służby sięgają po billingi – ok. 2 mln. Według organizacji pozarządowych liczby te są zaniżone.

Trybunał po stronie obywateli

W lipcu 2014 r. (rządziła wtedy koalicja PO-PSL, a premierem był Donald Tusk) Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok w sprawie siedmiu skarg złożonych przez rzecznik praw obywatelskich Irenę Lipowicz i prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta na przepisy o inwigilacji i o tzw. billingowaniu, czyli sięganiu po dane od teleoperatorów, które odbywa się bez żadnej kontroli. A są to informacje o połączeniach telefonicznych i o tym, w jakich stacjach logowały się komórki (BTS), co pozwala ustalić, gdzie były i z kim się kontaktowały rozpracowywane osoby.

> Polacy żyją w nieświadomości, że są niezgodnie z prawem rozpracowywani przez służby „tradycyjnymi" metodami.

TK orzekł częściową niekonstytucyjność przepisów inwigilacyjnych, stwierdzając jednocześnie, że trzeba:

- wprowadzić niezależną kontrolę udostępniania służbom danych telekomunikacyjnych (tzw. billingowania);
- zawiadamiać inwigilowanego po ostatecznym zamknięciu sprawy, że był inwigilowany;
- nakazać sądom określanie w zezwoleniu na inwigilację, jakie dane i jakiego rodzaju technikami można zbierać;
- wprowadzić maksymalny możliwy czas trwania kontroli operacyjnej;
- zagwarantować niezwłoczne, komisyjne i protokolarne niszczenie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

materiałów z inwigilacji zawierających tajemnice zawodowe (np. adwokacką czy dziennikarską), co do których sąd nie uchylił tajemnicy zawodowej;

• niezwłocznie niszczyć dane niemające znaczenia dla prowadzonego postępowania;

• doprecyzować, kiedy można inwigilować (w jakim celu, w jakim zakresie).

Trybunał Konstytucyjny dał rządowi PO-PSL 18 miesięcy na zmianę przepisów. Bartłomiej Sienkiewicz, który był ministrem spraw wewnętrznych, zapewnił, że rząd wywiąże się z nałożonego obowiązku. Jednak PO i PSL zignorowały wyrok.

PiS przykręca śrubę

Gdy PiS doszło do władzy w 2015 r., jedną z pierwszych decyzji była zmiana prawa inwigilacyjnego. Jednak nie według wytycznych Trybunału Konstytucyjnego, ale według własnego widzimisię. Zwiększono uprawnienia służb, które mogą m.in. pozyskiwać dane o obywatelach za pomocą stałych łączy internetowych, bez konieczności składania wniosków do dostawców usług telekomunikacyjnych. PiS zagwarantowało policji i innym służbom niekontrolowany i nielimitowany dostęp do gromadzonych przez operatora „informacji o rozpoczęciu, zakończeniu oraz zakresie każdorazowego korzystania z usługi świadczonej drogą elektroniczną", a więc informacji o tym, że dana osoba korzystała z mediów społecznościowych, poczty internetowej, wyszukiwarki itp. Służby mogą więc pozyskiwać informacje wrażliwe nie tylko wówczas, gdy jest to konieczne do wykrywania najpoważniejszych przestępstw, ale także, gdy jest to dla służb po prostu wygodne, np. do celów politycznych.

Tak też się stało. Gdy wyszło na jaw, że uczestnicy pokojowych demonstracji w obronie niezależności sądów (m.in. parlamentarzyści opozycji, a nawet młodzież, która spotkała się w jednej z warszawskich kawiarni ze Zbigniewem Hołdysem) byli inwigilowani przez policję, ówczesny szef MSWiA Joachim Brudziński bredził, że stróże prawa dbali w ten sposób o ich bezpieczeństwo. W policyjnej operacji o kryptonimie „Sejm" uczestniczyli m.in. funkcjonariusze z elitarnego Wydziału do walki z Cyberprzestępczością, śledząc w internecie wpisy osób uczestniczących w protestach, by się zorientować w ich planach. Tymczasem zgodnie z Ustawą o policji czynności operacyjno-rozpoznawcze można prowadzić tylko w celu rozpoznawania, zapobiegania i wykrywania przestępstw i wykroczeń, poszukiwania osób ukrywających się przed organami ścigania lub wymiarem sprawiedliwości, poszukiwania osób, które na skutek wystąpienia zdarzenia uniemożliwiającego ustalenie miejsca ich pobytu należy znaleźć w celu ochrony ich życia, zdrowia lub wolności.

Od wielu lat kolejni rzecznicy praw obywatelskich i organizacje broniące praw człowieka apelują do rządu i partii politycznych o zmianę procedur inwigilacyjnych. Stanowisko w tej sprawie zajęła Komisja Wenecka, która stwierdziła, że polskie służby mają zbyt szerokie uprawnienia do stosowania inwigilacji, a polskie prawo jest „niewystarczające, by zapobiegać nadużyciom i nieusprawiedliwionej ingerencji w prywatność". W podobnym tonie wypowiedział się Europejski Trybunał Praw Człowieka, do którego obywatele Polski kierowali skargi.

Prawo do inwigilacji ma 12 służb.

Adam Bodnar domaga się zmian

W 2019 r. pod auspicjami m.in. Adama Bodnara, wówczas RPO, radcy prawnego RPO Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz, Adama Rapackiego, generała policji w stanie spoczynku i byłego wiceministra spraw wewnętrznych i administracji, oraz Piotra Kładocznego z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka powstało opracowanie „Osiodłać Pegaza. Przestrzeganie praw obywatelskich w działalności służb specjalnych – założenia reformy".

Autorzy zaproponowali wprowadzenie zmian, które ucywilizowałyby stosowanie inwigilacji obywateli przez służby. Powinien np. powstać (podobnie jak to ma miejsce m.in. w Belgii, Danii, Holandii, Norwegii i Szwecji) niezależny organ, który prowadziłby nadzór nad działalnością policji i służb specjalnych. Taki urząd kontrolujący służby uprawnione do wykonywania czynności operacyjno-rozpoznawczych podlegałby Sejmowi, a jego członkowie objęci immunitetem byliby apolityczni, niezawiśli w wykonywaniu swoich zadań i niezależni od władzy wykonawczej. Urząd rozpatrywałby m.in. skargi obywateli na działania służb. W przypadku stwierdzenia naruszenia wolności lub praw człowieka i obywatela urząd wydawałby decyzję, która stanowiłaby podstawę do dochodzenia przez skarżącego odszkodowania.

Drugim, obok stworzenia niezależnego organu kontrolnego, filarem reformy ochrony prywatności jest przyznanie obywatelom prawa do informacji o tym, że byli inwigilowani. Jak wskazał Trybunał Konstytucyjny (w wyroku z lipca 2014 r.), obowiązek informacyjny „ma eliminować ryzyko niekontrolowanego tworzenia oraz utrzymywania zbiorów danych nieprzydatnych dla postępowań prowadzonych przez organy państwa, lecz potencjalnie wartościowych z punktu widzenia przyszłych, bliżej nieokreślonych czynności".

Autorzy opracowania postulują zniesienie przepisu art. 168a k.p.k. (wprowadzonego przez PiS w 2016 r.), który pozwala na wykorzystywanie w postępowaniu karnym dowodów zdobytych w sposób bezprawny, np. w wyniku nielegalnych podsłuchów.

Niezbędne jest też wprowadzenie realnej możliwości wglądu sądów wydających zgodę na inwigilację w całość informacji i materiałów, którymi dysponuje służba występująca z wnioskiem o rozpoczęcie czynności operacyjno-rozpoznawczych. Dotychczasowa praktyka pokazuje, że służby mogą skutecznie i bezkarnie manipulować sędziami w celu wyłudzenia zgody na prowadzenie

eprasa.pl cecf2a93f3

inwigilacji. Przyznał to Igor Tuleya, który jako sędzia pionu karnego w Sądzie Okręgowym w Warszawie orzekał w sprawach stosowania kontroli operacyjnej. Tuleya stwierdził, że „jest bardzo prawdopodobne", iż wydał zgodę na użycie Pegasusa, „nie mając świadomości, jaki system będzie wykorzystywany przez służby". Sędzia dodał, że czuje się wykorzystany, „wykorzystany został też wymiar sprawiedliwości" i „jest to nieczysta gra służb i instytucji państwowych, do których sądy, ale przede wszystkim obywatel powinni mieć zaufanie".

Jak stwierdzają autorzy „Osiodłać Pegaza", „obecnie procedury weryfikowania wniosków o zarządzenie kontroli operacyjnej nie przewidują realnej możliwości weryfikacji danych o całokształcie i kontekście sprawy, w której ma być zarządzona kontrola operacyjna. Zdarza się, że sędziowie wydający zarządzenia o zastosowaniu kontroli operacyjnej nie wiedzą, czy postępowanie, w którym ma być wprowadzona kontrola operacyjna, jest uzasadnione wiarygodnymi przesłankami, czy jego waga uzasadnia zastosowanie techniki operacyjnej, czy określenie osób objętych kontrolą jako NN (osoby niezidentyfikowane) jest uzasadnione, czy postępowanie toczy się w sprawie szczególnie wrażliwej społecznie lub politycznie – także w kontekście późniejszego ujawnienia przez prokuraturę danych wrażliwych dotyczących osób publicznych".

Podobne zalecenia jak autorzy opracowania wystosowała w marcu 2024 r. Najwyższa Izba Kontroli, która badała system nadzoru nad funkcjonowaniem służb specjalnych zajmujących się inwigilacją. Co prawda, szczegółowe ustalenia raportu NIK są niejawne, ale, jak zauważono, „obowiązujący w Polsce system nadzoru, koordynacji oraz kontroli działalności służb specjalnych jest nieskuteczny oraz nie odpowiada standardom obowiązującym w demokratycznych państwach prawa", nie gwarantuje też, że „będą przestrzegane obowiązujące przepisy prawa oraz respektowane prawa i wolności obywatelskie".

Historia zatoczyła koło. PO i PSL ponownie są u władzy, a Donald Tusk jest premierem. Były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar jako minister sprawiedliwości i prokurator generalny stał się twarzą dokonywanych przez Koalicję 15 Października zmian w wymiarze sprawiedliwości. Ciekawe, czy teraz, gdy ma realny wpływ na stanowienie prawa, przeprowadzi postulowaną przez siebie reformę, która ucywilizuje stosowanie inwigilacji przez służby i sprawi, że będą one respektowały konstytucję.

Andrzej Sikorski

Od lat rzecznicy praw obywatelskich i organizacje broniące praw człowieka apelują do rządu i partii politycznych o zmianę procedur inwigilacyjnych.

eprasa.pl cecf2a93f3

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Bez złudzeń

Cyryl, patriarcha moskiewski, mówi: prowadzimy świętą wojnę z globalizmem i Zachodem, który popadł w satanizm. Slavoj Žižek, słoweński marksista, twierdzi: Rosja jest zagrożeniem dla Zachodu większym niż Chiny. W Polsce ambasador Rosji, Siergiej Andriejew, odmawia udania się do naszego MSZ. Rosja przygotowuje wielką ofensywę, a Francja wzywa do wzmożenia pomocy dla Ukrainy. Europa na krawędzi wojny?

Dziś już wiemy: Rosja nie może zerwać ze swym imperializmem – wszak samo jej powstanie dokonało się niegdyś w drodze podbojów. Wiemy także, że Rosja nie może przestać się kreować na emanację całej Rusi – wszak nazwy „Ruś" i „Rosja" to synonimy, więc inne państwa ruskie, Białoruś i Ukraina, nie mają dla Rosji racji bytu. Wiemy więc też, że to właśnie w imię imperium i w imię „świętej Rusi" Rosja zdecydowała się podeptać nie tylko prawo narodów, lecz i własne zobowiązania. Przecież w memorandum budapeszteńskim z grudnia 1994 r. (trzeba to zawsze przypominać) Rosja zagwarantowała Ukrainie niepodległość i integralność terytorialną. Czy kiedyś będzie jeszcze można Rosji zaufać?

Cokolwiek jednak się stanie, konsekwencje nowej „brudnej wojny" są dla Rosji katastrofalne. To europejskie mocarstwo nie ma już polityki europejskiej – jej miejsce zajęła walka z „kolektywnym Zachodem", jak u Putina, i wojna z satanizmem, jak u Cyryla. A przecież Rosja to też Europa! I mogła być sojuszniczką Europy. W rozgrywce cywilizacji euroatlantyckiej z Chinami, Iranem czy nieobliczalną Koreą Północną Rosja powinna automatycznie sytuować się w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej, o której tak dziś lubi perorować. Mogła być z Europą, tak jak przed wiekami była z nią w zmaganiach z islamem. Dzisiaj nic z tego nie zostało – Rosja nie ma w Europie partnerów, bo mimo wszystko trudno za takich uznać Viktora Orbána i Roberta Ficę. Jak głęboka zaś jest rosyjska izolacja, o tym świadczy ewolucja prezydenta Emmanuela Macrona: dwa lata temu podtrzymywał kontakt z Putinem, teraz jest europejskim jastrzębiem, rozważającym wysłanie na Ukrainę wojsk NATO. A wydany przez Międzynarodowy Trybunał Karny nakaz aresztowania prezydenta Rosji? Takiego upokorzenia głowy państwa nikt dotąd nie mógł sobie wyobrazić.

Rozpad ZSRR był dla Rosji „największą katastrofą geopolityczną XX w.". W jego konsekwencji trzy republiki bałtyckie, Litwa, Łotwa i Estonia, odepchnęły Rosję od Bałtyku, po czym wstąpiły do NATO. Na nowo więc, jak w okresie międzywojennym, zamurowały rosyjskie „okno" na Bałtyk i świat. Ale jeszcze większą katastrofą stała się obecna wojna. Dokonało się przecież coś jeszcze bardziej dramatycznego: między dwoma państwami ruskimi – Rosją a Ukrainą – rozwarła się przepaść. A od lat neutralne Finlandia i Szwecja schroniły się pod parasol Paktu Północnoatlantyckiego. Wszyscy uciekają od Rosji. Bałtyk stał się faktycznie wewnętrznym jeziorem NATO. „Oknem na świat" wielkiej Rosji jest już tylko mikroskopijny okręg królewiecki.

Ale nie wolno triumfować: u boku Europy wyrósł wróg groźny i nie zawsze przewidywalny. Rosyjska retoryka wojenna, rosyjskie zbrodnie na Ukrainie i w samej Rosji zrywają raz za razem nici jakiegokolwiek kompromisu, wycofania się pół kroku, chwilowego choćby porozumienia. Jeśli Rosja, jako państwo ruskie, uzurpuje dziś sobie prawo do wszystkich państw ruskich, to kto zaręczy, że jako państwo słowiańskie nie zechce jutro zgłosić prawa do wszystkich państw słowiańskich? A w każdym razie – do Europy Środkowej, w której niemal pół wieku królowała? Europa naprawdę musi być przygotowana na wszystko. Fraza *Si vis pacem, para bellum* (Jeśli chcesz pokoju, gotuj się do wojny) rzadko była aż tak aktualna.

Relacje polsko-rosyjskie sięgnęły dna, ale właśnie dlatego nie wolno ich dodatkowo rozjątrzać.

A jednak! Po pokazie arogancji ambasadora Andriejewa wróciła w Polsce polityka godnościowa. I wróciła tam, gdzie byśmy najmniej się tego spodziewali. Bartosz T. Wieliński, od niedawna zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", napisał 27 marca o ambasadorze: „Zastanawiam się, co ten jegomość w naszym kraju robi. Nie musimy znosić impertynencji ze strony tego sługusa Putina. Po prostu won!". Sens tej wypowiedzi nie jest jasny: chodzi o uznanie Andriejewa za persona non grata czy o zerwanie stosunków dyplomatycznych? Relacje polsko-rosyjskie sięgnęły dna, ale właśnie dlatego nie wolno ich dodatkowo rozjątrzać. I mniejsza nawet o to, że Rosja to duży kraj, bo w przypadku każdego sąsiada przestrzegałbym przed takim językiem. Doprawdy, warto ważyć słowa. Oraz czuć za nie odpowiedzialność.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Osamotnieni pracownicy są skazani na klęskę

Kto skontroluje Państwową Inspekcję Pracy?

Maciej Mikołajczyk

Wytwórnia trumien w Nowym Tomyślu. Upał. 36-letni Wasyl Czornej, obywatel Ukrainy, źle się czuje. Grażyna F., właścicielka firmy, każe mu napić się wody i poleżeć na posadzce. Żeby się schłodził. Wasyl traci przytomność. Sergiej, inny Ukrainiec, próbuje reanimować rodaka. Domaga się wezwania karetki. Grażyna F. zabrania powiadamiania pogotowia. Przy pomocy Sergieja pakuje nieprzytomnego Wasyla do samochodu. Rozważa, czy zostawić go w lesie, czy na terenie sąsiedniej firmy. Po namyśle wybiera las.

Wasyla porzuca po przejechaniu 100 km. Dzień później ciało znajduje leśniczy. Do akcji wkraczają organa ścigania i Państwowa Inspekcja Pracy. Prokuratura oskarża Grażynę F. o nieudzielenie pomocy i nieumyślne spowodowanie śmierci. Inspektorzy PIP stwierdzają, że Wasyl strugał trumny bez umowy. Ustalają, że wymaganych przez przepisy umów nie mieli także pozostali pracownicy.

Prawda o przestrzeganiu prawa pracy w Polsce wychodzi na jaw w dramatycznych okolicznościach, bo instytucje odpowiedzialne za egzekwowanie przepisów cierpią na systemową impotencję.

Śmieciówek przybywa

Na straży uprawnień pracowniczych stoją związki zawodowe, sądy, Państwowa Inspekcja Pracy (PIP) oraz Rada Ochrony Pracy (ROP). Jeśli do tego dołożymy policję i prokuraturę, zestaw wygląda obiecująco. Wyłącznie z pozoru. Polacy są jedną z mniej uzwiązkowionych nacji w Europie, najliczniejsza Solidarność wykazuje aktywność niemal wyłącznie w państwowych firmach i spółkach skarbu państwa, na dodatek słusznie uważana jest za bojówkę prezesa Kaczyńskiego. Ponadto w ostatnich latach w sądach zlikwidowano kilkadziesiąt wydziałów pracy i ubezpieczeń społecznych, co przyczyniło się do wydłużenia postępowań. Długotrwałość procesów, konieczność dojeżdżania latami do oddalonych o kilkaset kilometrów sądów zniechęca pracowników do dochodzenia swoich praw. Nawet najstarsi adwokaci nie pamiętają, by jakikolwiek proces wszczęty z powództwa pracownika o przywrócenie do pracy zakończył się przed upływem okresu wypowiedzenia. I nic dziwnego – wypowiedzenie trwa maksimum trzy miesiące, a średni czas postępowania przed sądem pracy jest cztery razy dłuższy. Przywrócenie do pracy po roku od złożenia pozwu ma sens tylko wtedy, gdy pracownik nie podjął w tym czasie innego zatrudnienia, ale tak długie pozostawanie bez pracy oznacza pauperyzację i zadłużenie.

Policja i prokuratura mają pewne możliwości, bo Kodeks karny zawiera pracowniczy art. 218 par. 1a: „Kto, wykonując czynności w sprawach z zakresu prawa pracy i ubezpieczeń społecznych, złośliwie lub uporczywie narusza prawa pracownika wynikające ze stosunku pracy lub ubezpieczenia społecznego, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”. Ale rzadko z niego korzystają.

Rezultat: osamotnieni pracownicy są skazani na klęskę. Pracodawcy wiedzą zaś, że mogą bezkarnie gwałcić prawo pracy, więc wypowiadają umowy o pracę pod dowolnym pretekstem, nie wypłacają wynagrodzeń, oszukują przy wyliczaniu należności za urlop i masowo zatrudniają na umowach śmieciowych. Mimo że czynności wykonywane przez pracowników ewidentnie wykazują cechy stosunku pracy. Czyli jasne jest, że zamiast na podstawie umowy o dzieło czy umowy-zlecenia powinni być zatrudnieni na podstawie umowy o pracę.

Według najnowszych danych 2,3 mln z prawie 17 mln pracowników najemnych wylewa poty na podstawie umów śmieciowych.

eprasa.pl cecf2a93f3

W 2020 r. umów-zleceń i pokrewnych było o 1 mln mniej. To porażka Zjednoczonej Prawicy, która, począwszy od 2015 r., regularnie przysięgała wyborcom, że doprowadzi do zniesienia śmieciówek – wątek ten pojawiał się w programach wyborczych i w exposé Beaty Szydło oraz Mateusza Morawieckiego. Ale do klęski doszło nie tylko dlatego, że populiści zawsze więcej obiecują, niż dają – po prostu nie ma komu pilnować interesów pracowników.

Choinka się przewróci

Państwowa Inspekcja Pracy zatrudnia 2,5 tys. inspektorów, jej tegoroczny budżet wynosi ponad 500 mln zł i jest wyższy od ubiegłorocznego o 20%. To nie wyraz szczególnej troski Koalicji 15 Października o los pracowników najemnych – wydatki PIP są wyższe ze względu na podwyżki pensji. Budżet Instytutu Pamięci Narodowej, kreującego politykę historyczną opartą na martyrologii i przekonaniu o wyższości narodu polskiego nad innymi nacjami, jest o ponad 100 mln większy (przy podobnym poziomie zatrudnienia).

Niebawem ma wejść w życie ustawa o sygnalistach, czyli o ochronie osób zgłaszających naruszenia prawa, w tym prawa pracy. Prace nad projektem zaczęły się kilka lat temu, gdy Polska rosła w siłę pod przewodem Jarosława Kaczyńskiego. Pierwotnie zakładano, że organem centralnym, któremu sygnaliści będą raportować o nieprawidłowościach, zostanie Rzecznik Praw Obywatelskich. W Biurze RPO przeprowadzono więc prace dostosowawcze do nowych wyzwań prawnych, informatycznych i organizacyjnych. Po 14 miesiącach prac legislacyjnych Rzecznika Praw Obywatelskich zastąpiono Państwową Inspekcją Pracy. Zarzucono zatem dalsze dostosowywanie Biura RPO i rozpoczęto prace przygotowawcze w PIP. Po odsunięciu PiS od koryta okazało się, że całe zamieszanie na nic – według najnowszej wersji projektu zgłoszenia naruszeń ma przyjmować jednak Biuro RPO. Jak to wszystko się skończy, nie wiadomo.

Leszek Rymarowicz w PIP od ponad ćwierćwiecza zajmuje się kontrolą i nadzorem nad przestrzeganiem prawa przez pracodawców. Jest także prezesem Stowarzyszenia Inspektorów Pracy Rzeczypospolitej Polskiej (SIPRP). – Dobrze by było, gdyby wersja projektu z RPO jako organem przyjmującym była ostateczna, bo powierzanie PIP kolejnych zadań z pewnością nie poprawi poziomu przestrzegania prawa pracy – mówi. – PIP od dawna jest traktowana jak choinka, na której wieszane są różne kompetencje. Tymczasem zamiast kolejnych ozdób i mnożenia zadań – a zakres kompetencji jest znacznie szerszy niż w podobnych instytucjach w UE – potrzebna jest gruntowna reforma. Tyle że dotąd nie ma ugrupowania politycznego, które wykazywałoby rzeczywistą wolę zmian. Przede wszystkim pora skończyć z biurokratyzacją procesu kontrolnego. W przeciwnym razie ta choinka się przewróci.

Światełko w tunelu

Przykład papierologii: żeby rozpocząć kontrolę u przedsiębiorcy, inspektor pracy zobowiązany jest przedstawić nie tylko legitymację służbową, ale i upoważnienie do przeprowadzenia czynności kontrolnych wydane przez główny lub okręgowy inspektorat. Musi ono wskazywać podstawę prawną kontroli oraz jej zakres przedmiotowy. SIPRP od kilkunastu lat domaga się zniesienia obowiązku przedstawiania upoważnień. – To zbędna przeszkoda biurokratyczna. Na dodatek skwapliwie wykorzystywana przez pracodawców. Przepisy przewidują bowiem, że kontrolowani mogą się odwołać od decyzji o udzieleniu upoważnienia do przeprowadzenia kontroli. I to robią – wyjaśnia Rymarowicz.

A bywa, że szybka interwencja polegająca np. na nakazaniu wstrzymania prac może uratować zdrowie i życie pracowników. Co roku w Polsce dochodzi do 70 tys. wypadków przy pracy, w wyniku których ginie 200 osób, a 400 odnosi poważne obrażenia. W przeliczeniu na 1 tys. zatrudnionych wskaźnik wypadkowości należy do najwyższych w Unii Europejskiej. O tym, że Polska zabiega o względy pracodawców, a pracownikami niespecjalnie się przejmuje, świadczy ranking przestrzegania prawa pracy International Trade Union Confederation. Międzynarodowa Konfederacja Związków Zawodowych sytuuje Polskę na dalekim miejscu, wyżej plasując nie tylko kraje zachodnie, ale również Barbados, Kongo, Mołdawię, Czarnogórę, Namibię, Tajwan, Togo i Urugwaj. Sprawna i skuteczna instytucja chroniąca pracowników jest więc potrzebna od zaraz.

Na razie Koalicja 15 Października nie wykazała nadmiernego zainteresowania dolą ludzi pracy, ale po raz pierwszy w historii marszałek Sejmu ogłosił otwarty nabór kandydatów na członków Rady Ochrony Pracy – instytucji nadzorującej PIP. Hołownia zrezygnował przy tym z wyznaczenia swojego człowieka z grona posłów.

Niedawno „Polityka" („Związki i obowiązki", nr 14/2024) opublikowała tekst wskazujący, że PIP bezzasadnie odmawia waloru reprezentatywności niektórym organizacjom związkowym skupiającym pracowników inspekcji. Znaczyłoby to, że inspekcja pracy nie sprawdza się ani w roli organu nadzoru nad przestrzeganiem prawa pracy, ani jako przestrzegający prawa pracodawca.

Leszek Rymarowicz: – Niestety, to prawda, takie praktyki stosowane są w PIP od dawna. SIPRP wiele razy pisało o tak specyficznie pojmowanym pluralizmie związkowym. Bez skutku. Co nie przeszkadza inspekcji w wytykaniu innym pracodawcom, że wybierają sobie do negocjacji, np. płacowych, pasujące im organizacje związkowe, a inne pomijają. W PIP działa w tej chwili kilkanaście związków zawodowych i ich liczba wciąż rośnie. To dowód braku zaufania pracowników do pracodawcy, ale także do już istniejących organizacji związkowych.

Gdyby do PIP wpłynęła skarga w sprawie naruszania przez jej kierownictwo prawa pracy, szczególnie prawa do prowadzenia działalności związkowej, czy wszczęto by stosowną kontrolę? Nie wiadomo, ale jakie byłyby efekty takiej samokontroli, łatwo się domyślić. ■

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cecf2a93f3

Jak Eskimos jabłka skupował

Jeden z większych skandali finansowych z czasów rządów PiS nadal czeka na wyjaśnienie

Grzegorz Rudnik

29 marca 2024 r. okazał się nie najlepszym dniem dla Piotra Serafina, byłego dyrektora generalnego Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. Prokuratura Regionalna w Warszawie, prowadząca przeciw niemu i innym podejrzanym sprawę o przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków, tj. o przestępstwo z art. 231 Kodeksu karnego, postanowiła akurat wtedy dokonać zabezpieczenia na jego majątku w łącznej kwocie ok. 2,6 mln zł. Jest to związane z głośnym śledztwem dotyczącym spółki Eskimos, która w 2018 r. miała się zająć interwencyjnym skupem jabłek.

Z powodu klęski urodzaju sadownicy znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Cena kilograma jabłek przemysłowych w skupie wynosiła ledwie 10 gr i właściwie nie opłacało się ich zbierać. Plantatorzy z okolic Grójca i innych regionów zaczęli się domagać, by rząd coś z tym zrobił.

Ówczesny minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski wyszedł z inicjatywą, by państwo skupiło 500 tys. ton jabłek, co miało zahamować spadek cen. Zająć się tym miała krakowska spółka Eskimos, która została wyłoniona, jak pisano, „bez żadnego trybu". Zadaniem prokuratury będzie wyjaśnienie, kto i dlaczego rekomendował ten konkretny podmiot.

Ze strony rządowej współpracą z Eskimosem miał się zająć Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, który w latach 2018-2019 udzielił spółce gwarancji w kwocie 20 mln zł. Bank Gospodarstwa Krajowego zaś, z poręczeniem KOWR na zabezpieczenie spłaty kredytu, wsparł Eskimosa gwarancją w wysokości 80 mln zł.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że krakowska spółka nie miała ani wielkiego doświadczenia w organizacji skupu jabłek, ani mocy produkcyjnych. Za to w pewnym momencie członkiem jej rady nadzorczej był niegdysiejszy minister finansów Jarosław Bauc.

W wystąpieniu pokontrolnym Najwyższej Izby Kontroli z roku 2022, skierowanym na ręce Waldemara Humięckiego, ówczesnego dyrektora generalnego Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa, znalazł się interesujący fragment wypowiedzi zastępczyni dyrektora generalnego KOWR na temat kondycji spółki: „W nocy z 12 na 13 października 2018 r. były przekazywane na skrzynkę sekretariatu Pana Serafina (dyrektora generalnego KOWR) sprawozdania finansowe spółki Eskimos, które były analizowane m.in. przez Biuro Finansowo-Księgowe. Ze sprawozdania wynikało, że spółka nie ma swojego majątku, że jest zadłużona, co było widać na aktywach i pasywach. Spółka nie zajmowała się przetwórstwem jabłek. (…) Cały czas mówiliśmy Serafinowi i Ministrowi Rolnictwa, że spółka nie ma kondycji finansowej, że nie mamy na czym się zabezpieczyć".

> Ze sprawozdania spółki Eskimos wynikało, że nie ma swojego majątku, jest zadłużona i nie zajmowała się przetwórstwem jabłek.

NIK podkreśliła, że szef KOWR Piotr Serafin miał tego świadomość, a mimo to udzielił Eskimosowi gwarancji kredytowej w wysokości 100 mln zł. Co moim zdaniem jest nieścisłością, gdyż w tym przypadku chodziło raczej o 40 mln zł. W sumie KOWR zawarł z Eskimosem trzy umowy o udzielenie gwarancji.

W grudniu 2021 r. minister rolnictwa Henryk Kowalczyk, odpowiadając na interpelację posłów Jana Łopaty, Mieczysława Kasprzaka i Stefana Krajewskiego z PSL, ujawnił, że 17 października 2018 r. Serafin zwrócił się do ministra Ardanowskiego o objęcie ochroną przez CBA lub ABW działań KOWR zmierzających do zlecenia BGK udzielenia gwarancji spłaty kredytu na rzecz spółki Eskimos.

Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego mimo wszystko udzielono gwarancji, to kolejne zadanie prokuratury. Źli ludzie od dawna węszą polityczny zapaszek wokół tej historii i tłumaczą, że Serafin nie mógł odmówić swojemu szefowi.

Na początku 2019 r. odmówił jednak Eskimosowi udzielenia kolejnej gwarancji i 5 marca złożył rezygnację. W przytulnym gabinecie dyrektora generalnego KOWR przy ulicy Karolkowej 30 w Warszawie zastąpił go Grzegorz Pięta, który wcześniej piastował kierownicze stanowiska w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, był także prezesem Agencji Nieruchomości Rolnych. Nie miał on większych oporów przed spełnieniem oczekiwań krakowskiej spółki. Z tego, co wiem, dziś znajduje się w kręgu zainteresowań kompetentnych organów.

Chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle

Wyjątkowa przychylność administracji rządowej nie poprawiła sytuacji na rynku jabłek. Eskimos płacił

eprasa.pl cecf2a93f3

Wokół skupu jabłek z 2018 r. źli ludzie węszą polityczny zapaszek i tłumaczą, że Piotr Serafin (z prawej) jako szef KOWR nie mógł odmówić ministrowi rolnictwa Janowi Krzysztofowi Ardanowskiemu (z lewej) gwarancji dla spółki Eskimos.

w skupie po 25 gr za kilogram, lecz nie wszystkim. Część sadowników nie otrzymała pieniędzy i zwróciła się do swoich posłów z prośbą o pomoc.

Jako pierwsza zareagowała Dorota Niedziela, posłanka Platformy Obywatelskiej, a obecnie wicemarszałkini Sejmu. I stała się dla ministra Ardanowskiego prawdziwym biczem bożym. Z wykształcenia lekarz weterynarii, dobrze orientowała się w problemach rolnictwa. W latach 2019-2023 w sprawie interwencyjnego skupu jabłek przez spółkę Eskimos złożyła aż siedem interpelacji poselskich.

Ministra rolnictwa pytali o ów skup także peeselowcy Jan Łopata, Stefan Krajewski i Mieczysław Kasprzak oraz posłowie Kazimierz Plocke z PO i Jarosław Sachajko z Kukiz'15. Najwięcej informacji zawierają jednak odpowiedzi na pytania posłanki Niedzieli.

Dowiadujemy się z nich, że w roku 2018 jednego 40-milionowego kredytu udzielił Eskimosowi Bank Ochrony Środowiska SA. Gdy w lipcu 2019 r. krakowska spółka go nie spłaciła, już 2 sierpnia Bank Gospodarstwa Krajowego pobrał z rachunku KOWR dwie kwoty, po 40 mln zł każda, z tytułu spłaty wypłaconego roszczenia gwarancji.

8 sierpnia 2019 r. Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa przelał 20 mln zł na rachunek BOŚ SA, gdyż bezpośrednio podżyrował Eskimosa. Do końca roku 2019 KOWR wydał na spłatę długów krakowskiej spółki ponad 100 mln zł!

Wydaje się, że ministra Ardanowskiego ta sytuacja zbytnio nie niepokoiła. Zapewniał posłankę Niedzielę, że wartość rynkowa zastawu (czyli majątku należącego do Eskimosa) na podstawie dokonanej inwentaryzacji oraz wyceny zewnętrznego rzeczoznawcy została oszacowana na kwotę 61 002 766,56 zł. W odniesieniu do pozostałej wierzytelności KOWR (czyli ponad 40 mln zł) trwało zaś postępowanie egzekucyjne z nieruchomości dłużnika – to znaczy Eskimosa.

Czyli właściwie nie było sprawy, bo przecież skupiono 200 tys. ton jabłek, a jeśli nawet ktoś pieniędzy nie dostał, to z pewnością je otrzyma. Problem w tym, że niektórzy ich nie otrzymali, a krakowska spółka odmówiła spłaty zobowiązań wobec banków, bo nie miała środków. Co się z nimi stało? To kolejna zagadka, którą powinni rozwikłać prokuratorzy.

Tylko fermentacja, tylko destylacja

Nie ma bardziej polskiego produktu niż spirytus. Gdy już wszystko się rypnęło, a w ramach zabezpieczeń udzielonych gwarancji Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa przejął majątek spółki Eskimos, wszedł on w posiadanie pokaźnych ilości koncentratu jabłkowego, soku jabłkowego NFC, alkoholu oraz destylatu. Gdybyśmy byli we Francji, chodziłoby pewnie o calvados, lecz nad Wisłą – o coś bardziej pospolitego. Tak wynika z odpowiedzi wiceministra

FOT. PAP/TOMASZ GZELL

eprasa.pl cecf2a93f3

rolnictwa Ryszarda Bartosika na kolejną interpelację posłanki Niedzieli z maja 2021 r.

Łączną wartość owego zabezpieczenia oszacowano na 33 531 277 zł. Można rzec, że ten biznes uratowała pandemia COVID-19. Ktoś mądry wpadł bowiem na pomysł, by poddać część koncentratu i soku jabłkowego procesom fermentacji, a następnie destylacji. Ponieważ KOWR nie dysponował przemysłową instalacją do produkcji napojów wyskokowych, zlecono to firmom zewnętrznym.

Część wytworzonego w ten sposób alkoholu przekazano nieodpłatnie Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych w celu przeznaczenia na produkcję środków biobójczych w ramach przeciwdziałania i zwalczania pandemii COVID-19. Zgodnie z protokołem zdawczo-odbiorczym sporządzonym 11 marca 2021 r. jego wartość wyniosła 40 830 234,53 zł.

Część alkoholu została zakupiona przez spółki Orlen Oil oraz Silcare, na aukcjach elektronicznych zaś sprzedano 676 ton koncentratu jabłkowego za kwotę 3 085 114,80 zł brutto.

Jak łatwo policzyć, realnie udało się odzyskać niewiele. Bo nieodpłatne przekazanie spirytusu o wartości ponad 40 mln zł Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych nie przyniosło KOWR żadnych pieniędzy. A co się stało z alkoholem, który trafił do orlenowskiej spółki? Wyprodukowano z niego płyn do dezynfekcji rąk.

Na koniec 2021 r. okazało się, że Eskimos nadal jest winien KOWR ponad 40 mln zł, a widoki na odzyskanie tego długu są mizerne.

Między nami swojakami

Kariera ministerialna Jana Krzysztofa Ardanowskiego skończyła się z chwilą, gdy przeciwstawił się promowanej przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego „piątce dla zwierząt" – ustawie, która miała m.in. wprowadzić zakaz hodowli zwierząt futerkowych i znacznie ograniczyć ubój rytualny.

We wrześniu 2020 r. został on zawieszony w prawach członka PiS, a na początku października odszedł ze stanowiska ministra rolnictwa. Potem przywrócono go w prawach członka partii rządzącej. W grudniu tamtego roku prezydent Andrzej Duda powierzył mu funkcję przewodniczącego powołanej wówczas Rady ds. Rolnictwa i Obszarów Wiejskich. W ubiegłorocznych wyborach Ardanowski po raz kolejny został wybrany do Sejmu.

Wyjątkowa przychylność administracji rządowej nie poprawiła sytuacji na rynku jabłek. Eskimos płacił w skupie po 25 groszy za kilogram, lecz nie wszystkim.

Początkowo jego nominatom, którzy pełnili funkcje kierownicze w Krajowym Ośrodku Wsparcia Rolnictwa, włos z głowy nie spadł. Grzegorz Pięta, który zastąpił Piotra Serafina, trafił do zarządu Lotos Lab, specjalistycznej spółki w Grupie Orlen zajmującej się m.in. analizą produktów naftowych, Serafin zaś w lutym 2021 r. został powołany na stanowisko społecznego doradcy prezydenta RP.

Później zrobiło się mniej sympatycznie. Doniesienia o nieprawidłowościach związanych z interwencyjnym skupem jabłek przez spółkę Eskimos złożyły do prokuratury Centralne Biuro Antykorupcyjne i Najwyższa Izba Kontroli. Do tego doszła sprawa upadku Spółdzielni Mleczarskiej Bielmlek z Bielska Podlaskiego, której prezesem zarządu od roku 1998 z przerwami był Tadeusz Romańczuk, senator z PiS, a w latach 2018-2019 wiceminister rolnictwa. Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa udzielił Bielmlekowi gwarancji spłaty kredytu (do 30 mln zł). Decyzję w tej sprawie podjął dyrektor Grzegorz Pięta, mimo że, jak ustalili pracownicy Najwyższej Izby Kontroli, KOWR nie był właściwie przygotowany do stosowania takich instrumentów. Jest podejrzenie, że Pięta uczynił to pod naciskiem Romańczuka.

Pod koniec października 2021 r. funkcjonariusze CBA, działając na zlecenie Prokuratury Regionalnej w Warszawie, zatrzymali byłego wiceministra rolnictwa, który po przesłuchaniu trafił do aresztu. Miesiąc później wyszedł na wolność po wpłaceniu 200 tys. zł kaucji.

Światło dzienne ujrzały informacje o wybitnych zarobkach prezesa Romańczuka. Wściekli spółdzielcy, którym Bielmlek był winien pieniądze, komentowali to tak: „Byliśmy dojeni jak nasze krowy".

Jest jednak szansa, że osoby, które podejmowały decyzje w sprawie gwarancji udzielonych spółce Eskimos oraz Spółdzielni Mleczarskiej Bielmlek, staną przed obliczem sprawiedliwości.

Eskimos trzyma się mocno

Wydawać by się mogło, że po takich doświadczeniach krakowska spółka powinna upaść. Nic bardziej mylnego. 27 lipca 2020 r. Sąd Rejonowy w Białymstoku VIII Wydział Gospodarczy zatwierdził postępowanie restrukturyzacyjne, które trwa do dziś.

Na podstawie dokumentów dostępnych w Krajowym Rejestrze Sądowym można orzec, że to niemal rodzinny interes. W organach Eskimosa zasiadają osoby o tych samych nazwiskach, choć różnej płci. Panowie w zarządzie, a panie w radzie nadzorczej.

Nieoficjalnie dowiedziałem się, że jakiś czas temu spółka złożyła wierzycielom propozycje układowe, z których wynikało, że w najbliższych latach będzie ona mogła uregulować chociaż część swoich zobowiązań. W przypadku KOWR chodzi o kwotę ponad 40 mln zł.

Problem w tym, że dziś firma nie przynosi zysków i wymagałaby dokapitalizowania. Ale dokapitalizować ją mogliby tylko wierzyciele, bo sektor bankowy trzyma się od podmiotów o takiej reputacji z daleka. Moim zdaniem takie oczekiwania to prawdziwa hucpa.

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl cecf2a93f3

Położna dr Anna Michalik na konferencji „Pigułka wiedzy z EBM".

Oswoić lęk

Medycy wkroczyli do Sejmu

Anna J. Dudek

– Mamy nadzieję na zmianę jakości – mówiła w Sejmie psychiatrka Maja Herman. – Nie można rzetelnie, merytorycznie rozmawiać bez oparcia w wiedzy naukowej. Konstrukt, w którym ludzie podejmujący kluczowe dla społeczeństwa decyzje nie mają kompetencji i wiedzy w obszarze, którego te decyzje dotyczą, jest przedziwny. Oczywiście nie każdy musi znać się na wszystkim, ale do tego potrzebni są eksperci. Lekarze i lekarki. Tymczasem nikt nie pyta nas o radę, nie prosi o ekspertyzę – to trzeba zmienić.

8 kwietnia Grupa Medycy, Medyczki Kobietom z ramienia Fundacji Damy Radę zorganizowała w Sejmie konferencję „Pigułka wiedzy z EMB". EMB to evidence-based science, czyli nauka oparta na dowodach. Kilkoro lekarzy, w tym ginekolog dr Maciej Socha, ginekolożka Anna Orawiec, wspomniana Maja Herman i położna dr Anna Michalik, mówiło o ciąży, jej etapach i przebiegu, antykoncepcji, porodzie i aborcji, a także zdrowiu psychicznym. Konferencja, podczas której medycy wygłosili krótkie wykłady, odbyła się cztery dni przed procedowaniem w Sejmie czterech ustaw aborcyjnych.

Medyków do Sejmu zaprosiła wicemarszałkini Monika Wielichowska (KO). Rozpoczynając spotkanie, mówiła: – Kobiety w Polsce nie mają możliwości decydowania o sobie, nie mają dostępu do antykoncepcji awaryjnej (...). Ciążę w Polsce prowadzi nie lekarz, ale prokurator. Próbujemy to zmienić. Nie godzę się na lęk kobiet i sytuację, w której lekarze boją się pomagać kobietom.

Medycy podkreślają, że podczas ich wykładów nie było miejsca na ideologie, religie czy opinie. Przyjęli formułę treściwych, 11-minutowych wypowiedzi na temat seksualności, zdrowia, antykoncepcji i aborcji. Dlaczego 11 minut? „Podobno tyle w jednym ze szpitali w USA wystarczyło, by przekonać pacjenta do operacji przeszczepu serca. W medycynie ratunkowej 11 minut to wieczność. W stanach nagłych, kiedy dokładnie wiemy, co zrobić, i pracujemy w zgranym zespole, te 11 minut to aż nadto, żeby uratować komuś życie, które może stracić w te zaledwie 11 minut, gdyby nie nasza wiedza i umiejętności. Z drugiej strony te 11 minut wystarczyłoby, żeby stwierdzić zgon, wypisać kartę zgonu i nawet wykonać telefon do rodziny", pisali lekarze.

Zaapelowali też do posłów i posłanek: „W te 11 minut bardzo często zmienia się ludzkie życie. Na zawsze. Wy, przyciskając przycisk za odrzuceniem procedowania albo przeciw odrzuceniu procedowania ustaw aborcyjnych, na chwilę staniecie się zespołem medycyny ratunkowej. Wy zadecydujecie, jaką zespołową decyzję podejmiecie. Wy podejmiecie decyzję, jaką procedurę wdrożyć".

– Podjęłam się organizacji tego wydarzenia, bo te tematy – seks, prokreację, ciążę, aborcję, antykoncepcję, zdrowie psychiczne – trzeba odczarować naukowo. Nami, ludźmi, rządzi lęk – mamy go w sobie wszyscy. Jeśli trwa krótko, jako reakcja na konkretne wydarzenie, ma funkcję ochronną, jednak lęk długotrwały paraliżuje nas, sprawia, że nie jesteśmy w stanie myśleć i działać. Jako psychiatrka uznałam, że ten rodzaj lęku paraliżuje parlamentarzystów, dlatego trzeba go oswoić. Tematy związane z seksem, prokreacją są obarczone ogromnym ładunkiem zawstydzenia i tajemnicy – zupełnie niepotrzebnie. Wszyscy musimy jeść, spać, załatwiać potrzeby fizjologiczne, uprawiać seks, wszyscy mamy też możliwość prokreacji – trzeba o tym mówić otwarcie – wyjaśniała Maja Herman.

Lekarskie lekcje dla parlamentarzystów porównuje do odpowiadania na trudne pytania dzieci. Bez żartów i uśmieszków, na poważnie i naukowo. – Kiedy dziecko pyta o swoją fizjologię, mówisz: to jest penis, to narząd płciowy. Tyle. Czysto naukowy przekaz. Z dziećmi to świetnie rezonuje. I taką metodę chcieliśmy zastosować z politykami, których część wciąż uważa, że zarodek to różowy bobas – dodaje.

Konferencja odbyła się przed czwartkowym posiedzeniem Sejmu, na którym politycy i polityczki zajmowali się czterema projektami ustaw aborcyjnych. Dwa złożone przez Lewicę zakładają liberalizację prawa aborcyjnego: zagwarantowanie prawa do przerywania ciąży do końca 12. tygodnia, a w określonych przypadkach także później, i depenalizację aborcji; projekt KO zakłada możliwość przerywania ciąży do 12. tygodnia, a projekt Trzeciej Drogi jest propozycją przywrócenia stanu prawnego sprzed wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r., czyli powrót do „kompromisu aborcyjnego". ■

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl cecf2a93f3

Legenda kontra pewna przyszłość

W Olsztynie do gry o fotel prezydenta wrócił Czesław Jerzy Małkowski. W drugiej turze zmierzy się z Robertem Szewczykiem z PO

Marek Książek

Historia byłego prezydenta Olsztyna, który dał się poznać w kraju jako bohater „seksafery w ratuszu", zatacza koło. Może się zdarzyć, że uniewinniony od zarzutów gwałtu na ciężarnej urzędniczce i molestowania innych kobiet Małkowski znów zostanie gospodarzem miasta.

Skandal wybuchł na początku 2008 r. i prezydent został w kajdankach wyprowadzony z ratusza, odsiedział kilka miesięcy w areszcie, a sąd pierwszej instancji skazał go na pięć lat więzienia. W apelacji wyrok ten został uchylony, sprawa zaś przekazana do ponownego rozpoznania. W tym czasie część zarzutów (o molestowanie) uległa przedawnieniu, a w 2019 r. Sąd Okręgowy w Olsztynie – po 11 latach od początku afery – prawomocnie Małkowskiego uniewinnił („Sądne lata Małkowskiego", PRZEGLĄD, 7 stycznia 2019). Ten przyznał się jedynie, że uprawiał seks ze swoją sekretarką, która później oskarżyła go o zgwałcenie.

Czesław Małkowski na zarzuty o podeszły już wiek odpowiadał, że jest zdrowy, dużo biega i czyta.

Z lewicy do kruchty

Zanim po rewizji Sądu Najwyższego jednoznacznie oczyszczono byłego prezydenta i przyznano mu 1 mln zł zadośćuczynienia za niesłuszne aresztowanie, Małkowski trzy razy próbował powrócić na funkcję w ratuszu (której został pozbawiony w referendum). Trzy razy jednak przegrał w drugiej turze z Piotrem Grzymowiczem, jego byłym zastępcą i następcą. W 2014 r. wydawało się, że osiągnie cel, gdy po pierwszej turze miał 14-procentową przewagę nad aktualnie urzędującym prezydentem, lecz siły zmobilizowane przez przeciwników politycznych (głównie posłów PO) oraz celebrytów (w tym satyryka Piotra Bałtroczyka) pozbawiły go lauru zwycięstwa. Przegrał wtedy ledwie 500 głosami. Ponowna próba w 2018 r. również zakończyła się dla Małkowskiego porażką. Ale przynajmniej został radnym i miał wpływ – co prawda nikły – na sprawy miasta.

Wydawało się, że 73-letni Małkowski odpuści sobie kolejne wybory, zwłaszcza że w 2021 r. zmarła jego żona, ale postanowił raz jeszcze stanąć do walki. Otaczała go legenda miejskiego polityka, który jako „swój chłop" zagadnie na starówce kwiaciarkę, wręczy artyście kopertę z okazji jubileuszu i wysłucha każdego interesanta. Lud nie wierzył w jego winę, a wręcz przeciwnie – oskarżenie uważał za spisek przeciwników, w tym działaczy PiS Jerzego Szmita i Pawła Abramskiego, którzy wraz z kilkoma przedsiębiorcami próbowali wrobić go w nadużycia gospodarcze, ale im się nie udało. Wtedy wykreowali seksaferę. Można było sądzić, że to walka po linii politycznej, ponieważ Małkowski był kiedyś działaczem PZPR, potem wojewódzkim cenzorem, a po transformacji ustrojowej jednym z liderów SLD, a nawet sekretarzem tej partii na Warmii i Mazurach. Jednak w 2005 r. wystąpił z Sojuszu, po tym jak przywiózł z Watykanu poświęcone przez Jana Pawła II różańce i rozdał je olsztyńskim radnym. Przekonywał wówczas, że nie chce być zakładnikiem partii – choć to ta partia

FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

eprasa.pl cecf2a93f3

rekomendowała go na urząd prezydenta. Po odcięciu się od SLD zyskał nowych sojuszników – miejscowy kler z abp. Edmundem Piszczem na czele, pomógł nawet najważniejszej parafii w mieście zainstalować iluminację olsztyńskiej katedry.

Siódemka w rozgrywce

Mógł więc potem liczyć na miejscowych parafian, a z drugiej strony na resentymenty i współczucie olsztynian, którzy uznają Małkowskiego za ofiarę złych mocy. On sam odwołuje się do „złotych lat Olsztyna", kiedy rządził miastem. W kampanii wyborczej 2024 r. ogłaszał, jak zmienić miasto, jak je ożywić, ubarwić. „Chcę, by Olsztyn był piękny nie tylko komunikacyjnie, ale również, żeby mieszkańcy miasta nie musieli na koncerty jeździć na drugi koniec Polski". W ten sposób nawiązał do inwestycji ustępującego prezydenta Piotra Grzymowicza, uznawanego za technokratę, który po pół wieku przywrócił w mieście tramwaje i odbudował widowiskowo-sportową halę Urania na 4 tys. miejsc. Na kolejną konferencję prasową kandydaci bloku Małkowskiego przynieśli kwiaty doniczkowe, a on tłumaczył: „Wszyscy powtarzają: panie prezydencie, czas, aby Olsztyn zakwitł. Te kwiaty są tego symbolem. Zapewniam państwa, Olsztyn zakwitnie!". Na koniec kampanii wspomniał Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, mówiąc, że brakuje mu tchnienia młodości, absolwenci uciekają z miasta, zamiast osiąść tu na stałe i tworzyć jego potencjał intelektualny. Przebijał także konkurentów banerami, które zawisły np. naprzeciw ratusza, na tzw. okrąglaku. Na zarzuty o podeszły już wiek odpowiadał, że jest zdrowy, dużo biega i czyta.

Z każdym dniem kampanii akcje Małkowskiego rosły i było raczej pewne, że znajdzie się w drugiej turze. Chociaż konkurentów miał mocnych: Roberta Szewczyka z KO, Grzegorza Smolińskiego z PiS, znanego siatkarza Marcina Możdżonka (212 cm wzrostu), kandydata Lewicy Bartosza Grucelę, radnego Mirosława Arczaka i Monikę Rogińską-Stanulewicz, do niedawna reprezentującą klub radnych Małkowskiego, z którym w końcówce kadencji się poróżniła.

Argumenty i emocje

W grze liczyła się jednak pierwsza czwórka; mocny był Możdżonek, ale część wyborców wytykała mu zabijanie zwierząt, jako że jest wysokim rangą działaczem Polskiego Związku Łowieckiego. Na Smolińskiego mogli głosować zwolennicy partii Kaczyńskiego, która w Olsztynie zwykle przegrywała i szukała nowych rozwiązań, ostatnio stawiając na czele struktur regionalnych byłego wojewodę Artura Chojeckiego, od niedawna posła Zjednoczonej Prawicy. Olsztyńska Lewica nie bardzo wiedziała, na kogo postawić. Wprawdzie od szefa miejskich struktur Stanisława Lecha Szatkowskiego propozycję startu na prezydenta Olsztyna otrzymała była posłanka, działaczka ruchów feministycznych Monika Falej, ale ona – jak nam wyznała – sugerowała, by połączyć siły ze Wspólnym Olsztynem. Ten komitet jednak nie chciał żadnych partyjnych i w rezultacie wystartował z jego ramienia Mirosław Arczak, młody działacz organizacji pozarządowych. Lewica więc wystawiła równie młodego Bartosza Grucelę z Razem, ale że jest on mało znany, zajął ostatnie miejsce (3,63%). Generalnie olsztyńska Lewica – choć w rządzie Tuska ma dwóch wiceministrów: Marcina Kulaska i Ireneusza Nalazka – cienko przędzie i przykro patrzeć, jak uważany kiedyś za „czerwone zagłębie" region stacza się na polityczny margines, przy czym wielu mieszkańców wciąż ma serce po lewej stronie.

Do ostatecznej rozgrywki w drugiej turze zgodnie z przewidywaniami przystąpią dwaj rywale: Małkowski i zwycięzca pierwszego starcia, 43-letni Robert Szewczyk z PO, jeszcze młody, ale już doświadczony samorządowiec, od dwóch kadencji przewodniczący rady miasta. Do tego dyrektor departamentu promocji urzędu marszałkowskiego, a karierę zaczynał w biurze prasowym za czasów marszałka województwa Jacka Protasa. W miarę upływu lat uznawany za mało przebojowego Szewczyk nabierał politycznego sznytu, startował w kampanii pod hasłem „Pewna przyszłość", spotykał się z mieszkańcami, deklarował przestawienie wajchy z inwestycji na potrzeby ludzi, w tym młodych, emerytów, przedsiębiorców, animatorów kultury, artystów i kibiców sportowych, a na dodatek poparł go prezydent Grzymowicz (który wystartował tylko na radnego). Mając za sobą mocne zaplecze, Robert Szewczyk wygrał pierwszą turę z przewagą 12% nad konkurentem. Obaj poczuli się zwycięzcami i wierzą we wsparcie tych wyborców, którzy po pierwszym etapie utracili swoich faworytów. Pytanie, których wyborców.

Sąd Okręgowy w Olsztynie po 11 latach od początku afery prawomocnie uniewinnił Czesława Małkowskiego.

Jak sądzi Stanisław Lech Szatkowski (zabrakło mu trochę głosów, by znaleźć się w sejmiku wojewódzkim), zwolennicy Lewicy mogą w równym stopniu głosować na Szewczyka, jak i na Małkowskiego. Ale to ledwie garstka. Wyborcy PiS pewnie zagłosują przeciw kandydatowi PO. Decydujące może się okazać poparcie sympatyków Możdżonka, a Robert Szewczyk startuje w biegach ulicznych i przychodzi w klubowej koszulce na pierwszoligowe mecze siatkarzy Indykpolu AZS Olsztyn. Jeśli więc na Możdżonka głosowali kibice sportowi, to i kandydat PO może na nich liczyć. Nie można jednak przesądzać, że Małkowski jest na straconej pozycji. Może się powtórzyć sytuacja sprzed dekady, gdy on sam miał zdecydowaną przewagę nad rywalem, ale o włos przegrał w drugiej turze.

Warto dodać, że z 25 mandatów do rady miasta najwięcej, bo 12, wzięła KO, PiS – 8, komitet Małkowskiego – 2 (w tym on sam), a resztę kandydaci na prezydenta – oprócz Rogińskiej-Stanulewicz i Gruceli. ■

eprasa.pl cecf2a93f3

Kornel Wawrzyniak

Gminy przejmą zęby

Mimo zapowiadanych podwyżek leczenie zębów na NFZ pozostaje abstrakcją. Do akcji postanowiły wkroczyć samorządy

W 2024 r. NFZ miał wyłożyć 3,3 mld zł na leczenie stomatologiczne Polek i Polaków. Roczna pula na pacjenta wynosi dzięki temu 88 zł. Była to rekordowa podwyżka, bo jeszcze w 2022 r. NFZ przeznaczał na leczenie zębów jednego obywatela zaledwie 55 zł. Dodatkowo Ministerstwo Zdrowia poszerza koszyk świadczeń związanych z usługami stomatologicznymi. Problem w tym, że najtańsza plomba kosztuje ok. 100 zł. Nie tylko pacjenci nie wierzą, że pula NFZ wystarczy na cokolwiek. Również samorządy widzą problem. Ze skromnych kwot przeznaczanych przez resort zdrowia na ochronę dentystyczną nie wystarcza środków na utrzymywanie nocnych dyżurów stomatologicznych.

Ruchy pozorowane

„Poszerzenie świadczeń gwarantowanych dla większości pacjentów nic nie zmieni. Kolejki do stomatologa na NFZ są tak długie, że jesteśmy zmuszeni finansować leczenie we własnym zakresie. Jedynie ortodoncja do 12. roku życia w większych miastach i przeglądy u dzieci są rzeczywiście bezpłatne. Pacjenci już się przyzwyczaili, że leczenie zębów na NFZ to fikcja", komentuje w „Dzienniku Gazecie Prawnej" Magdalena Kołodziej, prezeska Fundacji My Pacjenci. Wspominaliśmy już na łamach „Przeglądu" (21 sierpnia 2023), że niewiele jest dziś gabinetów dentystycznych z refundowanymi zabiegami. W Polsce działa zaledwie 5,6 tys. takich placówek – większość w dużych miastach. Konsekwencją są nie tylko absurdalne kolejki, ale też problem z dojazdem dla osób z małych miejscowości. Należy zresztą założyć, że jeśli jazda do dentysty przekracza kilka przystanków komunikacją miejską, to ze względu na koszty transportu przestaje być opieką nieodpłatną.

„Dziennik Gazeta Prawna" opisuje dramatyczną sytuację osób mieszkających we wschodniej części województwa warmińsko-mazurskiego. Z treści interpelacji poselskiej Krzysztofa Mulawy dotyczącej dyżurów stomatologicznych wynika, że od 2017 r. szczególnie w okolicach Ełku nie funkcjonuje żadna stomatologiczna pomoc nocna czy świąteczna. Według Narodowego Funduszu Zdrowia najbliższe miasta, w których mieszkańcy tych terenów mogą znaleźć ratunek, to Olsztyn i Białystok, czyli odpowiednio 150 km i 100 km jazdy z samego Ełku. Problem jest jednak większy, niż mógłby się wydawać tym czytelnikom, którzy mają samochody. Otóż Mazury są jednym z najbardziej wykluczonych komunikacyjnie regionów w Polsce.

Tymczasem z projektu rozporządzenia przekazanego właśnie do konsultacji wynika, że koszyk świadczeń ma się bardzo poszerzyć. Ministerstwo Zdrowia chce m.in. refundować leczenie stomatologiczne w narkozie rodzicom dzieci niewspółpracujących, wyjątkowo źle reagujących na stres, z zaburzeniami ogólnorozwojowymi czy tych, które mają alergię na środki do znieczulenia miejscowego. Dodatkowo mają zostać wprowadzone wizyty profilaktyczne dla trzylatków, a celem wizyt ma być wdrożenie profilaktyki ortodontycznej. Dla osób starszych przewidziano całkowite protezy górne lub dolne oparte na zabezpieczonych korzeniach.

To wszystko jednak są ruchy pozorowane. Szczególnie w kontekście danych przedstawionych kilka miesięcy temu w „Przeglądzie". Lista zabiegów refundowanych obejmuje bowiem kilkanaście pozycji, ale są one bardzo ograniczone. De facto na pełną opiekę stomatologiczną mogą liczyć dzieci i młodzież do 18. roku życia oraz kobiety w ciąży lub połogu. Problem w tym, że materiały przewidziane dla dzieci nadają się jedynie do zębów mlecznych, a gdy dziecko ma już uzębienie stałe, potrzebuje tych samych materiałów

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

na plomby co dorośli. Podobnie jest z leczeniem kanałowym. Obejmuje ono pierwsze trzy zęby, według specjalistów zaś najczęściej poddaje się leczeniu kanałowemu przedtrzonowce i trzonowce, które nie są uwzględnione w refundacji. Opieka NFZ nad naszymi zębami jest więc już u podstaw iluzją.

Ministerstwo Zdrowia idzie jednak w tę retorykę jak w dym. Poszerza koszyk świadczeń, jednocześnie nie rozwiązując podstawowych problemów, takich jak dostępność opieki dentystycznej na fundusz.

Drugi odwieczny problem publicznej opieki dentystycznej to brak możliwości dopłaty do usług gabinetów wykonujących zabiegi w ramach kontraktu z NFZ. W skrócie: albo bierze się gorszą plombę nieodpłatnie, albo płaci się prywatnie za całą wizytę i lepsze materiały. Dość logiczna możliwość, aby NFZ pokrywał koszty zabiegu, a pacjent płacił za materiały (lub odwrotnie), nie istnieje.

Wróćmy jednak do nocnych dyżurów. Według informacji ze strony Pacjent.gov w całej Polsce jest zaledwie 40 placówek ze stomatologiczną pomocą doraźną. Z tego trzy znajdują się w Warszawie, a kolejne dwie w Łodzi. Statystycznie na jedną placówkę przypada ok. 1 mln Polek i Polaków. Nawet tak duże miasta jak Gdańsk, Wrocław czy Białystok mają jedno pogotowie stomatologiczne. A to białostockie, jak pisaliśmy, obsługuje jeszcze zainteresowanych z okolic Ełku. Z relacji pacjentów wynika, że jeśli nie czuje się bólu, na wizytę refundowaną można czekać nawet trzy miesiące. Średni czas oczekiwania w poszczególnych województwach to aż 28 dni w Kujawsko-Pomorskiem i 24 dni na Podkarpaciu. Najkrócej czeka się w Świętokrzyskiem – sześć dni, i na Lubelszczyźnie – pięć dni.

Na ratunek gminy

Wiceminister zdrowia Wojciech Konieczny uważa, że problemy z zapewnieniem świadczeń stomatologicznych, tak jak dzieje się to w subregionie ełckim, są spowodowane zmniejszającą się liczbą lekarzy. Wiceminister podkreśla, że mimo pięciu uzupełniających postępowań konkursowych w regionie nie znaleźli się chętni do pracy. Inne zdanie ma Paweł Barucha, wiceprezes Naczelnej Rady Lekarskiej i szef Komisji Stomatologicznej NRL: „W Poznaniu miasto dofinansowywało dyżury i chętni do pracy w nocy i święta się znaleźli. Koszty są wyższe niż w dzień. (...) Nikt też nie przyjdzie do pracy w niedzielę lub nocą, jeśli mu się to nie opłaci. Trzeba więc zapłacić wyższą stawkę, bo i praca jest specyficzna. W nocy zjawiają się pacjenci z największymi problemami, którzy od dłuższego czasu odkładali leczenie".

Słowem, z funduszy NFZ nie starcza pieniędzy na pracę samych stomatologów. Rozwiązanie tego problemu zdają się mieć niektóre gminy, które chętnie dopłacą do specjalnych programów stomatologicznych. Przykładem jest Kleszczów, gdzie w aż czterech gabinetach realizowany jest program profilaktyki stomatologicznej. Mieszkańcy dostają tam bezpłatnie pomoc, i to na poziomie usług ponadpodstawowych, czyli nieuwzględnionych w koszyku NFZ. Dzięki przegłosowanej w 2023 r. uchwale rady gminy z pomocy dentystycznej skorzystało prawie 4,5 tys. dorosłych mieszkańców. Takie rozwiązanie brzmi jak rozsądna alternatywa i duża szansa dla uzębienia Polaków. Niestety, osiągnięcie takiego sukcesu jak w gminie Kleszczów nie jest łatwe. Jak to w Polsce bywa, dobre pomysły rozbijają się o ścianę legislacyjno-urzędniczego absurdu.

Każdy program w zakresie profilaktyki stomatologicznej, który zaproponuje dana gmina, musi zostać pozytywnie zaopiniowany przez prezesa Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. W gminie Gostycyn program profilaktyki na lata 2024-2027 został zaopiniowany negatywnie. Powód? „Wskazane przez wnioskodawcę interwencje znajdują się w wykazie świadczeń ogólnostomatologicznych i istniało ryzyko podwójnego finansowania – możliwość powielania u danego pacjenta świadczeń finansowanych ze środków Narodowego Funduszu Zdrowia". Tym sposobem NFZ monopolizuje usługi, których i tak nie jest w stanie dostarczyć w wielu gminach. Te zaś, aby zapewnić ochronę zębów swoim mieszkańcom, muszą dodatkowo kombinować z formalnościami.

Problem społeczny

Tymczasem zaniedbane uzębienie to problem dla całego organizmu. Dziś już powszechnie wiadomo, że bakterie odpowiedzialne za tworzenie się próchnicy zwiększają ryzyko schorzeń serca. Dane dotyczące higieny jamy ustnej w polskich domach też nie nastrajają pozytywnie.

Dla większości mieszkańców kraju nad Wisłą dopiero ból zęba jest powodem, aby odwiedzić gabinet dentystyczny. 98% Polaków między 35. a 44. rokiem życia ma zaś próchnicę. Do stomatologa na regularne kontrole chodzi niecałe 40% ankietowanych, a 60% dorosłych myje zęby dwa razy dziennie. Problem z uzębieniem ma więc wymiar społeczny. Dziwi zatem systemowe rzucanie kłód pod nogi samorządom, które chcą coś z tym robić.

Z drugiej strony mamy w tym wszystkim obrazek pewnego paradoksu związanego ze świadomością polityczną Polaków. Zauważmy, że do ostatnich wyborów parlamentarnych poszło 74,38% wyborców. Do wyborów samorządowych – niecałe 52% uprawnionych do głosowania. Warto odpowiedzieć sobie na pytanie, która władza ma dziś większy problem z dbaniem o zdrowie swoich obywateli – ta centralna czy samorządowa?

W gminie Kleszczów cztery gabinety realizują program profilaktyki stomatologicznej. Mieszkańcy dostają bezpłatnie pomoc na poziomie usług ponadpodstawowych.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Tykająca bomba

Polityczny TikTok w Europie to królestwo skrajnej prawicy. Czy ma to jakiekolwiek znaczenie poza internetem?

Mateusz Mazzini

Użytkownicy, którym nazwisko właściciela tego konta nic nie mówi, mogliby pomyśleć, że widzą wytwór sztucznej inteligencji. Młody, przystojny chłopak w kasku budowlanym, przeliczający banknoty euro. Grupa młodych ludzi idąca drogą pomiędzy polami, w kierunku zachodzącego słońca. Mężczyzna w tradycyjnym bawarskim stroju, dumnie spoglądający na górski krajobraz. To tylko okładki, pierwsze klatki filmików, a za nimi kryje się kilkanaście sekund płomiennego politycznego exposé. Zawsze głośno, zdecydowanym tonem, w kontrze do głównego nurtu. Najpopularniejsi przeciwnicy: Unia Europejska, migranci, Olaf Scholz, liberałowie, ruchy ekologiczne. Liczby: ponad 40 tys. obserwatorów, prawie pół miliona odsłon. To TikTok Maximiliana Kraha, jednej z głównych twarzy europarlamentarnej kampanii eurosceptycznej partii AfD. W bieżącej kadencji Bundestagu ugrupowanie ma 78 deputowanych, według stacji Deutsche Welle aż 80% z nich założyło konta na TikToku. Chińska platforma społecznościowa twierdzi, że ma w Niemczech 20 mln użytkowników, głównie osoby młode, często niepełnoletnie.

Przede wszystkim chaos

O tym, że media społecznościowe i rządzące nimi algorytmy zwiększają polaryzację polityczną, wiadomo nie od dziś. Wystarczy przytoczyć wydaną w ubiegłym roku w Polsce książkę amerykańskiego reportera Maxa Fishera „W trybach chaosu", w której opisana została ewolucja tych platform od mediów „jednoczących" do mediów „dzielących". Algorytmy premiujące treści angażujące użytkowników, czyli bardziej kontrowersyjne, doprowadziły do wysunięcia na pierwszą linię debaty teorii spiskowych, ale też zmieniły nasz odbiór rzeczywistości, tłumaczy Fisher.

TikTok grę społecznej antagonizacji wyniósł na całkowicie inny poziom. Zasady funkcjonowania tej platformy nie tylko wzmacniają radykalny przekaz, ale również przenoszą go poza internet, głównie dlatego, że internauci przesiadują tam dłużej niż w innych portalach czy aplikacjach. Dane firmy analitycznej Meltwater monitorującej zachowania użytkowników sieci pokazują, że chiński gigant angażuje dziś ludzi najbardziej. Łącznie na całym świecie ma ponad 1 mld użytkowników, a każdy z nich spędza średnio godzinę dziennie na aktywnym korzystaniu z aplikacji. Porównywalne wyniki osiąga tylko YouTube, ale to TikTok ma najwięcej pobrań jako aplikacja na smartfony, przez TikToka dokonuje się też najwięcej transakcji z użyciem kart kredytowych.

eprasa.pl cecf2a93f3

61% wszystkich użytkowników tego medium korzysta z niego codziennie. Daje to wielki kapitał polityczny, a przy tym niezwykle łatwo przemycić treści z jednej strony uzależniające, z drugiej szkodliwe dla demokracji.

Niemcy są tu ciekawym przypadkiem, bo, jak wyliczyli eksperci z tamtejszej Fundacji im. Róży Luksemburg, związanej z polityczną lewicą, posty wrzucane na TikToka przez organizacje skrajnie prawicowe – nie tylko AfD, ale i pomniejsze grupy – są odtwarzane trzykrotnie częściej niż materiały innych grup politycznych. Przykład Kraha jest o tyle ciekawy, że ów polityk, do tej pory bliżej nieznany na arenie międzynarodowej, w ostatnich tygodniach znalazł się w centrum szpiegowsko-propagandowego skandalu. Kilkanaście dni temu czeska służba wywiadowcza BIS poinformowała o zablokowaniu prowadzonej z Pragi prokremlowskiej operacji propagandowej, realizowanej za pomocą portalu Voice of Europe. Strona funkcjonująca w 10 językach publikowała zwykłe depesze agencyjne, przemieszane z pogłębionymi tekstami, felietonami i wywiadami powielającymi moskiewską propagandę na temat UE. Krah był jednym z najczęściej cytowanych przez Voice of Europe polityków, regularnie występował też na tym kanale na YouTubie. Przebywał nawet w Pradze, gdzie udzielił wywiadu przychylnym Putinowi agentom wpływu: Artemowi Marczewskiemu i Wiktorowi Medwedczukowi. Mediom zainteresowanym sprawą, w tym niemieckiemu tygodnikowi „Der Spiegel", powiedział, że żadnych pieniędzy za rozmowę nie wziął, a nawet sam opłacił sobie hotel, niemniej jednak dla sporej części opinii publicznej jego obecność w tym portalu stała się dowodem na związki z Moskwą.

Krah do rosyjskiego modelu dezinformacyjnego pasuje jak ulał, podobnie jak sam TikTok. Wbrew powszechnemu przekonaniu Kreml nie prowadzi bowiem działań propagandowych opartych na jednej narracji czy wiodących do jednego celu we wszystkich krajach, w których jest aktywny. Jeśli Rosjanom chodzi o cokolwiek, to chodzi im o chaos. Rozmycie pojęć, granic prawdy i fałszu, dobra i zła. Celnie podsumował to w wywiadzie dla amerykańskiego radia NPR Peter Pomerantsev, ekspert od rosyjskiej propagandy. Przypomniał, że Moskwa, zwłaszcza pod rządami Władimira Putina, stara się skrajnie relatywizować rzeczywistość. Podkreśla hipokryzję Zachodu, najczęściej za pomocą teorii spiskowych i prymitywnych wręcz kłamstw. Chociażby wspierając w USA działalność grup uznających Joego Bidena za nieprawomocnego prezydenta, który dopuścił się oszustwa wyborczego. Jeśli więc Amerykanie, ta domniemana ostoja liberalnej demokracji, fałszują własne głosowania, to nawet jak Putin robi to samo, nie wydaje się to przestępstwem, tylko naturą polityki.

Siłą rosyjskiej propagandy jest brak miejsca na szczegół, debatę i analizę faktów. Do jej szerzenia świetnie nadaje się połączenie europejskiej skrajnej prawicy i TikToka.

Tak powstają bazy danych

W listopadzie ub.r. jednym z najpopularniejszych trendów na tej platformie był No Nuance November, „listopad bez niuansu". Użytkownicy kont byli zachęcani do wygłaszania najradykalniejszych poglądów politycznych, bez wchodzenia w szczegóły. Tłumaczenia, uzasadnienia, argumentacja były wręcz piętnowane. To kolejna edycja tej akcji, rozpoczętej już kilka lat temu. W jej ramach publikowano więc miliony krótkich filmów z hasłowymi stwierdzeniami o szkodliwości masowej migracji do Europy, rzekomym spisku wielkich firm farmaceutycznych, które wywołały pandemię, czy tekstami podającymi w wątpliwość naukowy konsensus wokół katastrofy klimatycznej. Uczestniczyli w tym nie tylko zwykli użytkownicy, ale i politycy z AfD, Szwedzkich Demokratów czy hiszpańskiej nacjonalistycznej partii Vox.

Mechaniczne powtarzanie niektórych czynności, wypowiadanie powielanych bezkrytycznie haseł i kwestii to idealny sposób na stworzenie wielkiej i jednocześnie różnorodnej bazy danych. Taka baza to z kolei doskonały pokarm dla modeli sztucznej inteligencji. Trenowane na takich zestawach danych, udoskonalają algorytm TikToka, który w jeszcze skuteczniejszy sposób podsyła użytkownikom tego typu treści. Krótko mówiąc, platforma „uczy się" poglądów internautów, grupuje je razem z innymi informacjami na ich temat i na tej podstawie przewiduje z coraz większą dokładnością, jak może wyglądać kolejny filmik, którym dana osoba się zainteresuje.

Zjawisko to opisała dr Julia Ebner, austriacka badaczka ruchów radykalnych i ekstremistycznych w sieci, związana z Uniwersytetem Oksfordzkim. Zauważyła ona, że pomiędzy radykałami mobilizującymi się za pomocą mediów społecznościowych zachodzą nietypowe związki. Ci sami aktywiści, którzy protestują przeciwko pomocy migrantom w Niemczech czy we Francji, za jakiś czas pojawiają się na grupach sprzeciwiających się unijnym regulacjom klimatycznym czy obowiązkowi szczepienia dzieci. Łączy ich niechęć do politycznego głównego nurtu, ale przede wszystkim pogarda dla faktów oraz procesu naukowego i niewiara w prawdę.

TikTok wprawdzie nie daje użytkownikom specjalnie dobrych funkcjonalności do działalności grupowej, ale dzięki algorytmowi można wpaść w kilka radykalnych pułapek jednocześnie. Aplikacja zidentyfikuje osobę, zdaniem której przybysze z Bliskiego Wschodu są seryjnymi gwałcicielami roznoszącymi zarazki, i w sekcji sugerowanych treści umieści filmy o szkodliwości jedzenia organicznego czy propagandówki o tym, że UE będzie nacjonalizować gospodarstwa unijne w państwach członkowskich i rozdawać je ukraińskim uchodźcom. Później wszystkie te grupy użytkowników zaczną się organizować, wychodzić na manifestacje, wreszcie oddadzą głos w wyborach.

TikTok grę społecznej antagonizacji wyniósł na nowy poziom. Zasady funkcjonowania platformy wzmacniają radykalny przekaz.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

Ile będzie on ważył w rzeczywistości? To pytanie, które zadają sobie ludzie piszący o zjawiskach internetowych i ruchach radykalnych.

A na ile aktywność w sieci przekłada się na realne konsekwencje wyborcze i polityczne? Intuicja podpowiada, że w niewielkim stopniu. Wystarczy popatrzeć na ostatnie wybory parlamentarne w Polsce, w których jednym z głównych przegranych była Konfederacja, ruch radykalny, popularny w internecie, dominujący zwłaszcza na krajowym tiktokowym podwórku. Słabemu wynikowi towarzyszyło sporo komentarzy wyszydzających jej elektorat, takich jak słynne hasła o „zwycięstwie w grupie wiekowej 10-15 lat" lub o braku możliwości zagłosowania na politycznych idoli z powodu niepodbitej legitymacji szkolnej. I faktycznie skrajna prawica najpopularniejsza jest wśród najmłodszych wyborców. W kontekście zbliżających się wyborów do Parlamentu Europejskiego ma to niebagatelne znaczenie, bo, jak przypomina portal Politico, w czterech krajach: Niemczech, Belgii, Austrii i na Malcie, czynne prawo wyborcze w eurowyborach osiąga się już w wieku 16 lat, a w Grecji rok później. Oznacza to, że do grona wyborców dołącza kilka milionów osób, które znacznie więcej czasu spędzają na TikToku i których poglądy są już zbliżone do formacji eurosceptycznych.

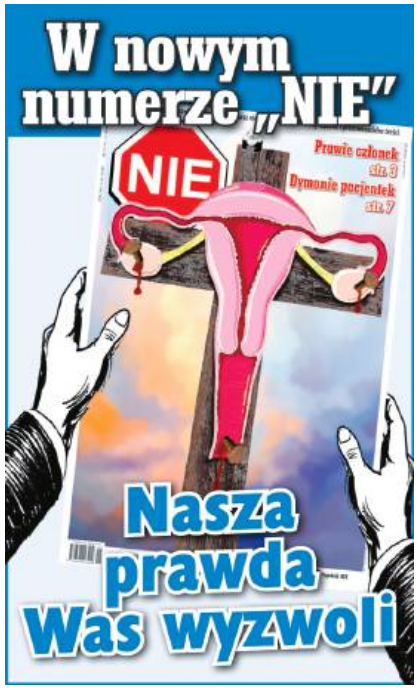

Gwiazdy prawicy

Brukselski portal przeprowadził dokładną analizę obecności eurodeputowanych na chińskiej platformie. Jej wyniki potwierdzają, że liberałowie i obóz progresywny mają czego się obawiać. W liczbach bezwzględnych najwięcej kont na TikToku prowadzą europosłowie z Europejskiej Partii Ludowej, ale dlatego, że to najliczniejsza frakcja w PE. Procentowo statystyki wyglądają już zupełnie inaczej. Na chińskiej platformie aktywnych jest 45% członków frakcji Tożsamość i Demokracja, najbardziej eurosceptycznej w Brukseli, do której należy właśnie AfD, holenderska Partia Wolności Geerta Wildersa czy Liga (dawniej Liga Północna) – ugrupowanie kierowane przez włoskiego wicepremiera Mattea Salviniego, podejrzanego o przyjmowanie pieniędzy na kampanię wyborczą od biznesmenów związanych z Kremlem.

Jeszcze gorzej wygląda analiza aktywności internetowej, bo wiadomo, że posiadanie konta na TikToku to nie wszystko, trzeba umiejętnie i regularnie z niego korzystać. Jak wynika z danych Politico, nawet przy ograniczonej reprezentacji (27 eurodeputowanych na platformie, przy 34 pochodzących z Europejskiej Partii Ludowej) zbiorowa produkcja treści przez radykałów jest znacznie większa. W minionej kadencji stworzyli 2975 wpisów, trzy razy więcej niż Zieloni i prawie dwa razy więcej niż ludowcy. Z TikToka wychodzą też gwiazdy skrajnej prawicy. Konto Jordana Bardelli, delfina francuskiego nacjonalizmu, śledzi 1 mln użytkowników. Doskonale radzą sobie również politycy w stylu Maximiliana Kraha, o marginalnym wpływie na codzienną politykę, ale niezwykle popularni w swojej grupie odbiorców. To znowu zasługa algorytmu ograniczającego różnorodność treści, które użytkownicy mają szansę obejrzeć.

Druga strona politycznego sporu próbuje z dominacją skrajnej prawicy na TikToku walczyć, ale robi to nieudolnie, w dodatku samoogranicza się. Problemem jest kwestia bezpieczeństwa, to w końcu platforma chińska, której technologiczne bebechy nie są do końca znane. Niewiele wiadomo na temat algorytmu TikToka, ale można założyć, że gromadzone dane w jakimś stopniu używane są do trenowania modeli stosowanych przez Chiny – tak działa tam cały system cyfrowy. Dobrze tę tendencję ograniczania się ilustruje przypadek Raphaëla Glucksmanna, francuskiego eurodeputowanego z frakcji Socjalistów i Demokratów, który miał 55 tys. śledzących i był jednym z popularniejszych progresywnych polityków na TikToku. Swoje konto zawiesił w lutym, po tym jak Komisja Europejska uznała, że aktywność na tej platformie może nieść poważne ryzyko dla bezpieczeństwa użytkowników.

Posty wrzucane na TikToka przez organizacje skrajnie prawicowe są odtwarzane trzykrotnie częściej niż materiały innych grup politycznych.

Prawicowi politycy, wśród których wielu patrzy na Państwo Środka co najmniej przychylnie, nie mają z tym problemu, więc w pewnym sensie wygrywają starcie bez walki. Nie będzie to czynnik decydujący o wynikach eurowyborów w skali całego kontynentu, ale może przechylić szalę w kilku pojedynczych głosowaniach. To z kolei może się przełożyć na ogólny układ sił w PE i poparcie dla nowej Komisji Europejskiej – a stąd już krok do decyzji strategicznych, takich jak przyszłość Zielonego Ładu, poparcie dla walczącej Ukrainy, relacje ze Stanami Zjednoczonymi, Izraelem, polityka celna. Oby więc czerwiec, w przeciwieństwie do listopada, nie okazał się ani na TikToku, ani przy urnie wyborczej miesiącem bez niuansu.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Gdzie jest morderca Jolanty Brzeskiej?

Naczelny Sąd Administracyjny wydał niezwykle ważny wyrok, w myśl którego zamknięta zostaje pełna patologii, korupcji i zwyczajnej niesprawiedliwości ścieżka bogacenia się tzw. kupców roszczeń. Skupowali oni przez dekady prawa do nieruchomości odebranych właścicielom na mocy tzw. dekretu Bieruta. Media udokumentowały liczne przykłady nadużyć. Wyspecjalizowani „handlarze", często adwokaci i całe kancelarie, wykorzystując wiek, stan zdrowia i marną sytuację dawnych właścicieli i ich bezpośrednich spadkobierców, odkupowali za rażąco niskie stawki takie prawa (zdarzało się, że za prawo do odzyskania kamienicy płacili kilkadziesiąt złotych), następnie, często z naruszeniem przepisów, pozbywali się lokatorów, niejednokrotnie przemocowo zmuszali ich do wyprowadzki.

Proceder trwał od początku lat 90., w jego konsekwencji „zwrócono" ponad 4 tys. nieruchomości. Szacuje się, że pokrzywdzonych tzw. dziką reprywatyzacją zostało 40-55 tys. mieszkańców stolicy. Każda kolejna ekipa rządząca miastem uprawiała proceder w najlepsze. Niezwykłego tempa „dzika reprywatyzacja" nabrała za rządów prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz, której nawet mąż został beneficjentem takich praktyk. Po upublicznieniu sprawy po latach zrzekł się prawa do lokalu w prestiżowej kamienicy w Śródmieściu. W latach 2000. pojawił się ruch sprzeciwu wobec tego, przynoszącego setki milionów złotych zysku procederu. Lewicowy polityk Piotr Ikonowicz, Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów czy Komitet Obrony Praw Lokatorów, organizując demonstracje i nagłaśniając kolejne skandaliczne przypadki, bezskutecznie usiłowali przebić się do najważniejszych mediów. Ich głos był przez lata pomijany, lekceważony, wyśmiewany.

Sytuacji nie zmieniło ani nie zatrzymało procederu nawet okrutne zabójstwo polityczne, którego ofiarą padła w 2011 r. 64-letnia Jolanta Brzeska, działaczka Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, która skutecznie opierała się próbom pozbycia się jej z mieszkania w kamienicy na Nabielaka, a wysiłki te podejmował jeden z najbardziej charakterystycznych i bezwzględnych „handlarzy nieruchomości" Marek Mossakowski. Brzeska została zamordowana 1 marca 2011 r. Podpalona przez sprawców lub sprawcę, kiedy jeszcze żyła. Jej ciało znaleźli spacerowicze w Lesie Kabackim. Pomimo że na miejscu nie było żadnego naczynia, w którym mogłaby przynieść naftę do samospalenia, policja i prokuratura z niezrozumiałym uporem forsowały przez długi czas wersję samobójstwa Brzeskiej. Jeden z policjantów badających ślady w jej mieszkaniu kilkanaście dni później popełnił samobójstwo. Mordercy Jolanty Brzeskiej do dzisiaj nie zostali złapani, nikomu w tej sprawie nie postawiono żadnych zarzutów.

Jesienią 2010 r. powstał obszerny reportaż Izy Michalewicz na temat stowarzyszeń lokatorskich, w którym jedną z głównych bohaterek była Jolanta Brzeska. Autorka odbiła się od drzwi wszystkich najważniejszych czasopism w Warszawie. Tekst po przeróbkach i uzupełnieniu ukazał się już po śmierci Jolanty Brzeskiej („Jolanta i ogień"). Nie jest żadną specjalną uzurpacją postawienie tezy, że gdyby media zachowały się inaczej, działaczka mogła nie zostać zamordowana.

Śmierć Jolanty Brzeskiej nie stała się punktem zwrotnym w próbie zmierzenia się z „aferą reprywatyzacyjną", nawet dzisiaj w nocie w Wikipedii Brzeska się nie pojawia. Mimo że tekst Izy Michalewicz został uhonorowany prestiżową nagrodą Grand Press w dziedzinie reportażu, trzeba było jeszcze kilku lat, żeby media odetkały się w tej sprawie. W 2016 r. reporterki „Gazety Wyborczej" Iwona Szpala i Małgorzata Zubik opublikowały duży, dobrze udokumentowany tekst na temat kulis funkcjonowania całego procederu reprywatyzacyjnego, gdzie krzyżowały się niejasne interesy urzędników ratusza, adwokatów i „handlarzy nieruchomości". Wyczuwszy polityczny pretekst do ataku na prezydent Hannę Gronkiewicz-Waltz (Platforma Obywatelska), ówczesny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro uruchomił – nieskuteczne, ale potężnie nagłośnione – procedury wyjaśnienia mordu. Zapowiedział wznowienie śledztwa dotyczącego zabójstwa Brzeskiej i powierzenie go prokuraturze spoza Warszawy. Równocześnie wszczęto postępowanie wobec prokuratorów prowadzących wcześniejsze śledztwo „za rażące braki i zaniechania na pierwszym etapie śledztwa związanego z wyjaśnieniem okoliczności tragicznej śmierci Jolanty Brzeskiej". Powstała słynna Komisja Reprywatyzacyjna, której pracom przewodził Patryk Jaki. Ani śledztwo, ani chaotyczne, źle przygotowane działania komisji nie przyniosły żadnych realnych efektów. Śledztwo zostało umorzone, znów nikomu nie postawiono zarzutów.

Dzisiaj Jolanta Brzeska ma w Warszawie, niedaleko kamienicy, z której wyszła 1 marca 2011 r., bez kluczy i telefonu, skwerek swojego imienia. Wyrok NSA cieszy, ale ta sprawa wciąż nie została zamknięta. Lista oskarżonych o zaniedbania w jej wyjaśnieniu jest długa. A mordercy Jolanty Brzeskiej są wciąż na wolności. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Skuteczny jak Pellegrini

Prorosyjska socjaldemokracja zdobyła na Słowacji pełnię władzy

Łukasz Grzesiczak
Korespondencja z Bratysławy

Kiedy w 2019 r. prezydentką została prawniczka i działaczka organizacji pozarządowych Zuzana Čaputová, która na ostatniej prostej kampanii wyborczej opowiedziała się m.in. za adopcją dzieci przez pary jednopłciowe, demokraci z sąsiednich państw z zazdrością i podziwem patrzyli na Słowację. Dziennikarze pytali o przyczynę przemiany bardzo tradycyjnego słowackiego społeczeństwa, a politolodzy musieli się mierzyć z pytaniem, czy kobiety wygrywające wybory prezydenckie w Polsce lub Czechach to political fiction.

Ten czas mamy już dawno za sobą. W zeszłym roku wybory do jednoizbowego słowackiego parlamentu wygrał prorosyjski, eurosceptyczny, krytykujący NATO Robert Fico. Lider socjaldemokratycznej (przynajmniej wedle deklaracji liderów) partii Smer należy do najbardziej zagorzałych krytyków Zuzany Čaputovej. Fico słowacką prezydent nazwał „amerykańską agentką grzecznie wykonującą polecenia ambasady USA w Bratysławie". W ten sposób, i tak uprzejmie, krytykował m.in. zdecydowane wsparcie Čaputovej dla Ukrainy zaatakowanej przez Rosję. Poseł Smeru i obecny wicemarszałek parlamentu Ľuboš Blaha podczas wiecu w Nitrze 1 maja 2022 r. wspólnie z publicznością skandował, że „Čaputová to amerykańska k...". Polityk wielokrotnie na swoim oficjalnym koncie w mediach społecznościowych prezydentkę nazywał „amerykańską agentką".

Bez konkurencji

O fotel słowackiego prezydenta ubiegało się 11 mężczyzn. Pierwszą turę 23 marca niespodziewanie wygrał Ivan Korčok, na którego oddano 42,51% głosów. To były minister spraw zagranicznych w koalicyjnym rządzie prawicy i liberałów, który powstał po odsunięciu w 2020 r. Smeru od władzy. Korčok przez lata był jednym z najważniejszych słowackich dyplomatów, m.in. pracował w USA.

Do drugiej tury dostał się także faworyt wyborów, 48-letni Peter Pellegrini, wieloletni bliski współpracownik Roberta Ficy. W 2006 r. został posłem Smeru. Szybko wspinał się po szczeblach kariery politycznej. W 2014 r. był już ministrem, potem marszałkiem, w 2016 r. wicepremierem, a w 2018 r. na dwa lata premierem po dymisji Roberta Ficy. Zastąpił politycznego mocodawcę, gdy ten musiał odejść w 2018 r. po protestach wywołanych zabójstwem dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej, archeolożki Martiny Kušnírovej. Wtedy Pellegrini rzucił wyzwanie

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cecf2a93f3

Wygrana Petera Pellegriniego (nz. drugi z lewej) może być dowodem na to, że Słowacy popierają działania Roberta Ficy.

Ficy i wystartował w wyborach na szefa partii. Przegrał. Wraz z grupą polityków opuścił Smer i założył konkurencyjną socjaldemokratyczną partię Hlas.

Fico od zawsze był populistą, ale nigdy nie miał zideologizowanej agendy. Powrócił jako polityk o nastawieniu prorosyjskim, krytycznym wobec UE i NATO. Kiedy walczył o bardziej zradykalizowanego i antysystemowego wyborcę, Hlas Pellegriniego zaczął łowić wyborców bliżej centrum.

Pellegrini na nowo zbliżył się z Ficem po wrześniowych wyborach w 2023 r. Hlas – mimo atrakcyjnych ofert ze strony progresywnej partii Postępowa Słowacja (z niej wywodzi się Zuzana Čaputová), która proponowała Pellegriniemu nawet funkcję premiera – stworzył rząd ze Smerem i Słowacką Partią Narodową. Sam Pellegrini do rządu nie wszedł, objął fotel marszałka parlamentu i uzyskał obietnicę, że nowy rząd poprze go w wyborach na prezydenta Słowacji. Tak też się stało. Tym samym został faworytem, zwłaszcza że słowaccy demokraci byli rozbici i zaskoczeni, kiedy kilka miesięcy przed wyborami Čaputová, ich faworytka, ogłosiła, że nie będzie się ubiegać o reelekcję. Dlatego 37,02% głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich było sporym zaskoczeniem.

Pozostali kandydaci byli tylko tłem dla Korčoka i Pellegriniego. Na byłego prezesa Sądu Najwyższego Štefana Harabina głosowało 11,73% wyborców. Wielu z nich miało zapewne prorosyjskie poglądy. W lutym 2022 r., krótko po inwazji Rosji na Ukrainę, polityk napisał, że zrobiłby „to samo, co Putin w związku z wydarzeniami w Ukrainie", bo „jest obowiązkiem Rosjan pacyfikować nazistów". Pozostałych ośmiu kandydatów zebrało w sumie mniej niż 9% poparcia, a byli wśród nich kandydat mniejszości węgierskiej Krisztián Forró (2,90%), premier z lat 2020-2021 Igor Matovič (2,18%) czy prawomocnie skazany za promowanie neofaszyzmu Marian Kotleba (0,56%).

Kampania na szybko

Na dobre kampania rozkręciła się przed drugą turą wyborów 6 kwietnia (Słowacy prezydenta wybierali w sobotę). Była jednak bardzo krótka, bo dwa tygodnie ograniczono o 48-godzinną ciszę wyborczą, a do tego obejmowała Wielkanoc, kiedy zainteresowanie polityką zwykle jest mniejsze.

Prodemokratyczny elektorat i w większości wspierające Korčoka liberalne słowackie media uwierzyły w szanse zwycięstwa swojego kandydata. Zachęcały, by każdy wyborca Ivana Korčoka przekonał choć jedną osobę do oddania na niego głosu w drugiej turze. Ale Peter Pellegrini obudził się z letargu, w który wprowadziło go poczucie, że jest faworytem wyborów. Zintensyfikował działania kampanijne i wbrew strategii sprzed pierwszej tury szukał szans na przedwyborcze debaty z Korčokiem.

Na ostatniej prostej, kilka godzin przed rozpoczęciem ciszy wyborczej, w czasie debaty zorganizowanej przez publicznych nadawców politycy zostali zapytani, czy Słowacja powinna wypełnić zobowiązanie wynikające z art. 5 i „przyjść z pomocą zaatakowanemu przez Rosję państwu NATO, np. Polsce".

Ivan Korčok bez wahania odparł, że Słowacja nie może być pasażerem na gapę, i zdecydowanie opowiedział się za pomocą. Peter Pellegrini kluczył i przekonywał, że Słowacja jest kompletnie rozbrojona (przez poprzedników, którzy wysyłali broń Ukrainie, czemu obecny prorosyjski rząd się sprzeciwia) i nie miałaby czym pomagać.

Podobne pytanie przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2023 r. w Czechach usłyszeli Petr Pavel i Andrej Babiš. Wówczas Babiš, który przekonywał, że nie wciągnie Republiki Czeskiej w wojnę z Rosją, o co oskarżał konkurenta, emerytowanego generała, odmówił hipotetycznego wysłania wojsk na pomoc Polsce.

To pytanie pogrążyło Babiša, ale na Słowacji Pellegriniemu nie zaszkodziło, co pokazuje wyraźne różnice między Czechami i Słowakami. Ci drudzy są zdecydowanie bardziej prorosyjscy. Według raportu „Globsec Trends 2023", w którym popularny słowacki think tank analizuje nastroje społeczeństw Europy Środkowej i Wschodniej, tylko 40% Słowaków uważało, że za inwazję na Ukrainę odpowiedzialność ponoszą Rosjanie. W przypadku Czechów takiego zdania jest 71% ankietowanych. Jedynie 58% Słowaków głosowałoby teraz za pozostaniem w NATO, podczas gdy za członkostwem opowiedziałoby się 85% Czechów.

Polityk pokoju?

Peter Pellegrini podczas kampanii prezydenckiej przedstawiał się jako „polityk pokoju" i przekonywał, że wysyłanie broni Ukraińcom walczącym z Rosją jedynie przedłuża konflikt. Jest zwolennikiem zmuszenia Ukraińców i Rosjan, by usiedli do rokowań pokojowych. Naturalnie na warunkach Rosji, ponieważ podobnie jak jego polityczny mocodawca Robert Fico jest przekonany, że nie ma szans, by Rosjanie wycofali się z zajętego terytorium Ukrainy. Jednocześnie lider Smeru przedstawiał swojego oponenta jako tego, kto chce „zaciągnąć" Słowaków do wojny z Rosją. Twierdził także, że Ivan Korčok reprezentuje interesy nie zwykłych Słowaków, ale Brukseli i Amerykanów oraz organizacji pozarządowych wspieranych przez Sorosa.

Osią sporów była też ochrona praw socjalnych, które Słowakom obiecał nowy rząd Roberta Ficy. Korčok, przeciwnik Ficy, według

W pałacu prezydenckim zabraknie głosu prodemokratycznego, prounijnego, który choćby symbolicznie zapewniał o zakotwiczeniu Słowacji w strukturach europejskich.

eprasa.pl cecf2a93f3

Pellegriniego po ewentualnym zwycięstwie wkładałby kij w szprychy rządowi. Z pewnością w przekonywaniu do tej oceny pomógł fakt, że Ivan Korčok jako przedstawiciel partii liberalnej był członkiem poprzedniego gabinetu, który np. zlikwidował dofinansowanie stołówek szkolnych, choć odpowiadał w nim nie za politykę społeczną czy budżet, ale za sprawy europejskie i międzynarodowe.

Z drugiej strony Korčok straszył, że wybór Pellegriniego będzie oddaniem pełni władzy prorosyjskim populistom. W jego oczach walka toczyła się o pozostanie Słowacji w grupie państw cywilizacji Zachodu i powstrzymanie jej przesuwania się na Wschód, prosto w paszczę Putina.

Tym razem apele o moralność okazały się mniej skuteczne niż odwołanie do portfela. Przy frekwencji 61,14% (wyższa niż w latach poprzednich, ale i tak niższa niż w zeszłorocznych wyborach parlamentarnych) wygrał Peter Pellegrini. Zdobył 53,12% głosów. Na jego kontrkandydata zagłosowało 46,87% (dane zaokrąglone do drugiego miejsca po przecinku, dlatego suma nie daje 100).

Kampanii, podobnie jak przed wyborami w zeszłym roku, towarzyszyły dezinformacja i fake newsy. Przegrany kandydat został zaatakowany fałszywą stroną ivankorcok2024.sk, która udawała jego oficjalną witrynę. Publikowano tam nieprawdziwe stwierdzenia Korčoka, które mogły go skompromitować w oczach wyborców.

Warto pamiętać, że kompetencje prezydenta Słowacji są jeszcze mniejsze od tych w Polsce. W przypadku prezydenckiego weta do jego odrzucenia wystarczy 76 głosów w 150-osobowym jednoizbowym parlamencie, czyli tyle, ile ma większość parlamentarna. Prezydent może utrudniać działania rządu, zaskarżając ustawy do Sądu Konstytucyjnego, czyli słowackiego odpowiednika Trybunału Konstytucyjnego. Choć prezydent na Słowacji jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, wysłanie słowackich żołnierzy za granicę czy wypowiedzenie wojny nie leży w jego kompetencjach. Konstytucja stanowi, że to rząd decyduje o ogłoszeniu stanu wojennego, zarządzeniu mobilizacji sił zbrojnych czy wysłaniu żołnierzy za granicę. Wypowiedzenie wojny leży w kompetencji słowackiego parlamentu i potrzeba do tego zgody trzech piątych posłów. Tym samym najważniejsze tematy kampanii wyborczej nawet nie dotykały kwestii, które zależą od prezydenta.

Populiści górą

Z pewnością zwycięstwo Pellegriniego ma znaczenie symboliczne. Wielu publicystów przedstawiało wybory prezydenckie jako wotum zaufania dla nowego rządu. Wygrana Pellegriniego może być dowodem na to, że Słowacy popierają działania Roberta Ficy.

Pellegrini jest zwolennikiem zmuszenia Ukraińców i Rosjan, by usiedli do rokowań pokojowych. Naturalnie na warunkach Rosji.

W pałacu prezydenckim, z którego wyprowadzi się Zuzana Čaputová, zabraknie głosu prodemokratycznego, prounijnego, który chociaż symbolicznie zapewniał o zakotwiczeniu Słowacji w strukturach europejskich, w NATO i – jak patetycznie zwykli mówić przeciwnicy Roberta Ficy – w świecie cywilizacji Zachodu. Warto jednak pamiętać, że triumf prorosyjskiego populizmu rozpoczęło zwycięstwo Smeru w zeszłorocznych wyborach parlamentarnych. Drogę do niego utorowali sami słowaccy demokraci – nieudolnymi i chaotycznymi rządami konserwatystów i liberałów, zakończonymi zresztą powołaniem rządu technicznego i przedterminowymi wyborami. Demokratom z pewnością nie pomogła także niezrozumiała dla części elektoratu decyzja Zuzany Čaputovej o rezygnacji z walki o reelekcję, kiedy wydawało się, że ponowny wybór ma w kieszeni. Naturalnie trudno wymagać od polityka, by podejmował decyzję o kandydowaniu wbrew swoim chęciom, jedynie z uwagi na ryzyko zwycięstwa przeciwników politycznych. Z drugiej strony, jeżeli naprawdę walka dotyczyła – jak słyszę na Słowacji – zakotwiczenia kraju w cywilizacji Zachodu, czy decyzja Čaputovej nie dolała paliwa politykom, którzy w niezrozumiały dla nas sposób niebezpiecznie flirtują z Putinem?

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

WYDAWNICTWO KONTYNENTY POLECA

Katarzyna Nizinkiewicz
Lato w Hiszpanii

Katarzyna Nizinkiewicz wędruje samotnie od lat. Jej trasy wiodą przez peryferie Europy, niemal zawsze po bezludziach, miejscach zapomnianych, ale jakże przez to ciekawych. Czytając opowieść o trwającej 88 dni i liczącej 2,3 tys. km wyprawie, czytelnik odkrywa nowe, nieznane oblicze Hiszpanii – tej prawdziwej, niekomercyjnej; zachwyca się surowym pięknem parków naturalnych, gór, lasów, łąk nieskażonych cywilizacją.

A więcej opowieści podróżniczych można przeczytać w magazynie „Kontynenty". Wydane po długiej przerwie w zmniejszonym formacie, idealnym na podróż, prowadzą po bezdrożach całego świata, ale i palcem po mapie. Do lektury zaprasza redaktor naczelny Dariusz Fedor.

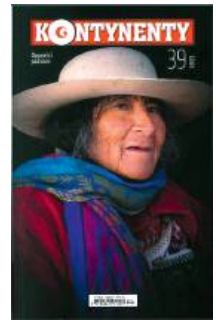

eprasa.pl cecf2a93f3

Oko w oko

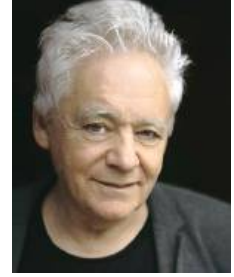

Tomasz Jastrun

Wygrani przegrani

Mieszane uczucia wobec wyników wyborów samorządowych. Marzyła się klęska PiS, a ma ono nieznacznie lepszy wynik niż KO. Wina Tuska, trzeba było iść w koalicji z Lewicą, a nie stawiać na jej marginalizację. Ładna pogoda i młodzi nie poszli głosować. Statystyki mówią, że wieś zdecydowanie głosowała na PiS, a młodzi, gdy głosowali, to zdecydowanie przeciwko PiS. Jak spojrzeć na to z lotu ptaka, Koalicja 15 Października jednak wygrała. Ale wzmocnił się też Kaczyński. Pyrrusowe zwycięstwo. PiS z prezesem i jego zepsutą konserwą nie ma szans na przyszłość. W wiek wyborczy wchodzą młode roczniki, jak mój syn, są bardzo liberalne. Półprzytomni staruszkowie zakochani w prawicy odchodzą w niebyt. PiS z prezesem nie zmieni jednak obskurranckiego oblicza, a z tym obliczem nie ma szans na przyszłość. Jakby nie dosyć dramatu, PiS bez prezesa się rozpadnie, więc jak 15 października PiS wygrało, ale przegrało. Dla koalicji ostrzeżenie, by się nie kłócić. Generalnie PiS, chociaż opornie, kontynuuje tendencję spadkową. Faktem jest druzgocąca klęska prawicy we wszystkich dużych miastach, krzyczący podział na Polskę wschodnią, czyli dawny zabór carski, i zachodnią, na młodą i starą, na inteligencką i lud. I jest nieprzemakalność sekty pisowskiej. Skrajnie przerażona rządami Tuska karnie i w trwodze ruszyła na wybory.

Faktem jest druzgocąca klęska prawicy w dużych miastach, krzyczący podział na Polskę wschodnią i zachodnią, na młodą i starą, na inteligencką i lud.

•

Mam stały kontakt z Karoliną i Violą, obie mieszkają w Jerozolimie. Piszą, że sytuacja jest beznadziejna. Natomiast Nina, lekarka z Aszkelonu, miasta blisko Gazy, pisze mi: „U nas źle jak jeszcze nigdy. Cała nasza »góra« powinna popełnić samobójstwo, nawet służę pomocą – jeśli trzeba". I ta niezręczność i arogancja izraelskiej dyplomacji. Izraelski ambasador w Polsce Jaakow Liwne musiał nagadać głupstw po ataku na konwój humanitarny, w którym zginął Polak. Zgadzam się z Witoldem Juraszem, że Liwne wyraźnie Polski nie lubi, a przecież ambasador powinien chociaż trochę lubić kraj, w którym urzęduje, jeśli to nie jest dyktatura. Liwne skupia się głównie na polskim antysemityzmie, którego za wiele, ale teraz nie dominuje. Polska należała do krajów wspierających Izrael, co było widoczne w mediach. Przez ambasadora trzeba chyba używać czasu przeszłego. Zgadzam się z Juraszem: „W wypadku ambasadorów Izraela profesjonalizm mierzy się jednak również jeszcze jedną miarą. Tą, która pokazuje, czy ambasador przyczynia się do spadku, czy też do narastania nastrojów antysemickich". Ambasador Liwne przyczynił się na pewno do tego drugiego. Jest więc poruszenie i wzmożenie wśród polskich antysemitów, których wielu, szczególnie w starszej generacji, i zakłopotanie wśród Izraelowi życzliwych. Izraelczycy tym bardziej nie mogą teraz zaatakować tego, co zostało z Gazy, a muszą to zrobić, bo tam podziemne miasto Hamasu i zakładnicy. Wszyscy już zapominają, od czego to się zaczęło, hamasowcy zamordowali ponad tysiąc osób, gwałcili i mordowali kobiety, mordowali małe dzieci i obcinali im głowy, byli bardziej okrutni niż hitlerowcy. I są zakładnicy. Jakie państwo mające potężną armię zignorowałoby taką zbrodnię? A przecież bliższy nam dramat na Ukrainie, już do niego przywykliśmy, nawet do zapachu III wojny światowej. Myślę o moich synach.

Wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej w Polsce, chociaż odległe, staje się realne. Poczucie absurdu tych wszystkich wojen i wzajemnych mordów. Odczuwa się to dotkliwie, jak już się jest w starszym wieku, wtedy w pełnym blasku widać ten absurd.

•

Wydałem w Austerii tomik wierszy „Epoka wymierania", sam miałem pomysł, by na okładkę dać wizerunek trylobita. Ta okładka to mój najładniejszy wiersz. Trylobit jest jak przybysz z kosmosu. Mam słabość do tych skamielin. W domu mam kilka trylobitów, czasami głaszczę ich karbowane grzbiety. Wiersze są o starzeniu się, starości i umieraniu. Moja żona wpadła w panikę, jak je przeczytała. Nie wiedziała, że jestem taki stary. Ja też się nimi zmartwiłem.

Spotykam się ze znaną pisarką, pijemy kawę, ona trochę młodsza ode mnie. Mówi: „Wiesz, czuję, że zaraz umrę". A nie jest na nic chora. Ja tylko wiem, że powszechnie umierają moi znajomi. Kiedyś robili to ostentacyjnie, w blasku reflektorów, teraz szeptem.

Wracając do tomiku, mam już do niego dystans i widzę, że trochę wierszy jest martwych, kołyszą się wśród żywych jak śnięte rybki w akwarium. Jak mogłem ich nie usunąć? Zepsuło mi to przyjemność z wydania tej książki, która i tak jest, jak to poezja dzisiaj, na marginesie, majaczącym jak odległy brzeg. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Agata Całkowska

Radosław Śmigulski był niczym Obajtek świata kina.

Pora na nowego dyrektora

Radosław Śmigulski został odwołany. Polski Instytut Sztuki Filmowej wymaga głębokiej reformy i jasnych procedur

Radosław Śmigulski był niczym Obajtek świata kina. Bo jak inaczej określić nominata politycznego, który wcześniej z polskim filmem miał niewiele wspólnego? No, może poza pracą w firmie producenckiej, która ośmieszyła się kuriozalnym projektem „Kac Wawa".

Śmigulski w 2017 r. wygrał konkurs na dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej jednym głosem. Kontrkandydatką była Izabela Kiszka-Hoflik, p.o. dyrektor PISF, producentka, osoba doświadczona i znająca instytut od środka. Minister kultury Piotr Gliński mógł przyjąć decyzję komisji lub rozpisać nowy konkurs, ale rzecz jasna powołał swojego człowieka przyniesionego w teczce.

Dyrektor Śmigulski zwalniał pracowników hurtowo i przegrał kilka procesów, co poskutkowało wypłaceniem odszkodowań z kasy instytucji. Znany był także z wysyłania autorom niepochlebnych tekstów czy materiałów na jego temat, pism przedprocesowych i żądań sprostowań oraz wpłat na cele charytatywne. Sama takie żądanie sprostowania otrzymałam. Do dzisiaj nie wierzę w to, że odmowa dotacji na film Smarzowskiego „Wesele 2" nie była podyktowana zamówieniem politycznym.

Chciałabym jako obywatelka dowiedzieć się, ile publicznych pieniędzy wypłacono byłym pracownikom PISF. W jaki sposób dyrektor zatrudniał nowych specjalistów i jaka była rotacja pracowników przez ostatnie lata? Czy plotka, że współpracowniczki wybierał poprzez portale społecznościowe to złośliwość? Do instytutu wejdzie kontrola, która, mam nadzieję, wykaże, jak naprawdę wyglądały rządy Śmigulskiego.

Radosław Śmigulski był pewnym siebie urzędnikiem, który twierdził, że jego dyrektorowanie to najlepsze lata polskiego kina. Ja dowiedziałam się przez ostatnie lata od filmowców, że każdy z nich jest zdany tylko na siebie i bardzo wielu, zależnych od Śmigulskiego, patrzyło przez palce na niszczenie kolegów. Niejeden w autoryzacji wyrzucał swoje opinie o panu Radosławie lub wręcz zastrzegał, że na temat PISF rozmawiać nie będzie. To ta wolność prasy ostatnich lat.

Tym bardziej cieszyło mnie, kiedy w styczniu pięć najważniejszych organizacji filmowych: Związek Zawodowy Reżyserów Polskich – Gildia Reżyserów Polskich (110 reżyserek i reżyserów), Związek Zawodowy Scenarzystów Polskich – Gildia Scenarzystów Polskich (186 scenarzystek i scenarzystów), Krajowa Izba Producentów Audiowizualnych (160 producentów wszystkich gatunków filmowych), Kobiety Filmu (4,3 tys. członkiń reprezentujących wszystkie zawody filmowe) oraz Studio i Szkoła Wajdy, wysłało do ministra Sienkiewicza list z prośbą o interwencję.

W odpowiedzi na zarzuty środowiska, m.in. o zniszczenie struktury organizacyjnej instytutu skutkujące zablokowaniem prac nad kolejnymi projektami, realizowanie agendy politycznej, stosowanie restrykcji i cenzury wobec artystów, dyrektor Śmigulski chwalił się doskonałą współpracą z Agnieszką Holland, Małgorzatą Szumowską i Kingą Dębską. Jedna z nich była w 11-osobowej komisji konkursowej, która w listopadzie 2022 r. wybrała Śmigulskiego na kolejną kadencję. Czy to więc przypadek, czy sprawne szukanie orędowników własnej wizji Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej?

Wspomniana reżyserka zabierała dyrektora na prywatne koncerty do zaprzyjaźnionego Stinga, którego ostrzegała przed wystąpieniem w tej „strasznej pisowskiej TVP". Paradne, ale właściwie zrozumiałe, bo do zrobienia filmu potrzeba twórcom budżetów opiewających na miliony złotych, którymi przez ostatnie lata zarządzał Śmigulski.

Poza wspomnianymi przez dyrektora Śmigulskiego reżyserkami również na trzy filmy otrzymali

eprasa.pl cecf2a93f3

publiczne pieniądze Robert Gliński i Krzysztof Łukaszewicz, reżyser kina historycznego, którego stworzenie było jedną z idée fixe PiS. Gdy patrzę, jak owa reżyserka głosująca za drugą kadencją Śmigulskiego, najgorszego dyrektora w historii PISF, jest obecnie przedstawiana jako świetlana postać walcząca z PiS, to śmiem mieć wątpliwości. Bo znam historie osób, które za przeciwstawienie się apodyktycznym rządom Śmigulskiego zapłaciły najwyższą cenę. Pomimo wielu nagród, udanych projektów, Złotych Lwów w Gdyni stały się w publicznej instytucji persona non grata.

Radosław Śmigulski był tak pewny siebie, że w sądzie wojował nawet z reżyserem Rafałem Wieczyńskim, który, powołany przez ministra Piotra Glińskiego, jako przewodniczący rady instytutu zwracał uwagę, że dyrektor łamie prawo, nie publikując na stronie PISF uchwał rady – konserwatywny reżyser zaczął je publikować na swoim profilu na Facebooku. Rafał Wieczyński przyszedł do PISF jako nominat prawicy, ale szybko się zorientował, że Radosław Śmigulski ma zupełnie inną niż on wizję tej publicznej instytucji. Miało być przejrzyście, miało być klarownie, ale panowie z tego samego obozu politycznego w kluczowych sprawach jednak się nie dogadali.

Radosław Śmigulski z dniem 11 kwietnia 2024 r. przestał być demiurgiem polskiego kina. Dzięki informacjom od samego środowiska filmowców minister Bartłomiej Sienkiewicz podjął tę ważną dla polskiej kinematografii decyzję.

PISF wymaga głębokiej reformy i jasnych procedur. Bo widząc wykwity filmowe ostatnich lat, trudno uwierzyć, że wsparcie finansowe otrzymały „najlepsze projekty". Dyrektor Śmigulski w odpowiedzi na zarzuty środowiska przyznawał, że dość rygorystycznie podchodził do źle przygotowanych projektów. Panie niedyrektorze Śmigulski, czekam więc na kolejny film Roberta Glińskiego „Rzeź Woli", przyznając, że tego ostatniego nie dałam rady obejrzeć w całości, czekam też na film choćby Ewy Stankiewicz, bo bardzo mnie ciekawi, co przygotuje ta prawicowa dziennikarka za 4 mln dotacji z PISF.

W odpowiedzi na zarzuty środowiska raczył pan wspomnieć, że publicznie wystąpił w obronie wizji reżysera i twórców filmu „Biała odwaga", narażając się na ataki ze strony chociażby ówczesnego ministra Zbigniewa Ziobry. To ciekawe, biorąc pod uwagę, że film Koszałki dostał pieniądze z odwołania, czyli chyba nie od początku był pan tym projektem zachwycony? Nie mówiąc o tym, że przyzwoite zachowanie przytaczał pan jako coś wyjątkowego. Jako urzędnik publicznej instytucji powinien pan rozumieć, że to jest pana praca i powinność, aby wstawiać się za najlepszymi projektami zawsze. I tego życzę wyłonionemu w transparentnym konkursie następcy, aby dobro filmu było na pierwszym planie ponad polityką i prywatą.

Agata Całkowska od 20 jest lat dziennikarką zajmującą się kulturą i tematami społecznymi. Współpracowała z TVP Kultura i TVP 2, wydawała audycje kulturalne w TOK FM. Wywiady z ludźmi kultury publikuje w „Wolnej Sobocie" ■

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl cecf2a93f3

Garstka gra Czyżewską

To nie lament nad zmarnowanymi szansami, ale głód tworzenia

Barbara Garstka udźwignęła ciężar legendy. Ukazała niepokoje młodej kobiety szukającej swojego miejsca na ziemi.

Tomasz Miłkowski

Najpierw wypatrzył ją Jerzy Markuszewski i zaprosił do Studenckiego Teatru Satyryków. Po studiach znalazła się w zespole warszawskiego Teatru Dramatycznego, który zdobywał sławę pierwszej polskiej sceny.

Potem Stanisław Bareja odkrył ją dla filmu. Stała się gwiazdą komedii, grała film za filmem. Po „Giuseppe w Warszawie" (1964) nazywano ją „Cybulskim w spódnicy". Po brawurowo zagranej roli w sztuce Arthura Millera „Po upadku" (1965) – na premierze gratulacje składał jej sam autor – okrzyknięto ją polską Marilyn Monroe. Kiedy 13 czerwca 1965 r. odbierała Złotą Maskę i tego samego dnia brała ślub z amerykańskim dziennikarzem Davidem Halberstamem, korespondentem „New York Timesa", była u szczytu kariery. Miało się okazać, że był to także dzień zapowiadający długi zmierzch amerykańskiego snu.

Ten dzień nazwała najszczęśliwszym Magdalena Małecka-Wippich w tytule monodramu o dramatycznych losach Elżbiety Czyżewskiej. To inteligentnie napisany scenariusz, z energią zagrany przez utalentowaną Barbarę Garstkę, obdarzoną łatwością nawiązywania kontaktu z widownią, przygotowaną warsztatowo, aby przez ponad godzinę skupiać na sobie uwagę.

Już to, aby punktem wyjścia monodramu uczynić wyobrażony protest bohaterki na samą myśl, że ktoś miałby napisać o niej sztukę, buduje autoironiczny dystans do opowiadanej historii, zaciekawia, co z tego wyniknie i jak sobie autorka i aktorka poradzą z kaprysami gwiazdy. Dobry był też pomysł, aby w centrum opowieści ulokować ów „najszczęśliwszy dzień" w życiu Elżbiety Czyżewskiej, kiedy otrzymała przyznaną jej przez czytelników „Expressu Wieczornego" Złotą Maskę i gdy wybrała już swojego życiowego partnera, z którym wkrótce wyjedzie do Ameryki. Wtedy nie wiedziała, że ten związek przyniesie jej wiele cierpień, że zostanie oskarżona o brak uczuć patriotycznych i popieranie syjonistów, że w Ameryce furory nie zrobi, a jej małżeństwo legnie w gruzach. Nie wiedziała, że wyzwiska i pogróżki zastąpią listy od pełnych entuzjazmu i podziwu dla jej talentu wielbicieli. Że zacznie być obiektem szykan i inwigilacji. Przekona się, jak niewiele dzieli sławę i niesławę. Ale wtedy wszystko zapowiadało się dobrze albo jeszcze lepiej.

Tamtej Czyżewskiej już nie ma. Nie ma też tamtej publiczności. Polska bardzo się zmieniła. Dzisiaj do teatru chodzą nowi widzowie.

Barbara Garstka udźwignęła ciężar legendy. Ukazała niepokoje młodej dziewczyny z sierocińca, z warszawskiego Powiśla, szukającej swojego miejsca na ziemi. Odsłoniła jej skryte pragnienie, aby być przez wszystkich kochaną i podziwianą, przypomniała jej katorżniczą wręcz pracę, którą Czyżewska chciała dowieść, że jest tego naprawdę warta, że wszystko potrafi zagrać. Bycie na scenie, na ekranie, na estradzie miało być jej ucieczką od samej siebie – najwyraźniej nie

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl cecf2a93f3

doceniała siły swojej osobowości, gotowa uwierzyć, że jest dziewczyną przeciętną, wręcz banalną.

Pojawia się zatem wśród nas z walizką, z której wydobywa kilka rekwizytów i przemienia się na naszych oczach w młodziutką gwiazdę świętującą swój najszczęśliwszy dzień. Kiedy ogląda się sceny z życia srebrnej Eli, tak niegdyś kochanej, można ulec wrażeniu, że opowiada o sobie ona sama. Tak czy owak, ja nie mogłem się uwolnić od wspomnienia ostatniego spotkania z aktorką podczas wywiadu dla „Tele Tygodnia".

Na początku lat 90. Czyżewska zaproponowała Piotrowi Cieślakowi, ówczesnemu dyrektorowi Teatru Dramatycznego w Warszawie, w którym swego czasu debiutowała (w „Wizycie starszej pani" Friedricha Dürrenmatta, 1958), sztukę „Szósty stopień oddalenia". Na owe czasy w Polsce dramat odważny, którego autorem był John Guare, rzecz o czarnoskórym geju próbującym przebić się do kręgu wpływowego establishmentu. Dzięki podpowiedzi Andrzeja Wajdy upatrzyła w Omarze Sangare, polskim czarnym aktorze, wykonawcę głównej roli, sama też postanowiła stanąć po latach na scenie Dramatycznego. I rzeczywiście sztuka w reżyserii Piotra Cieślaka pojawiła się na afiszu 12 marca 1994 r.

Jednak rachuby aktorki na triumfalny come back zawiodły. Wprawdzie zagrała rolę koneserki sztuki Louise więcej niż poprawnie (chociaż część recenzentów kaprysiła), ale nie była to rola wybitna, a Omar Sangare swoją żywiołowością i tak przyćmił resztę obsady.

Rozczarowanie powrotem do Warszawy wynikało nie tyle z nieudanej roli (bo taka przecież nie była), ile z upływu czasu. Niegdysiejsza gwiazda nie starzała się razem ze swoją publicznością, która pamiętała ją jako żywe srebro. Czyżewska, przybywając z oddalenia, nie przypominała dawnej Elżuni. Wprawdzie w latach 80. kilka razy pojawiła się gościnnie w polskich filmach, ale nie były to role na miarę jej talentu i oczekiwań. Publiczność o niej zapominała.

Mieszkała teraz przez kilka miesięcy w pokoju gościnnym w Dramatycznym, w teatralnym bufecie samotnie zajadała się ciastkami i popadała w melancholię. Nigdy już na scenę nie wróciła.

Wtedy właśnie, w bufecie Dramatycznego, umówiła się ze mną na wywiad. Od razu zastrzegła: – Niektórzy moi znajomi przestrzegali mnie przed ryzykiem pojawienia się na polskiej scenie. „To coś innego niż film", mówili. „Jesteś odważna". A przecież to nie jest żaden mój powrót do teatru, w USA gram przede wszystkim w teatrze. Jednak w Polsce nie składało się, żebym mogła wystąpić w jakiejś sztuce. Tym razem się udało.

– Ludzie przychodzą, żeby zobaczyć Czyżewską, jaką pamiętają ze starych filmów – wtrąciłem.

– Tamtej Czyżewskiej już nie ma. Nie ma zresztą także tamtej publiczności. Polska bardzo się zmieniła. Dzisiaj do teatru chodzą nowi widzowie. Nie widzieli mnie nigdy na scenie.

Rozmawialiśmy prawie jak dobrzy znajomi, ale na koniec nie popisałem się. Zauważyłem od niechcenia, że podobno wszyscy pytają: „Czy pani wróciła?".

Odpowiedziała zniecierpliwiona: – Irytuje mnie to pytanie. Pochodzi z innej epoki. To nieważne, gdzie się mieszka i gdzie pracuje. Ważne jest, co się robi. Kiedy odpowiadam na pytania dziennikarzy, wydaje mi się, że ciągle gram w tej samej sztuce. Nie wiem dlaczego, ale przypomina mi się wtedy kwestia ze „Wszystko na sprzedaż", którą trener wypowiada pod adresem Daniela Olbrychskiego: „Za późno do sportu wróciłeś"…

Najwyraźniej wiedziała, że sama też „za późno do sportu wróciła". A to bolało. Potem jeszcze przypadkiem spotkaliśmy się na Solcu – gdzieś podążała z koleżanką. Uśmiechnęła się na pożegnanie smutno, jakby chciała potwierdzić, że wszystko na próżno i za późno.

Tej nuty nie zabrakło w monodramie „Najszczęśliwszy dzień", mowa w nim przecież o marzeniach i niespełnieniu, o tym, że nagroda – propozycja poważnej roli filmowej – przyszła już naprawdę po czasie, gdy Czyżewska walczyła z atakiem choroby nowotworowej, o tym, że jej powrót do kraju stał się właściwie niemożliwy.

A jednak nie lament nad zmarnowanymi szansami, ale głód tworzenia napędza barwną opowieść Magdaleny Małeckiej-Wippich i Barbary Garstki. To dobrze, że widzimy przed sobą sceniczną rekonstrukcję tamtej wspaniałej, uśmiechniętej, kipiącej młodą energią Eli, która wprawdzie nie doczekała się urzeczywistnienia wszystkich swoich marzeń, ale przecież osiągnęła naprawdę bardzo wiele. Elżbieta Czyżewska dobrze o tym wiedziała. Wie o tym także jej sceniczna „rekonstruktorka". Kiedy w pewnym momencie triumfalnie i niemal prywatnie komentuje swoją obecność na scenie okrzykiem: „Tak się gra!" – z prawdziwą czułością wyraża radość tworzenia, która była dla Elżbiety Czyżewskiej motorem życia.

A jak przy tym potrafi Barbara Garstka zaśpiewać dawne przeboje! Choćby nieśmiertelny walczyk „Warszawa da się lubić" czy liryczną piosenkę „Kochankowie z ulicy Kamiennej" Agnieszki Osieckiej, którą Czyżewska interpretowała na deskach STS-u w programie „Bal maskowy", i specjalnie dla monodramu stworzone piosenki ze scalającym motywem „najszczęśliwszego dnia".

Legenda ożyła. Zresztą tak naprawdę trwała dzięki książkom i filmom dokumentalnym, m.in. za sprawą pełnometrażowego biograficznego dokumentu „Aktorka" Kingi Dębskiej i Marii Konwickiej (2015). Wyglądało jednak na to, że ta legenda się rozwiewa, że Czyżewska znika. Barbara Garstka dowodzi, że tak nie jest, nawet jeśli to tylko powidoki.

W monodramie jest mowa o marzeniach i niespełnieniu, o tym, że propozycja poważnej roli filmowej przyszła po czasie.

„Najszczęśliwszy dzień", tekst i reżyseria Magdalena Małecka-Wippich, kierownictwo muzyczne Urszula Borkowska, premiera na scenie Teatru Kamienica, 5 kwietnia 2024

eprasa.pl cecf2a93f3

Czerniowce – mała ojczyzna

Możesz skręcić w lewo lub w prawo, w jednym kierunku będzie śmierć, a w drugim życie

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Wasz świat ocaleńców żydowskich zapamiętany i tłumaczony jest poprzez język niemiecki. Jakie miejsce zajmuje u was ten język?

MH: – Na co dzień mówimy po angielsku. Mamy różne relacje z niemieckim.

LS: – Moi rodzice spotkali się w Wiedniu, skąd pochodziła matka, oboje zostali wypędzeni, udali się do jednego z ostatnich miejsc, które jeszcze przyjmowały takich uciekinierów, do Boliwii. Tam się urodziłem, moimi pierwszymi językami były hiszpański i niemiecki, ale był to niemiecki zachowany z Austrii. Ja właściwie nauczyłem się go na nowo i cieszyłem się nim. Rany, jak matka Marianne uwielbiała mówić po niemiecku!

MH: – Moi rodzice pochodzą z Czerniowców i zachowali niemiecki, który był ich językiem, kulturą i literaturą. Nie mogli przywieźć swoich książek, kiedy emigrowali, mam ich Goethego czy Schillera, kupionych tutaj. Dorastałam w Rumunii, chodziłam do niemieckojęzycznej szkoły w Bukareszcie, mówiłam po niemiecku, rodzice mówili po niemiecku aż do śmierci w latach 90., to był nasz język domowy. Nadal „jestem" bardzo w tym języku.

Interesuje mnie znaczenie w pokoleniu waszych rodziców języka niemieckiego, który był również językiem oprawców.

MH: – To rodzaj mówienia o swoim życiu. Rumunia stała się państwem po I wojnie światowej, a moja matka urodziła się w 1918 r. i całe pokolenie, o którym piszemy w książce, kształciło się w Rumunii. Wielu Żydów, bardzo entuzjastycznie nastawionych do państwa obywateli austriackich mówiących po niemiecku, otrzymało od cesarstwa możliwości zawodowe, w pewnym sensie reprezentowało Żydów. Ten język był również formą oporu przeciw rumuńskiemu antysemityzmowi, który stał się dość silny w tamtym czasie, ale także przepustką do kosmopolitycznej Europy. Wierzyli w ideę kosmopolitycznego świata, do którego należą, a nie do państwa narodowego, które pozbawia ich praw. Myślę, że to prawda tego pokolenia. Również Paula Celana (poety urodzonego w Czerniowcach – przyp. red.) i niektórych pisarzy z tego pokolenia oraz starszych prawicowych pisarzy niemieckich.

> Jeśli jesteś częścią zarówno rodzin emigrantów, jak i ocalałych, to uczysz się, jak być częścią tej historii.

Piszecie, że w Czerniowcach powstała cała niemiecka literatura żydowska, w której niemiecki był językiem przeszłości.

MH: – Nie był już językiem żywym ani narodowym, ale był tym, którym Żydzi mówili bardzo dobrze i często, jak moi rodzice, kiedy mówili o okresie wojny. Wspominali, jakie to uczucie słyszeć głos Hitlera w radiu. Wiadomo, co głos Hitlera robił z ich uczuciami do Niemiec. Myślę, że byli również zdeterminowani, aby to była także ich kultura i nie została im odebrana przez nazistów. Paul Celan mówi o języku niemieckim w słynnej mowie „The Meridian" (Południk), że musi zostać umyty i oczyszczony, i zmieniony, że po tym wszystkim nadal można go zmienić, aby przenieść coś z przeszłości do teraźniejszości i przyszłości, ponieważ będzie używany, tak jak był.

LS: – Język niemiecki był językiem asymilacji, dzięki któremu Żydzi wyszli z cienia, zawdzięczali to germanizacji. W przypadku historii Czerniowiec stawał się rodzajem sygnału awansu do nowego, lepszego świata i pozostawienia za sobą świata, który wielu uważa za zacofany. Kiedy przyszli naziści i ponownie nadeszło wykluczenie, pojawiły się też pytania o język. Tamtejsi Żydzi byli bardzo do niego przywiązani, o wiele bardziej niż ci, którzy wzrastali w języku niemieckim, jak moja matka i mój ojciec.

MH: – W okresie międzywojennym jidysz i hebrajski były także ważnymi językami. Dzieci chodziły do szkoły jidysz lub do hebrajskiej, czasem do obu. Jeden i drugi język był nadal używany, ale jako ważny język literacki i kolejny sposób łączenia się ze społecznościami żydowskimi w różnych częściach Europy i w Palestynie.

Marianne Hirsch – (ur. w 1949 r. w Timișoarze) amerykańska literaturoznawczyni, profesora emerita na wydziale komparatystyki oraz gender studies na Uniwersytecie Columbia. Członkini Amerykańskiej Akademii Sztuk i Nauk. W 1992 r. sformułowała termin postpamięć.

Leo Spitzer – (ur. w 1939 r. w La Paz) amerykański historyk kultury i komparatysta, w pracy naukowej zajmuje się przede wszystkim studiami nad pamięcią, bada dziedziczoną traumę związaną z żydowskim uchodźstwem, a także postpamięć ludobójstwa. Profesor emeritus na wydziale historii w Dartmouth College.

eprasa.pl cecf2a93f3

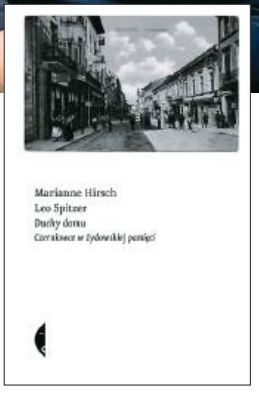

MARIANNE HIRSCH I LEO SPITZER

– autorzy książki „Duchy domu. Czerniowce w żydowskiej pamięci"

Czym są dla was Czerniowce? Konceptem, wyobrażeniem, miejscem z powiązaniem rodzinnym?

MH: – Trafiamy do tej książki z różnych miejsc, stąd podwójne spojrzenie. Byłam świadoma, że to koncept. Stamtąd pochodzili wszyscy, których znałam. Co ciekawe, po tym, co przeszli w traumatycznych czasach, w mojej głowie dziecka pojawiało się: „jakie to wspaniałe miejsce", czasami czuję, że pamiętam je bardziej niż własne miejsca. Przywieźli je ze sobą po wojnie do Rumunii i prawie wszyscy, z którymi spotykali się rodzice, z kim się bawiłam, byli czernowicerami. Wyobrażałam sobie Czerniowce trochę jak przystań.

LS: – Odczuwam coś w rodzaju podwójnego, może nawet potrójnego związku. Słyszałem o Bukowinie, ponieważ część osób, które wyemigrowały do Boliwii przez Wiedeń, pochodzi z Bukowiny. Będąc Żydami stamtąd, postrzegali ją jako prowincję, mówili innym rodzajem niemieckiego. Ci ludzie dobrowolnie lub zmuszeni opuścili Czerniowce, jeśli przeżyli, niewielu tam powróciło. Potem pojawił się kolejny wymiar – podróż w to miejsce. Rodzice Marianne przeprowadzili nas przez nią na swoich warunkach. Polubiłem Czerniowce, na szczęście nie zostały zbombardowane. W pewnym sensie to był powrót do bajkowego miasta, które żyło już w inny sposób.

MH: – Mama ciągle mówiła, jak bardzo chciała wyjechać z Czerniowiec jako młoda kobieta, wojna zaczęła się, kiedy była na studiach, rodzice nie pozwolili jej studiować w Paryżu, Berlinie.

Jest jedno ważne dla waszej rodziny miejsce w Czerniowcach.

LS: – Róg ulicy. Tam rodzice Marianne, Lotte i Carl, zawrócili do getta w 1941 r., zamiast dać się wywieźć do Transnistrii. Ten róg stał się dla mnie potężnym symbolem: możesz skręcić w lewo lub w prawo, w jednym kierunku będzie śmierć, a w drugim życie.

W rzeczywistości ten mityczny róg to ruchliwy plac, wtedy Springbrunnenplatz. Czym był ten powrót dla Lotte i Carla?

LS: – Kiedy poszliśmy razem na teren getta, na ten „róg", wyobrażałem go sobie jako zakręt, a to było pięć różnych ulic od Springbrunnenplatz, placu Fontann. Wiele dróg, miejsce symbol różnych kierunków, wyborów. Amerykański poeta Robert Frost pisze o drodze niewybranej: „A jednak mogłem skręcić tak w lewo, jak w prawo". Jestem bardzo wdzięczny za ten ich wybór drogi w 1941 r.

MH: – Gdy tam pojechaliśmy, mój ojciec miał 86 lat, matka 80 lat. Bardzo się wahali co do wyjazdu. Nie sądzę, żeby chodziło o ponowne przeżywanie traumy, raczej o to, jak trudne to będzie. To było bardzo mocne przeżycie i dla nich, i dla nas, ponieważ byliśmy tam razem, także po to, aby wysłuchać ich historii, by podzielili się z nami tym światem i pokazali nam miejsca. Fakt, że zdecydowaliśmy się pisać książkę, był dla nich bardzo ważny. Byli szczęśliwi, pomocni, nazywali ją „naszą książką". Szczególnie znaczące w naszej podróży było to, że byliśmy przygotowani, wiedzieliśmy tak wiele, wiedzieliśmy, że jest „róg", jak nazywają się ulice, bo dużo o tym mówili. Przeszłość była dużą częścią ich i naszego świata.

Byliście też z ocaleńcami i ich bliskimi tam, gdzie zabito ok. 90 tys. Żydów z Besarabii, Bukowiny, Mołdawii, gdzie zginęli Romowie.

LS: – Transnistria (Zadniestrze) była częścią naszej podróży. To jedno słowo oznacza potencjalną śmierć. Zabito wielu miejscowych Żydów, tam żyła bardzo duża wiejska populacja żydowska. Potem Rumuni, którzy otrzymali od Hitlera Transnistrię w pewnym sensie do administrowania, zdecydowali się użyć jej jako miejsca, w którym umieścili Żydów z Wielkiej Rumunii. Tysiące maszerowały na śmierć, wielu umierało z zimna i chorób. Ale są także getta, kilka obozów koncentracyjnych, „zapomniany cmentarz". Znajdował się tam obóz, Wapniarka, w którym zamierzano wymordować ludność, jednak nie tak, jak zrobili to Niemcy. Karmiono ich zupą grochową.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl cecf2a93f3

Karmiąc, mordowano?

MH: – Jechaliśmy do Transnistrii z synem jednego z więźniów, żydowskiego lekarza, który odkrył, że więźniowie albo jedli zupę grochową, ciężko chorowali i umierali, albo nie jedli i umierali z głodu. Lekarz próbował nakłonić rumuńskiego komendanta do zmiany diety, na szczęście dla wielu ludzi, którzy tam przebywali, w 1943 r., kiedy Rumuni byli wciąż wiodącymi sojusznikami III Rzeszy, zaczęto to uspokajać.

Dodajmy, że chodziło o odmianę groszku siewnego, *Lathyrus sativus*. Dłuższe spożywanie go wywołuje latyryzm, chorobę neurodegeneracyjną, m.in. paraliż kończyn. Ale nie mogliście odnaleźć pozostałości po Wapniarce.

LS: – Mieliśmy tylko zdjęcie modelu obozu, który zbudował były więzień. Pewna kobieta powiedziała: „To jest na terenie ukraińskich koszar". Była to duża ukraińska placówka wojskowa, żołnierz przy bramie nie wiedział, ale jakiś oficer zobaczył zdjęcie, jęknął, wsadził nas do dżipa i zawiózł w miejsce pośród niczego. Ukazał nam się pojedynczy budynek, wcześniej były tam trzy takie. To było przedszkole.

Niektóre miejsca mają historię, której nie chcą znać.

MH: – Piszemy o miasteczku Szarogród, gdzie funkcjonowała duża społeczność żydowska. Burmistrz przeprosił, że tam już niemal nie ma Żydów, przyznał, że także jego rodacy ponoszą za to odpowiedzialność. Potomkom osób, które zginęły tam w gettach, niesamowicie się tego słuchało. Historia rumuńskiego Holokaustu jest skomplikowana, ponieważ każdy może winić kogoś innego. Ocalony chce móc opowiedzieć swoją historię i zostać usłyszanym, pozwolić jej zaistnieć w miejscu, w którym się wydarzyła. Narracje o Holokauście w Rumunii są bardzo różne, w zależności od potrzeb. Dopiero niedawno amerykańskie Holocaust Memorial Museum umieściło informacje o obozach i gettach w Transnistrii jako miejscu zabijania. Nie było najmniejszego śladu, że tu miał miejsce Holokaust. Obraz tego, czym jest Holokaust, pochodzi z Polski i Niemiec, właściwie kończy się na Auschwitz w Polsce, a jest tyle różnych historii.

LS: – To bardzo ważne, by historia została uznana na miejscu. Pojawiają się w Czerniowcach tablice na budynkach, pomnik burmistrza Traiana Popovici, zbierane są pieniądze na renowację kirkutu. Podczas ukraińskiej podróży pojawiło się wiele warstw historii, budujących ukraińską tożsamość narodową. Bardzo ważne jest ustanowienie ukraińskiej obecności w tym mieście, ale to oznacza, że inne historie zostaną wymazane. Historia żydowska została przywieziona przez powracających, historia Rumunii prawie zniknęła, a była ważna, dobra, pomnik Mihaia Eminescu, rumuńskiego poety narodowego, który chodził tam do szkoły, historia wybawcy Żydów, burmistrza Popovici, całkowicie wymazana. To Żyd negocjował z miastem, by przypomnieć tego rumuńskiego nie-Żyda, który uratował tak wielu Żydów. Myślę, że teraz Czerniowce chcą, żeby historia pozostała i była znana, choć rumuńska populacja praktycznie zniknęła. To zupełnie inne, nowoczesne miasto.

Wasza książka mówi także o umiejętności słuchania świadka, samo słuchanie to za mało, trzeba się w nie zaangażować, interesować się, co z niego wynika.

MH: – To jest głębokie nawiązanie do czernowicera Paula Celana. Co znaczy dawać świadectwo świadkowi? Co oznacza dawanie świadectwa? To słuchanie i bycie słuchanym, ale także naprowadzanie świadków, aby popchnąć historię do przodu i zaspokoić potrzebę opowiedzenia jej. Oznacza to również umieszczenie tych historii nie tylko w II wojnie światowej, ale i w życiu żydowskiej diaspory. Kiedy zatem jesteśmy świadkami ich historii, nie chodzi tylko o to, co przeżyli, i o traumę, ale też o ich nadzieje i marzenia. Gdy mówimy o składaniu świadectwa, chodzi o bycie uważnym nie tylko na słowa, historie, ale i na zachowania, drogi życiowe po ocaleniu. To ważne także dla nas, świadków bardzo złożonych emocji. Nie trzeba podkreślać jednego kosztem drugiego i to była odpowiedzialność, którą odczuwaliśmy.

LS: – Przeżyliśmy bardzo piękny moment, kiedy pokazaliśmy zarys książki ojcu, nie widział jej wydanej, ale przeczytał rękopis. Powiedział: „Dobrze, ja nie opowiedziałbym tego w taki sposób, ale to teraz twoja historia". To oznaczało przyzwolenie, a zawsze jest niepewność, czy je dostaniesz.

Słuchanie historii było jak oddychanie.

MH: – Jeśli jesteś częścią zarówno rodzin emigrantów, jak i ocalałych, to dorastasz w uczeniu się słuchania, w tym, jak być częścią tej historii. To trwało lata. Wielu członków wspólnoty chciało wyjechać, ludzie żyli, jakby ich walizki były spakowane. Nigdy nie kupowali mebli. Nie chcieli za bardzo „zamieszkać". Moja rodzina zdecydowała o wyjeździe, ale to nie był prawdziwy dom, lecz emigracja do Austrii, a potem tutaj, do Stanów.

A jaki dom macie teraz? Czy macie w ogóle dom?

MH: – Jestem Amerykanką. Nasze dzieci mają rodziców, którzy mówią z akcentem, wnuki są bardzo amerykańskie, ale mają dziadków mówiących z akcentem, którzy przekazali im tę historię. Nowy Jork jest kosmopolityczny, ale takie jest też miejsce na wsi, w Vermont, gdzie mieszkaliśmy prawie 50 lat. Oboje jesteśmy emigranckimi dziećmi emigrantów. Wiemy, że korzenie są bardzo ważne. I tacy jesteśmy niepoprawni, że mieszkamy w domu, w którym dorastały nasze dzieci.

LS: – My nie ufamy korzeniom, całemu pojęciu trwałości korzeni. Mimo że mieszkamy w tym miejscu już bardzo długo, odczuwam rodzaj nieufności wobec całego pojęcia domu, jego trwałości.

Ludzie żyli, jakby ich walizki były spakowane. Nie kupowali mebli. Nie chcieli za bardzo „zamieszkać". Moja rodzina zdecydowała o wyjeździe, ale to nie był prawdziwy dom.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Matka odchodzi

Och, jakim byłem mądrym i odważnym tanatologiem u progu dorosłości. Pasjonowanie się śmiercią za młodu jest cool – człowiek myśli o niej z astronomicznym dystansem, droczy się z nią, bo wie, że śmierć ma go gdzieś, zajęta mozołem żniw na oddziałach geriatrycznych. Jedni śmigali na deathmetalowe koncerty, przywdziawszy T-shirty z nadrukami komiksowego bestiarium, drudzy nosili się na czarno i randkowali na cmentarzach, jeszcze inni składali hołdy gromadzie poètes maudits i wojaczkowali ile wlezie, nadużywając alkoholu i cierpliwości rodziców. Ja, obłożony tomiszczami literatury antropologicznej, cyzelowałem robiące wrażenie akapity do pracy magisterskiej na bazie „Spirali" Zanussiego. Nanizałem swoje analizy na sławetną strukturę psychologicznych faz umierania wyodrębnionych przez Elisabeth Kübler-Ross i dostałem piąteczkę z wyróżnieniem: promotor był litościwy, a i śmierć łaskawa – przez kolejne dekady umierały mi tylko psy.

Przedmiot mojej dysertacji dzisiaj określono by jako hipsterski, reżyser nie miał wtedy najlepszej prasy, ale był chwilę przed powrotem na szczyty – w trakcie realizacji swojego ostatniego dzieła dużego formatu, czyli „Życia jako śmiertelnej choroby przenoszonej drogą płciową". Pan Krzysztof się odezwał, wyniknęły z tego regularne pogwarki istotne, nie tylko o śmierci w kinie (potem TOR pod wodzą Zanussiego wyprodukował trzy filmy Magdy Piekorz wedle moich scenariuszy – umieranie było wiodącym lub chociaż znaczącym tematem każdego z nich). Obaj byliśmy maminsynkami – perspektywa odejścia matki dręczyła mnie przez całe dorosłe życie, u Zanussiego matki umierają najbardziej przejmująco w „Constans" i „Roku spokojnego słońca". W tym pierwszym filmie ostatni etap życia matki głównego bohatera jest pokazany bezlitośnie, naturalistycznie, ale mnie szczególnie zapadła w pamięć scena definiująca śmierć jako nagłą, ostateczną i dojmującą nieobecność: bohater – a jakże, maminsynek – wraca z wyprawy górskiej i po wylądowaniu odruchowo kieruje się do budki telefonicznej, podnosi słuchawkę, by… uświadomić sobie, że nie ma już do kogo zadzwonić.

Śmierć ojca przed pięciu laty przeżyłem bardziej, niżbym się spodziewał – wszyscy zdawaliśmy się na to przygotowani, tata odchodził prawie pół roku w hospicjum, a jednak ten moment, kiedy ledwo tlące się życie całkowicie zgasło, był paraliżujący. Nazwałbym to nierozwikłaną tajemnicą zniknięcia – matka ujęła to po swojemu, stojąc nad pustym łóżkiem i gładząc dłonią prześcieradło-po-ojcu: „No i kaj tyn chop się stracił?!". Pierwsze chwile po śmierci bliskiej osoby, jeszcze zanim żałoba zapuka do drzwi świadomości, to dezorientacja. Gdzie jesteś, człowieku, skoro nie ma cię wśród nas? Bo przecież to niemożliwe, że cię po prostu nie ma, skoro jeszcze przed chwilą tak bardzo byłeś…

Piękna śmierć to bałamutny oksymoron, ale zdarza się śmierć dobra – gdy umrzesz, zanim zdążysz się zorientować, że umierasz.

Teraz odchodzi moja matka. Szybko, to tempo jest drastyczne, ale nie daje czasu na żal – dziwię się sobie, że mam tyle sił, ale to pewnie dlatego, że pochłaniają mnie kwestie, by tak rzec, logistyczne. Szpital, tyle co ją przyjął, a już jej nie chce – trzeba znaleźć miejsce, w którym mama odejdzie w godny sposób. Nie mam zamiaru piętnować konkretnej instytucji, to wielki szpital wojewódzki, mnóstwo oddziałów, być może po prostu źle trafiliśmy na tej diabelskiej loterii, ale empatia i współczucie mieszkają na innych piętrach. Tyle że nawet one nie zmieniłyby faktu, który dosadnie i węzłowato ujęła na łożu śmierci Agnieszka Osiecka: umieranie jest do dupy. Piękna śmierć to bałamutny oksymoron, ale zdarza się śmierć dobra – gdy umrzesz, zanim zdążysz się zorientować, że umierasz. Nagła śmierć jest błogosławieństwem umierającego, przenosi cierpienie na żałobnika, który musi się zmagać z niespodziewaną utratą. Ale nawet utrata spodziewana niczego nie zmienia – siedzę przy łożu boleści mamy i nie mogę się nadziwić, że innego końca świata nie będzie; jaki ma sens życie, skoro tak się kończy. Jestem głupi tak, jak byłem mądry za młodu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cecf2a93f3

KURTYNA W GÓRĘ

Farsa, czyli egzamin

Farsa to najpoważniejsze zadanie w teatrze, to właściwie egzamin dla wszystkich: aktorów, techników, reżysera. Często niedoceniana albo lekceważona, wymaga skupienia, precyzji i żelaznej dyscypliny. Tylko wtedy się udaje. Tak jak w Teatrze Komedia, gdzie farsę o farsie, czyli „Czego nie widać" Michaela Frayna wystawił Piotr Cieplak.

Wszyscy grają wyśmienicie, bo w farsie tylko granie wyśmienite wchodzi w grę. Tak więc Eliza Borowska jest skłonną do popadania w depresję pokojówką, Sławomir Grzymkowski znerwicowanym reżyserem, Oskar Hamerski aktorem z wątpliwościami, Adam Ferency starym wyjadaczem teatralnym nadmiernie przywiązanym do butelki, Anna Smołowik oderwaną od realiów marzycielką, Rafał Zawierucha podwójnie zawiedzionym uwodzicielem, Lidia Sadowa najprzytomniejszą w tym gronie weteranką sceny o żelaznych nerwach, Agnieszka Skrzypczak płaczliwą inspicjentką i Maciej Czerklański niedospanym aktorem drugiego planu. Razem przygotowują premierę farsy, czas goni, a wszystko się sypie. Cała sztuka w tym, by utrzymać rytm, aby bez chwili wytchnienia farsa mknęła do przodu. A ponieważ tak się dzieje, płaczowi ze śmiechu nie ma końca, a wraz ze śmiechem rośnie zadowolenie publiczności.

Tomasz Miłkowski

Michael Frayn, „Czego nie widać", tłumaczenie Karol Jakubowicz, Małgorzata Semil, reżyseria Piotr Cieplak, Teatr Komedia w Warszawie, premiera 23 lutego 2024

„Matki. Pieśń na czas wojny", reżyseria Marta Górnicka, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 29 września 2023

Krzyk

Marta Górnicka, artystka, która na nowo odkryła dla teatru europejskiego chór, po głośnym „Hymnie do miłości" i obsypanej nagrodami „Matce Courage" przygotowała z performerkami z Ukrainy, Białorusi i Polski spektakl „Matki. Pieśń na czas wojny". Koprodukowane przez Maxim Gorki Theater w Berlinie oraz warszawski Teatr Powszechny przedstawienie jest manifestem przeciw wojnie i przemocy. Sięgając po bogactwo ludowych motywów ukraińskich i po osobiste świadectwa kobiet Górnicka współtworzy poruszający rytuał, opowieść o sile zdolnej przezwyciężyć wojenny dramat. Jak refren powraca w niej szczedriwka, tradycyjna ukraińska pieśń zwiastująca szczęście i odrodzenie. Międzynarodowy chór, który w marcu otworzył XXX Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Łodzi, rusza w europejskie tournée, śpiewa także, by przypominać światu, co dzieje się na Ukrainie.

Michał Centkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Alex Michaelides
Furia
tłum. Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik
W.A.B., Warszawa 2024

Przy mnogości thrillerów i kryminałów na rynku wydawniczym mało któremu autorowi udaje się ta sztuka – sprawić, by jego książka nie zniknęła z myśli czytelników, ledwo ją skończą. Michaelides już dwiema poprzednimi, „Pacjentką" i „Boginiami", zwrócił na siebie uwagę, ale teraz osiągnął więcej. Stworzył frapującą fabułę z satysfakcjonującymi zwrotami akcji i piękną scenerią greckiej wysepki – pozornie rajskiej, lecz niekiedy smaganej diabelskim wichrem, poza tym nie ma raju bez węża – przede wszystkim jednak związał nas emocjonalnie ze swoimi postaciami, zwłaszcza narratorem. Ten wprawdzie ewidentnie, wręcz bezczelnie gra na naszą sympatię, w dodatku co jakiś czas uprzedza kokieteryjnie: zwodzę was, teraz dopiero zacznę wyjawiać prawdę, a najlepsze oczywiście zostawię na koniec, ale drań dopina swego, przynajmniej pod tym względem…

Aleksandra Pańko

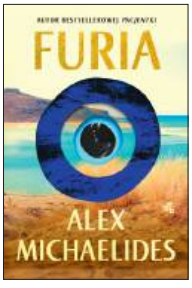

NA POWAŻNIE

„Nabucco" dla spragnionych

Po ponad 20 latach na deskach Opery Krakowskiej można znów obejrzeć „Nabucco". Nowa inscenizacja ma szansę zostać dobrze przyjęta nie tylko dlatego, że zrobiona jest „po bożemu", tj. bez przenoszenia akcji do współczesności czy zmiany wymowy utworu. I w tym główna zasługa Marii Sartovej. W jej wizję udanie wkomponował się autor scenografii Damian Styrna, opierając oprawę spektaklu na monumentalnych kamiennych blokach z elementami Ściany Płaczu. Jeżeli chodzi o śpiewaków, wiadomo było, że Andrzej Dobber jako Nabucco gwarantuje wykonanie na najwyższym poziomie. Mimo drobnych potknięć intonacyjnych Oksana Nosatova (Abigaille) także stanęła na wysokości zadania. Mocną pozycję w krakowskim zespole potwierdzili Tomasz Kuk i Monika Korybalska. Melomanom „Nabucco" od razu kojarzy się z „Va, pensiero". Wzmocniony śpiewakami z Filharmonii Krakowskiej chór opery zabrzmiał, jak należy, ale dało się odczuć, że operowy superhit pobrzmiewałby wyraźniej, gdyby wykonawców było więcej.

Spragnieni operowych wydarzeń krakusi szybko wykupili bilety na popremierowe przedstawienia. I to dyrekcji placówki powinno dać do myślenia.

Paweł Dybicz

Giuseppe Verdi, „Nabucco", Opera Krakowska, premiera 9 marca 2024

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. DAWID STUBE, BARTEK WARZECHA, ANDRII KOTELNIKOV, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cecf2a93f3

Jolanta Czartoryska,
Adam S. Czartoryski

DO ODWAŻNEJ ŚWIAT NALEŻY

Za nikogo ręki w moim prokuratorskim otoczeniu nie dam sobie uciąć, ale nie było w nim ani idiotów, ani krwiopijców

Około dwóch miesięcy przed zaskakującym dla mnie i wielu awansem byłam na pewnej naradzie w Komitecie Wojewódzkim. Dokładnie już nie pamiętam, dlaczego akurat byłam tam ja oraz mój bezpośredni szef i jeszcze jeden z kolegów. Faktem jest, że byliśmy tam w trójkę, jako przedstawiciele miejscowej Prokuratury Rejonowej. (…) Narada miała miejsce w sali kolumnowej Komitetu Wojewódzkiego, tam, gdzie jest obecnie sala kolumnowa Sądu Apelacyjnego. Byłam tam wtedy po raz pierwszy, więc się rozglądałam. Na ścianie szczytowej wisiał portret Lenina oraz polska flaga rozpostarta na całej niemal powierzchni.

Warto dla prawdy historycznej przypomnieć, że od czasów usunięcia ze stanowiska ówczesnego I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki w 1970 r., w Polsce, w miejscach publicznych zaprzestano wieszania portretów osób piastujących najwyższe stanowiska w państwie. Od chwili nastania ery Edwarda Gierka portretów dostojników partyjnych i państwowych już na ścianach nie wieszano. W sali kolumnowej Komitetu Wojewódzkiego portret Lenina był jak najbardziej na miejscu w tamtych czasach, podobnie jak portret Karola Marksa. W miejscach oficjalnych, ale niezwykle rzadko, dodawany bywał Fryderyk Engels jako trzeci mędrzec marksizmu. Trudno powiedzieć, według jakiego klucza czasem go wieszano, a czasem nie. (…)

Sala kolumnowa była duża, nawet ogromna, jeśli się zważy, że w tamtych czasach budowano na ogół małe pomieszczenia i pokoje. (…) Gdy znalazłam się w niej pierwszy raz jesienią 1980 r., była duża i okazała, jak na tamte czasy, ale zasługiwała na jedno określenie: siermięga! Wszystko było siermiężne: i biały kolor ścian, i ledwo zaznaczone sztukaterie w kątach sufitu, i odrapane nieco kolumny. Nie odbiegały od tej oceny stoły i krzesła. Zdziwiłam się, że sala kolumnowa, o której czasem słyszałam, że jest najważniejsza w Komitecie Wojewódzkim, a przez to w województwie, jest taka… byle jaka! (…)

Faktem jest, że widmo strachu tamtego dnia zobaczyłam, ale nie z powodu sali, lecz z powodu wszystkiego, co stało się w trakcie narady. Chcąc być dokładną, muszę stwierdzić, że po tamtej „naradzie" przestałam rozumieć znaczenie tego słowa. (…)

Dzień narady był szczególny, ponieważ był to 12 października 1980 r. Wówczas, w tym dniu, było święto Wojska Polskiego, zwanego Ludowym, które wprawdzie oficjalnej takiej nazwy nie nosiło, ale odbierane było jako formacja pozostająca w ścisłym związku z ludem (cokolwiek to znaczy). Na naradzie żołnierze w mundurach byli nieliczni, ale zauważalni. Dramatyzm związany z tym dniem brał się stąd, że za dwa dni, na 14 października, NSZZ Solidarność wyznaczył, po raz kolejny zresztą, strajk ogólnopolski. Jak Polska długa i szeroka, nikt nie miał wątpliwości, że planowany strajk miał być elementem konfrontacji siły tego związku z władzą. Napięcie w kraju rosło powoli, ale skutecznie i robiło się naprawdę gorąco. Nikt nie wiedział, co może się stać, ale wszyscy wiedzieli, że z konfrontacji mógł wyjść wyłącznie jeden zwycięzca. (…)

Sala kolumnowa była pełna ludzi, bo wszyscy, którzy mogli tu przyjść i wejść, przyszli. Każdy chciał się dowiedzieć, co mówi się w Komitecie Wojewódzkim o nadchodzącej konfrontacji. Dla ludzi nieposiadających dostępu do źródeł ściśle poufnych Komitet był jedynym miejscem, gdzie krążyły informacje zbliżone do aktualnych, a nawet prawdziwych. Tak się powszechnie sądziło, i to niezależnie od tego, czy była to prawda, czy nie. Z drugiej strony było oczywiste, że nikt nie zwołuje kilkudziesięciu lub kilkuset osób do KW ot tak, po nic. Na początku, gdy strajki dopiero zaczynały wchodzić w naszą rzeczywistość, zwoływano ludzi dla samego odfajkowania odbycia narad, nie przekazując żadnych informacji poza tymi, które można było spotkać w mediach. To była demokracja sterowana, ale trudno się dziwić, przecież opowiadam o PRL! (…)

Rzeszowszczyzna, zwana dzisiaj nie wiadomo dlaczego Podkarpaciem, nigdy nie była traktowana jako pierwsza liga polityczna i tak jest nadal, mimo upływu dziesiątków lat! To się odrobinę zmienia z powodu znaczenia lotniska w Jasionce, ale tylko odrobinę.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

Trudno więc było się dziwić, że i tym razem zamiast kogoś znanego z gazet lub telewizora na spotkanie z rzeszą ludzi przysłano zaledwie lektora Komitetu Centralnego. Co to była za funkcja? Już wtedy nie do końca było wiadomo, ale co KC, to KC! To nie lektor robił wrażenie, lecz właśnie owo KC. Lektor przyjechał jako osoba dobrze poinformowana, a w każdym razie lepiej niż elektorat w naszym regionie. Okazał się nim dyrektor departamentu z Ministerstwa Kultury, człowiek, który na początku nowych czasów urządził się jako dyrektor Pagartu. Co to był Pagart? Instytucja, która reprezentując monopol państwowy, organizowała wysyłanie artystów na występy za granicę, a ci artyści skwapliwie z tego korzystali. I to nawet ci, którzy obecnie twierdzą, że żadnych związków z komuną nie mieli, a nawet, więcej, brzydzili się nią.

Ów lektor zaczął wygłaszać swoje wiadomości i coś tam opowiadał. Po chwili dało się zauważyć na sali szum, ponieważ wszyscy zorientowali się, że facet ględzi – mówiąc delikatnie – nie na temat. Mówił o znanych z gazet faktach ekonomicznych, na których sam znał się niewiele, a nawet wcale! Szum zaczynał się robić coraz głośniejszy i wyczuwało się w nim pomruk niezadowolenia pomieszanego z grozą.

Siedziałam, słuchałam i patrzyłam. Wszystko dla mnie było nowe, więc się rozglądałam. Nie wierzyłam własnym oczom i uszom! Pierwszy raz w życiu byłam na takiej naradzie. „Aaa, więc tak to wygląda?". Powoli narastało we mnie oburzenie. Co tam: kipiałam! Telepałam się w środku i zastanawiałam, co tu robić. Szkoda czasu! Wychodzę! No tak, ale jak tu wyjść, skoro siedziałam daleko od drzwi, a obok mnie siedział szef z opuszczoną głową. Podobnie jak większość na sali był chyba zażenowany sytuacją. Drugi prokurator też siedział, próbując ukryć oburzenie. Wszyscy troje opuściliśmy głowy, rozumiejąc surrealizm sytuacji. W końcu prokurator, nawet taki początkujący jak ja wówczas, to człowiek mocno stąpający po ziemi!

Dosyć tego! Doszłam do wniosku, że nie po to rodzice z takim trudem mnie wychowali na prawdomównego człowieka, abym siedziała w takiej obłudzie! Pomyślałam: „Co to za grono tu się zebrało? Wszyscy przyszli po to samo, co ja. Mieliśmy nadzieję dowiedzieć się, co partia, władza czy kto tam jeszcze mający coś do powiedzenia w kraju robią, żeby strajku nie było. Przecież wiadomo, że jak będzie strajk, to może być nieciekawie, i to dla wszystkich, a tu? Takie lanie wody! Skandal!".

Rzeszowszczyzna, zwana dzisiaj Podkarpaciem, nigdy nie była traktowana jako pierwsza liga polityczna i tak jest nadal mimo upływu dziesiątków lat!

Wyczuwalne, a nawet zauważalne oburzenie rosło z minuty na minutę. Ludzie, w tym ja, nie rozumieli, po co właściwie ich spędzono. W gronie, które zasiadło na sali, nie było osób, które nie obserwowałyby bieżącej sytuacji politycznej. Po co więc było opowiadać o tym w rzekomo konfidencjonalnej formie dla wybranych w KW?! Sala nie chciała być jednak niegrzeczna wobec gościa, który fatygował się aż z Warszawy, więc niektórzy próbowali nawiązać dialog z towarzyszem, bądź co bądź, z centrali. Zadawano jakieś pytania o nieistotne problemiki natury ekonomicznej, na które odpowiedzi w zasadzie były znane.

Naprawdę nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło, co mnie podkusiło, a nawet zobligowało do reakcji. (…) Może ten mój cholerny charakter, który całe życie nakazuje mi walkę z idiotyzmami i zakłamaniem? (…) Postanowiłam przerwać tę udawaną dyskusję nie na temat! Trzęsąc się jak osika, podniosłam do góry rękę, jak w szkole przy zgłaszaniu do odpowiedzi, i pomachałam w kierunku prezydium. Jednoznacznie prosiłam o głos. Chyba wszyscy byli zdumieni, że w gronie starych, znających się towarzyszy taka sierotka jak ja chce w ogóle coś powiedzieć. Chyba z wrażenia sala dość szybko ucichła. Dygotałam w środku jak osika, ale wstałam, po czym głośno i wyraźnie powiedziałam:

– Już dobrą godzinę mówimy tutaj o wszystkim i o niczym, tylko nie o tym, po co przyszliśmy. Wszyscy chcą się dowiedzieć, co partia, władza robi, aby zapobiec strajkowi generalnemu wyznaczonemu na 14 października. Z tego, co wiem, wszyscy, tutaj na dole, uważają, że będzie to konfrontacja między władzą a Solidarnością i niekoniecznie tę próbę sił wygra władza.

Powiedziałam to i usiadłam. Wlepiłam oczy w stół i czekałam, co dalej. W swojej młodzieńczej naiwności, w duchu uważałam, że nie może dziać się nic złego. Ot, dostanę odpowiedź na pytanie i sprawa będzie zakończona. Wszyscy dowiedzą się wreszcie tego, po co przyszli. Uważałam, że zrobiłam to, co trzeba.

Przez moment na sali zaległa przerażająca cisza. Po chwili szok minął i towarzysz lektor jak nie ryknie zza stołu prezydialnego:

– Co to koleżanka opowiada? Co to koleżanka gazet nie czyta? Telewizji nie ogląda? Jaka konfrontacja? Przecież partia jest ZA Solidarnością! To skandal, żeby tak stawiać problemy. Trzeba iść z duchem czasu i rozumieć, co się dzieje.

I tak dalej w obowiązującym partyjnym duchu. Wrzasnął jeszcze, że JA mam skostniały umysł! Najbardziej to mnie właśnie poruszyło, ponieważ miałam zaledwie 26 lat! (…) Gdy to wszystko usłyszałam, wyłączyłam się. Odpłynęłam! On dalej wykładał swoje, bluzgając na to, co powiedziałam, i na mnie samą. To jednak w ogóle mnie nie interesowało. Byłam już zupełnie gdzie indziej i przed oczami miałam co innego. Najpierw widziałam podłogę, to znaczy parkiet, pod który chciałam się jak najszybciej zapaść. Potem zobaczyłam bruk, na którym znajdę się jutro po wyrzuceniu z pracy za… no właśnie. Za co właściwie miałam wylecieć? Byłam pewna swojej racji jak mało kiedy! Wiedziałam, że inni myśleli podobnie. Na studiach prawniczych uczono mnie, nieszczęsną, że postawione pytanie nie może być ani prawdziwe, ani fałszywe. Ja niczego nie stwierdziłam, jedynie zapytałam. Dlaczego więc facet z podium tak się na mnie wydzierał? (…)

eprasa.pl cecf2a93f3

Ale kogo obchodziły reguły logiki i wszystko to, czego nauczyłam się na socjalistycznej uczelni w cesarsko-królewskim Krakowie? W tamtej chwili drżałam na całym ciele. Czułam obecność szefa i zastanawiałam się, co on teraz myśli i kiedy mnie wywali za niezdyscyplinowanie. W końcu było nas troje prokuratorów, a tylko ja, najmłodsza, okazałam się taka ciekawska, żeby się odezwać i zapytać.

Pogrążona we własnych myślach wyłączyłam się i nie słuchałam już, co się wokół działo. Nagle doszedł do mojej świadomości odgłos oklasków. Przebudziłam się, bo pomyślałam, że to koniec i będzie można wyjść. Popatrzyłam przed siebie i doszły do mnie słowa wypowiedziane przez wysokiego mężczyznę. Powoli dotarło do mnie, że jeździł on po towarzyszu lektorze z centrali jak po… no, nieważne po czym! Już prawie wrzeszczał na tego ważnego towarzysza w takim oto duchu: jak śmie na tę młodą dziewczynę krzyczeć (przy czym pokazywał na mnie), skoro właśnie ona jedna jedyna odważyła się wstać i zadać pytanie, którego nikt nie miał odwagi postawić! Przecież nie przyszliśmy tutaj słuchać bełkotu o pseudoekonomii, ale dowiedzieć się tego, co wszystkich nurtuje. Więc czego on od tej dziewczyny chce? W końcu mój przypadkowy obrońca, którym okazał się ówczesny dyrektor administracyjny Wyższej Szkoły Pedagogicznej w naszym mieście, usiadł. Sala zamilkła, czekając, co się będzie działo. I zaczęło się…

Okazało się, że Solidarność, będąca hitem tamtych czasów, nie dotyczyła tylko opozycjonistów, robotników i rolników, czyli proletariatu. Ona istniała naprawdę wszędzie! W tej osławionej sali kolumnowej, po kolei, wstawali mężczyźni, jeden za drugim. Przejechali się już nie tylko po towarzyszu lektorze, ale i po centralnych władzach, i po nieodpowiedzialności w postępowaniu tych, którzy trzymają w rękach los naszego kraju. Cóż, ten konkretny występ towarzysza lektora na pewno nie należał w jego karierze do udanych.

A ja? Wychodząc z sali, usłyszałam od jednego z mężczyzn słowa, które w tamtym momencie były mi potrzebne jak tlen i dodały mi otuchy.

– No, było krucho, a wygląda na to, że wyszła pani na bohaterkę!

(…) Tamtego dnia, stojąc niejako na życiowej krawędzi, nauczyłam się przede wszystkim tego, że odwaga może mnie drogo, ale to bardzo drogo kosztować, nawet wtedy, kiedy bezwzględnie mam rację.

Wracając do propozycji awansu – wydaje mi się, że mój szef, wszechwładny prokurator wojewódzki, wiedział o moim występie w sali kolumnowej. W końcu działo się to w czasach PRL, a więc – jak dziś już wiadomo – powszechnej inwigilacji. Dlaczego zatem zaproponował mi stanowisko? Czy nie bał się, że mogę okazać się niesubordynowana? Czy nie byłam za młoda, mając lekko ponad 26 lat? A może potrzebny był mu kamikadze, na którego będzie można zwalić, co tylko będzie trzeba, w trybie: młoda, niedoświadczona, głupia? Nie wiem, ale nie posądzam go o jakąś szczególnie złą wolę. Może sama siebie nie doceniałam?

•

Nikt sobie nie wybiera czasu, w którym żyje i pracuje. Czasami tylko może wybrać sobie miejsce do życia. Ja nie mogłam zrobić nawet tego z bardzo różnych, ale ważnych powodów.

Tak, byłam prokuratorem w okresie, który jest teraz demonizowany, a ludzie pracujący w tamtym czasie wręcz poniewierani i pozbawiani możliwości pracy, choć… z tajemniczych powodów nie wszyscy! O ograniczeniach wiem z autopsji, bo zamknięto przede mną wiele drzwi na podstawie CV. Rzekomo seniorzy powinni się aktywizować… No to próbowałam! Okazało się, że w rzeczywistości to jednak tylko puste gadanie, bo nawet jeśli senior ma wiedzę, kompetencje, doświadczenie i pełno dyplomów, nawet z historii, to nie otrzyma żadnej pracy, żadnego zlecenia.

Jako prokurator nie zrobiłam nikomu nic złego, a nawet przeciwnie. Czasami wyrzucam sobie jakieś nie najlepsze zachowanie, ale to dotyczy tylko sfery prywatnej. Zawodowo nie mam sobie nic do wyrzucenia.

Skończyłam w PRL studia i poszłam do pracy, jak tysiące i miliony innych ludzi. Nie miałam najmniejszego zaplecza majątkowego, bo nie mieliśmy w rodzinie nawet kawałeczka ziemi. Z uwagi na dramatyczną historię rodziny tzw. kapitał społeczny także miałam ograniczony! Na czym zatem miałam się oprzeć? Tylko na wykształceniu, wiedzy oraz kręgosłupie moralnym, jaki otrzymałam od rodziców, a ten był i jest solidny!

Solidarność, hit tamtych czasów, nie dotyczyła tylko opozycjonistów, robotników i rolników. Ona istniała naprawdę wszędzie!

Stosowałam prawo, jakie było, bo nie ja je ustanawiałam. Zawsze starałam się zrozumieć ludzi, którzy znaleźli się przed prokuratorem. I żeby była jasność, dodam: ci ludzie to nie były niewiniątka! Mogą sobie teraz opowiadać historie o szykanowaniu bez powodu w okresie PRL. Oczywiście, że mogło tak się zdarzyć z bardzo różnych przyczyn. W epoce Gierka, czyli w latach 70., było nawet takie hasło: „Polak potrafi". Oj, potrafi! Wiem o tym właśnie z doświadczenia!

Cóż, za nikogo ręki w moim prokuratorskim otoczeniu nie dam sobie uciąć, ale nie było w nim ani idiotów, ani krwiopijców. Może miałam szczęście spotkać niemal samych dobrych ludzi, a może po prostu o wielu sprawach nie wiem. I bardzo dobrze. Miałam zatem szczęście! Nie muszę wszystkiego wiedzieć! Jeśli gdzieś znaleźli się ludzie, którzy nadużywali swoich uprawnień, to należy ich rozliczyć zgodnie z faktami i prawem. I tyle! Prawo powinno działać, ale… często nie działa. Dlaczego? A to już materiał na inną opowieść. (…)

Fragmenty książki Jolanty Czartoryskiej i Adama S. Czartoryskiego
Moja prokuratura to bzdura?!
BookPlan.pl 2023

eprasa.pl cecf2a93f3

Mural antyprzemocowy, ulica Tadeusza Krępowieckiego.

MURALE ZAANGAŻOWANE

fot. Krzysztof Żuczkowski

Mural antysmogowy, ulica Oboźna, obok szpitala dziecięcego.

Franciszek Pieczka twarzą kampanii „Oswajanie starości”, ulica Piękna.

eprasa.pl cecf2a93f3

„Daj dziecku siłę!”, ulica Jagiellońska.

Nasz redakcyjny kolega Krzysztof Żuczkowski ponownie zabiera Czytelniczki i Czytelników na fotograficzny spacer szlakiem warszawskich murali. Tym razem przedstawiamy te odnoszące się do ważkich problemów życia codziennego, wykonane na zlecenie fundacji i samorządów.

Krajobrazy Narwiańskiego, Roztoczańskiego i Biebrzańskiego Parku Narodowego, ulica Stefana Pieńkowskiego.

Upamiętnienie 25-lecia działalności Fundacji Dzieciom Zdążyć z Pomocą, ulica Stefana Żeromskiego.

„Boskie Matki”, mural Fundacji Rak’n’Roll, ulica Wronia.

eprasa.pl cecf2a93f3

Katarzyna Stachowiak

DZIEWUCHY

Nie są przebojowe, ale czasem wstępuje w nie energia. Jedne dla odwagi muszą się napić, drugie stać na przebojowość tylko w snach

Ilona, Danusia i Mariola mieszkają na wsi, 40 km na południe od Krakowa. We wsi są trzy sklepy spożywcze, szkoła, kościół, dwór i remiza. O jej mieszkańcach ludzie z sąsiednich wiosek mówią pogardliwie: dworusy. Dworusy to ci, którzy nie mieli swojej ziemi i pracowali dla dworu. Nie mieli ziemi, więc też żadnych ambicji ani potrzeby posiadania czegokolwiek.

Część dworusów już wymarła. Zostało kilkanaście domów, w których żyją rdzenni mieszkańcy z rodzinami. Na krańcach wsi zaczęli się osiedlać miastowi. Strzegą swojej prywatności, budując domy z dala od drogi, wysoko, w górze działek, tak aby nie dosięgło ich czyjeś ciekawskie oko. Rozkopują naturalne pagórki, żeby można było dojechać na szczyt łagodną drogą z zakrętami. Natychmiast ogradzają swoje domy i dawne pastwiska wysokimi, żelaznymi płotami.

Ilona

Ilona i jej mąż Stasiek teren wokół domu ogrodzili dopiero niedawno i tylko częściowo. Obydwoje są dworusami z dziada pradziada. Ilona skończyła podstawówkę, z której często uciekała na wagary. Potem poszła do gastronomika i też uciekała. Mieszkała z matką, ojcem i starszą siostrą Sylwią, która tak jak rodzice lubiła zaglądać do kieliszka. Sylwia chodziła na terapię, ale i tak piła. Poszła więc na oddział zamknięty. Nie wytrzymała długo. Uciekła. Teraz nadal pije i włóczy się gdzieś po świecie.

Ilona skończyła gastronomik i chciała spełnić swoje marzenie. Mieć męża, dzieci, a wcześniej wynieść się z domu. Tak zrobiła. O tym, że Ilona urodziła pierwsze dziecko, ludzie we wsi dowiedzieli się z radia. Była wtedy przed trzydziestką i miała sporo promili we krwi.

Ojcem dziecka jest jej mąż Stasiek, starszy od niej o ponad 40 lat. Po roku urodziła mu drugą córkę, a po dwóch – trzecią. Ilona często zaglądała do kieliszka. Piła ona, pił Stasiek, pili sąsiedzi. Pewnego dnia sąsiad znalazł ją w rowie. Pijaną do nieprzytomności wziął na plecy i zaniósł pod jej dom. Po kilku tygodniach znów uciekła i nie było jej kilka dni. Ludzie widzieli ją ze Zbyszkiem w sadzie. Wszyscy we wsi wiedzieli, że Zbyszek pije, odkąd jego ojciec się powiesił. Pewnego dnia Zbyszek sam zapił się na śmierć. Gdy go chowali, nie miał jeszcze trzydziestki.

Najgorzej ucieczki Ilony znosiły jej córki. Pisały rozpaczliwe SMS-y do sąsiadów z pytaniami, czy trafią do domu dziecka. Potem Stasiek

FOT. KATARZYNA STACHOWIAK

eprasa.pl cecf2a93f3

poszedł do szpitala i długo go nie było. Miał kłopoty z sercem i coś tam jeszcze. Wrócił po kilku miesiącach. Cień człowieka. Nikt we wsi go nie poznał. Odtąd Stasiek przestał wychodzić z domu. A jeśli już musiał, zakładał kask, wskakiwał na motorynkę i jechał do sklepu.

Domem zajmuje się Ilona. Robi zakupy, sprząta, pierze, żeby dziewczynki były zawsze ładnie i czysto ubrane. Popołudniami, na ile potrafi, odrabia z nimi lekcje, bo oceny mają słabe. Zdolne, ale leniwe, mówią nauczyciele. Gdy nie ma lekcji w szkole, w wakacje i ferie, dziewczyny przesiadują w internecie, oglądają filmy i kolorowe, lepsze życie, jakiego nigdy nie będą miały.

Czasem Ilona nie wytrzymuje tego wszystkiego i idzie w tango. Nie ma jej w domu dzień lub dwa. Potem przyjeżdżają do jej domu panie z opieki. Po jednej z takich wizyt Ilona dała sobie wszyć esperal. Zajęła się dziećmi i domem. Jakiś czas był spokój.

Teraz w pokoju Staśka jest internet. Mężczyzna całymi dniami siedzi w domu i przyjmuje dary. A to jabłka, które córki dostały od sąsiada, a to maliny uzbierane przez nie w sadzie u jednej z cioć. To, czym całymi dniami zajmuje się Stasiek, to kominy i okna jego sąsiadów. Gdy zobaczy, że dym z komina sąsiada ma kolor inny niż jasnoszary, dzwoni, gdzie trzeba, aby sprawdzili, czy sąsiad pali węgiel, a nie opony. Stasiek denerwuje się także, gdy w oknie u sąsiadów długo świeci się światło. Zastanawia się, co się dzieje, jeśli jeszcze o północy światło nie gaśnie.

•

Córki Ilony i Staśka – Maja, Nela i Ola – świat znają z internetu i ze szkoły, a okna i kominy sąsiadów mają gdzieś. Wiedzą z internetu, że świat jest kolorowy. Zazdroszczą koleżankom z klasy modnych ciuchów. Maja kiedyś marzyła, aby być modelką, potem kosmetyczką, teraz chciałaby być tylko sławna. Najszczęśliwszym dniem w jej życiu była komunia. Wtedy dostała telefon komórkowy z dostępem do internetu. Nie potrafiła już bez niego się obyć. Któregoś dnia telefon upadł i zepsuł się wyświetlacz. Piękny, kolorowy świat zgasł. Prośby Mai o naprawę telefonu nikogo z dorosłych nie obchodziły. Być może dlatego szczęście próbowało uśmiechnąć się do rodziny dworusów jeszcze raz.

Przyszło latem, gdy dziewczynki bawiły się koło domu. Miało cztery łapy, machało ogonem i szczekało. Szczeniak przychodził codziennie, ale nie dał się dotknąć. Chciał być z ludźmi, choć bardzo się ich bał. Zakradał się pod stodołę i czekał. Stasiek nie chciał go wpuścić do domu. Szczeniak zamieszkał na ganku. Od czasu do czasu Stasiek rzucał mu jakąś kość. Gdy obcy ludzie kupili suchą karmę i chcieli dać budę, mężczyzna wpadł w szał. Wygonił psa, bo – jak tłumaczył dziewczynkom – pies se radę da.

Maja, Ola i Nela nigdy nie czekają na wakacje, ale na zimę. Wtedy można jeździć na sankach i są prezenty. Córki Ilony, choć mieszkają na wsi, nie mają pojęcia, że mogłyby posiać wiosną kwiaty czy nowalijki, a może i posadzić z dorosłymi owocowe krzewy i drzewa.

Danusia

Danusia ma 60 lat i nadal jest najbardziej elegancką i najładniejszą kobietą we wsi. Ma ogromne, zielone oczy i mało zmarszczek. Co niedziela idzie z mężem, Genkiem, do kościoła. Zawsze wygląda tak, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera. Ma na sobie idealnie skrojony kostium i płaszcz. Wszystko szyje sama. Jest krawcową.

Genek ma twarz czerwoną od wysokiego ciśnienia i alkoholu. Gdy pije, staje się porywczy i agresywny. Wtedy złość wyładowuje na żonie. Stosuje dwie metody. Pierwsza to wyzwiska i krzyki. Danusia z reguły milczy wówczas jak grób. Druga metoda Genka jest perwersyjna. Wyzywa żonę spokojnym, a nawet grzecznym tonem. Uśmiechając się, mówi, że „ona" nic nie ma, niczego w życiu się nie dorobiła, że jest taka i owaka. Czeka na reakcję Danusi, prowokuje. Ale twarz żony ani drgnie. Dopiero gdy Genek wychodzi z pokoju, trzaskając drzwiami, z oczu Danusi wypływa potok łez.

Kilka lat temu Genek próbował podnieść rękę na Danusię, ale w obronie matki stanął syn Mateusz. Genek się przestraszył. Co by to było, gdyby syn lub żona wezwali policję? Policjanci zanotowaliby przecież: przemoc domowa, a on był radnym. Codziennie w białej koszuli, pod krawatem, w marynarce paradował przez wieś. Obiecywał ludziom dużo, do domu wracał późno i najczęściej pijany. Potem ludzie mówili o nim: radny bezradny. I tak skończyła się jego kariera, choć w białej koszuli, krawacie i marynarce chodzi do dziś.

Gdy Danusia opowiada o kolejnej kłótni, którą po pijanemu zrobił jej Genek, pytam, dlaczego nie powie policji, nie założy sobie niebieskiej karty lub po prostu nie odejdzie.

O tym, że Ilona urodziła pierwsze dziecko, ludzie we wsi dowiedzieli się z radia. Była przed trzydziestką i miała sporo promili we krwi.

Ale któregoś dnia wydłubała esperal i znów poszła pić. Aż przyjechały panie z opieki. Nie chciała, by odebrali jej dzieci. Pojechała do miasta, żeby jeszcze raz wszyli jej esperal. Teraz na alkohol nie będzie miała ochoty przez co najmniej pół roku.

•

Bogiem w rodzinie dworusów jest Stasiek. Nim poznał Ilonę, pracował w mleczarni. Mieszkał z matką. Jadwiga była najbiedniejsza we wsi, ale słynęła z pracowitości. Za domem był kawałek pola, a nieopodal tytoniarnia. Jadwiga, choć szczupła i słaba, sadziła tytoń, a wysuszone liście zawijała w szmatę i dźwigała na plecach. Stasiek w tym czasie pił z kolegami. Pewnego dnia sprzedał pole za domem. Zrozpaczona matka chodziła w pole każdego dnia. Nie mogła uwierzyć, że to już nie jest jej ziemia. Z rozpaczy postradała zmysły. Niebawem zmarła.

eprasa.pl cecf2a93f3

– Gdzie ja pójdę, jak on mnie wyrzuci? Co ludzie powiedzą? Poza tym... kocham go – odpowiada kobieta.

•

Danusia i Genek mają troje dorosłych już dzieci, ale rodzina rzadko się spotyka w komplecie. Córka i starszy syn szybko wyprowadzili się z domu, nie chcąc patrzeć na to, jak ojciec traktuje matkę. Najmłodszy syn poszedł w ślady ojca. Nie tylko pije, ale też ćpa i wtedy robi się agresywny.

Genek jest mechanikiem. Tuż przy olbrzymim domu stoi warsztat samochodowy. To jego królestwo. Co do tego, czy jest dobry w swoim fachu, zdania są podzielone. Bywało, że ktoś zostawił auto do naprawy i wracało z inną, gorszą częścią.

W dni targowe Danusia jeździ na zakupy z mężem do miasteczka. Oprócz tego, że szyje, sprząta, prasuje, pierze, gotuje obiad. A w każdą niedzielę i święta zasiada w pierwszej ławce w kościele. Genek zajmuje jedną z ostatnich ławek. Czuje, że nie mógłby spojrzeć głęboko w oczy Panu Bogu. Nie przeszkadza mu to jednak co roku zapraszać proboszcza na bożonarodzeniowy obiad przygotowany przez Danusię.

Mariola

Mariola jest wdową, w pewnym sensie nawet podwójną. Jej mąż Heniek zmarł nagle. Miał pod siedemdziesiątkę, tak jak ona teraz. Był drobny, chudy jak szczapa i wysuszony przez papierosy. Gdy Mariola wróciła z pola, Heniek siedział na stołku i milczał. Nawet nie zapalił, a palił przecież jak lokomotywa. Kiedy go dotknęła, był już zimny. Odszedł szybko i cicho. Zostawił ją tak, jak zostawiał za życia. Gdy inni już dawno wrócili z pracy, ona czekała. Potem zarzucała chustę na ramiona i wychodziła go szukać.

Kiedyś znalazła go w rowie. Bez pieniędzy, które zarobił. Miały być na jedzenie. Ledwo doniosła go do domu. Heniek przepijał prawie wszystko, co zarobił jako spawacz w Hucie im. Lenina. A dwie córki i syn musieli coś jeść. Od wiosny do późnej jesieni pracowała więc w polu. Bieda była taka, że nieraz cały dzień przepracowała o kromce chleba. W drewnianej chałupie było klepisko zamiast podłogi. Gdy dzieci podrosły, wybudowali z Heńkiem murowany dom. Dwie córki wyszły za mąż i poszły na gospodarkę do mężów. Z Mariolą i Heńkiem został najmłodszy syn z żoną i trzema córkami.

Heniek kochał żonę na swój sposób. Nie zabierał jej na zabawy, nie prawił komplementów, nie kupował prezentów, ale był bardzo zazdrosny. Nie pozwalał jej nawet wychodzić do sąsiadki. Obawiał się, że Mariola spodoba się jej ojcu.

•

Po śmierci Heńka z Marioli uszło życie. Całymi dniami siedziała w oknie lub leżała w łóżku. Straciła apetyt i nic już jej nie cieszyło. Zaniepokojone córki postanowiły wysłać mamę do sanatorium. Kupiły jej w ciucholandach nowe swetry i sukienki. Wnuczka zrobiła jej manikiur, a synowa ufarbowała włosy na blond i zrobiła fryzurę. „Babcia, przywieź narzeczonego", usłyszała Mariola, wyjeżdżając do sanatorium. I przywiozła. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Czesław zobaczył ją na stołówce w tych złotych lokach i niebieskiej sukience. Nie mógł oderwać od niej oczu. Pozwoliła, aby się przysiadł. Miała wielu adoratorów, ale ten był elegancki i szarmancki. Podczas całego turnusu dbał o Mariolę, kupował kwiaty. Czekał pod jej pokojem, żeby razem poszli na obiad, przynosił sweter, gdy było jej zimno. Był pierwszym mężczyzną, przy którym czuła się jak dama. W przeciwieństwie do jej męża nie przepadał za alkoholem. Był wesoły, tak jak ona lubił tańczyć i na sanatoryjnych potańcówkach wiedli prym. Im bliżej było do końca turnusu, tym więcej czasu spędzali ze sobą. Chcieli nadrobić zmarnowane lata. Nie mieli przed sobą sekretów. On opowiedział jej o swoim nieudanym małżeństwie i o tym, że czeka na rozwód.

Obydwoje wiedzieli, że to, co do siebie czują, to coś więcej niż zauroczenie. Nie trzeba było nawet ustalać, u kogo będą mieszkać. Czesław spakował swój skromny dobytek do samochodu i ze Śląska przeniósł się do Marioli. Nie chciał być darmozjadem, więc razem z nią pracował w polu i założył hodowlę królików.

Po jakimś czasie Mariola przestała się bać tego, co powiedzą ludzie. Żyło im się dobrze. Jeździli na zakupy i wycieczki, nie omijali wiejskich zabaw. Odwiedzali razem swoje dalsze i bliższe rodziny. On kupował jej drobne prezenty, a ona gotowała mu pyszności. Gdziekolwiek razem się pojawiali, budzili sympatię i radość. Jak w każdym związku miewali ciche dni. Wtedy Czesław pakował swoje rzeczy i godzinę lub dwie siedział w samochodzie. Po jakimś czasie dawał się udobruchać i wracał do domu.

Heniek kochał Mariolę na swój sposób.
Nie zabierał jej na zabawy, nie prawił komplementów,
nie kupował prezentów, ale był bardzo zazdrosny.

Kobiety ze wsi zazdrościły Marioli takiego przystojniaka. Ale po trzech latach Czesława zaatakował rak. Jeździli z Mariolą na naświetlania, a kiedy Czesław nie mógł już sam prowadzić auta, woził go zięć Marioli. Pewnego dnia Czesław został w szpitalu. Do Marioli już nie wrócił.

•

Dopiero po kilku latach od jego śmierci Mariola bardzo powoli zaczęła dochodzić do siebie. Nie szuka już żadnej miłości. Od klęczenia na zimnej ziemi w polu nabawiła się reumatyzmu i ma problemy z chodzeniem. Rodzina znów wysłała ją do sanatorium. Wróciły forma i wspomnienia. Teraz Mariola żyje w dwóch światach. W tym za dnia odwiedzają ją dzieci i wnuki, wspierają ją dobrym słowem. W nocy wracają wspomnienia. Mariola zamyka oczy i widzi dzień, w którym spotkała Czesława, i lata, kiedy była z nim bardzo szczęśliwa.

Katarzyna Stachowiak

eprasa.pl cecf2a93f3

Dolina Bugu to ważne miejsce dla żurawi. Zanim odlecą na zimowiska, tworzą stada złożone z dziesiątek osobników.

PRZELOTY

Bug ze swoimi starorzeczami, łąkami, podmokłościami i wyspami jest świetnym przystankiem dla migrujących ptaków wodno-błotnych

Maciej Cmoch

Latem w ptasim świecie następuje pewne wyciszenie. U większości gatunków lęgi dawno się skończyły, a więc nie trzeba już tyle śpiewać ani zacięcie bronić terytoriów. Po żniwach na ogołoconych polach wieje pustką i nostalgią. Łąki, które jeszcze nie tak dawno rozbrzmiewały głosami pokląskw, czajek, rycyków, świergotków i skowronków, teraz smętnie szumią trawami. (...) Nad dużymi rzekami zaczyna się jednak ruch. Płycizny, przybrzeżne błota i piaszczyste ławice przyciągają migrantów z grupy ptaków siewkowych. Na jedzenie i odpoczynek zatrzymują się tam rycyki, bataliony, łęczaki, kszyki, brodźce śniade, brodźce piskliwe, kuliki wielkie, biegusy zmienne, czajki, samotniki, sieweczki rzeczne i obrożne, kwokacze, krwawodzioby, biegusy małe i malutkie. Ptaki o rozmaitych kolorach, gabarytach, głosach i kształtach dziobów, a także wielorakiego pochodzenia. Różnorodna grupa smakoszy bezkręgowców bytujących w piachu, mule i błotku.

Na początek przyjrzyjmy się kwokaczowi – ptakowi o smukłej sylwetce i lekko zakrzywionym ku górze dziobie. Kwokacz potrafi nim chwytać małe rybki, „orząc" taflę wody podczas ganiania po płyciznach. Może nim również podważać kamyki i kawałki drewna w poszukiwaniu ukrytych tam żyjątek. Dla mnie głos tego ptaka to symbol letniego przelotu – dźwięczne, donośne i nieco melancholijne „kju kju kju", które niesie się daleko po wodzie. Często słyszę je, jeszcze zanim stanę nad brzegiem, kiedy dopiero zmierzam w kierunku rzeki, człapiąc przez łąkę lub pastwisko. To dla mnie sygnał, że nad Bugiem zaczął się ruch, że w korycie coś się dzieje.

Kwokacze nie lęgną się w Polsce, tylko przelatują przez nasz kraj, ale dzięki obecności takich rzek jak Bug mają gdzie się zatrzymać i żerować podczas podróży na zimowiska zlokalizowane w basenie Morza Śródziemnego i w Afryce. W Europie kwokacze gniazdują na Półwyspie Skandynawskim, w pozostałej części Finlandii oraz na szerokim pasie ciągnącym się od Białorusi przez Łotwę, Estonię i Rosję aż po Ural, a także w Szkocji. Wybierają tam mokradła i torfowiska zarówno otwarte, jak i zalesione. Co ciekawe, mogą także gniazdować w suchszych środowiskach w oddaleniu od rozległych podmokłości.

Podobny zasięg występowania ma łęczak, choć w wypadku tego gatunku pojedyncze lęgi odnotowuje się również w Polsce, np. na Podlasiu.

eprasa.pl cecf2a93f3

Ptak ten gniazduje w różnorodnych środowiskach: na bagnach i torfowiskach rozpościerających się w krajobrazie otwartym i zalesionym, na podmokłych wrzosowiskach oraz w strefie przejściowej między tundrą a lasami iglastymi. Różnorodne są też miejsca jego postoju podczas przelotu do Afryki. Stadka łęczaków zatrzymują się nie tylko na nadrzecznych błotach, lecz także na spuszczonych stawach, zalanych łąkach i podtopionych polach. Można się więc na nie natknąć nawet podczas spaceru z psem, gdzieś pod miastem lub za wsią. Jesienna wędrówka łęczaków jest raczej powolna, z długimi postojami, podczas których ptaki gromadzą zapasy energetyczne dochodzące do 30-40% masy ciała. Muszą się dobrze najeść, bo ich droga do Afryki może być dłuższa niż 2 tys. km, a znane są przypadki pokonania tysiąca kilometrów w ciągu jednej doby. Łęczaki rzadko zimują bliżej, choć były widywane na wybrzeżach Atlantyku lub w rejonie Morza Śródziemnego.

Przelot wczesnowiosenny przebiega w dolinie pod znakiem gęsi, kaczek i czajek.

Podobne do łęczaków samotniki żerują raczej samotnie – a więc samotnikami są nie tylko z nazwy. Zamiast zakładać gniazda na ziemi, jak czynią inne ptaki siewkowe, lęgną się na drzewach w podmokłych lasach. Jaja składają do gniazd innych ptaków, zwykle drozdów. Podczas przelotu obserwuję samotniki raczej sporadycznie, pewnie dlatego, że pozostają gdzieś na uboczu, niechętne sąsiedztwu innych ptaków. Samotniki zimują w wielu różnych regionach – od Afryki po naszą część Europy (podczas łagodnych zim).

Podczas przelotów jednym z gatunków spotykanych nad Bugiem najczęściej jest brodziec piskliwy, zwany też piskliwcem. Szczyt jego liczebności w Polsce przypada na sierpień – ptaki przybywające do naszego kraju pod koniec lata pochodzą głównie ze wschodu i północy, podczas gdy „nasze" odlatują z Polski nieco wcześniej. Brodźce można wtedy obserwować niemal wszędzie – zarówno na rozległych przybrzeżnych błotkach, jak i niewielkich piaszczystych ławicach lub wąskich paskach gruntu ciągnących się u podnóża skarp. Są mocno przywiązane do koryta, więc obserwacje nad starorzeczami należą do wyjątków. Głównym celem letniej wędrówki brodźców jest Afryka na południe od Sahary. Pewna liczba ptaków zimuje też w zachodniej Europie i w basenie Morza Śródziemnego.

Jeden ze znajomych ornitologów – Marcin Łukaszewicz – przeprowadził swego czasu badania nad dziennym budżetem czasowym piskliwców, czyli po prostu sprawdził, ile czasu ptaki poświęcają na daną czynność. Wynik nie zaskakiwał – zdecydowaną większość, bo niemal 76% czasu, ptaki poświęcały na żerowanie.

Liczne nad Bugiem są również czajki. Koczują stadami na piaszczystych wysepkach i czasem potrafią przykryć sobą cały wystający z wody skrawek lądu. Są odporne na chłody – wcześnie przylatują i późno odlatują. Dopiero bardzo niskie temperatury, a w konsekwencji zamarzanie wierzchniej warstwy gleby, wyganiają czajki w cieplejsze rejony Europy. Północną granicę ich europejskich zimowisk wyznacza średnia temperatura w styczniu wyższa od 3 st. C. Obserwacje z listopada, a nawet grudnia nie należą w Polsce do rzadkości.

Czajka to gatunek o przelocie bardzo rozciągniętym w czasie. Pierwsze koczujące stada ptaków, które straciły lęgi, pojawiają się już w maju! Przez Polskę i Europę lecą szerokim frontem i można się na nie natknąć w wielu miejscach, nie tylko nad rzekami. Zatrzymują się na rozoranych polach, skoszonych łąkach i spuszczonych stawach. Żerując na mulistym podłożu, często wibrują wysuniętą do przodu nogą, wypłaszając w ten sposób potencjalną zdobycz.

Spory dystans do pokonania mają rycyki. Lecą do Afryki na zimowiska zlokalizowane na południe od Sahary, w wewnętrznej delcie rzeki Niger i nad jeziorem Czad. W Holandii i w Polsce przeprowadzono szczegółowe badania migrujących rycyków. Ptakom założono nadajniki, a wyniki porównano. Okazało się, że istnieją spore różnice, jeśli chodzi o migrację tych dwóch populacji. Otóż polskie rycyki odlatują wcześniej niż holenderskie, ale przylatują na zimowisko później (średnio aż o miesiąc), gdyż zanim przekroczą Morze Śródziemne, sporo czasu spędzają na południu Europy. Trasa przelotu holenderskich rycyków w kolejnych latach jest niemal taka sama. Nasze ptaki co roku zaś lecą inaczej. Dlaczego? Do końca nie wiadomo, ale możliwe, że dzieje się tak ze względu na niewielką liczebność polskiej populacji. Młode nie poznają bezpiecznych tras, które w większych grupach są przekazywane z pokolenia na pokolenie, więc tworzą swoje własne, nie zawsze odpowiednie. I wciąż z tymi trasami kombinują, przedłużając swoją podroż.

Małe, maskująco upierzone kszyki z nieproporcjonalnie długimi dziobami rzadko wychodzą na otwarte błoto. Wolą żerować pod okapem roślinności lub osłoną nocy. Kiedy idę mulistym brzegiem, czasem jakiś umknie mi spod nóg i ucieka zakosami, by za jakiś czas znów zapaść w gąszcz przykrywający błotnistą maź. To skryte, przykurczone, pochylone do ziemi ptaki, tak różne od wyniosłych i głośnych kwokaczy czy wszędobylskich piskliwców. Kszyki, które złapano i zaobrączkowano podczas ich wędrówki przez Polskę, odnotowano potem na północy Francji, w Hiszpanii oraz na południowych wybrzeżach Wielkiej Brytanii. Zdarzały się też obserwacje z rejonu Morza Śródziemnego, choć były one rzadsze. Zdarza się, że kszyki zimują w Polsce – zatrzymują się wtedy na oparzeliskach i niezamarzających ciekach. Podczas żerowania potrafią wsadzić dziób w muł aż do nasady. Ta część ich ciała jest czuła na dotyk, a jej zaskakująco giętka końcówka może zostać rozchylona nawet wtedy, gdy reszta „szpady" pozostaje zamknięta. (…)

Dolina Bugu to ważne miejsce także dla żurawi. Zanim odlecą na zimowiska, tworzą stada złożone z dziesiątek, a czasem nawet setek osobników

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

W kwietniu i maju pojawiają się grupy batalionów żerujących na podtopionych łąkach.

– zarówno dorosłych, jak i tegorocznych młodych. Ptaki w ciągu dnia żerują w rozproszeniu na łąkach, rozoranych polach i ścierniskach, a wieczorem zlatują się gromadnie na noclegowiska. Mogą nocować na stawach, moczarach, zalanych łąkach, a także wyspach i płyciznach na dużych rzekach. Raz przez przypadek znalazłem się nieopodal takiego noclegowiska. Jak zwykle pod koniec lata siedziałem w namiocie maskującym, czekając nad rzeką na żerujące ptaki siewkowe. (…) Z racji niskiego stanu wody piaszczysta wyspa, na której stał namiot, połączyła się z wyższą wyspą porośniętą zielskiem i łęgiem, więc pompowany kajak mogłem ukryć w gęstej roślinności. Miałem w sobie jakiś irracjonalny lęk, że oto z łęgu wypełznie bóbr, a zobaczywszy kajak, dziabnie go zębami, sprawdzając w ten sposób, co to za dziwna rzecz. Nic takiego się oczywiście nie wydarzyło.

Gdy zaszło słońce, dolina szybko pogrążyła się w gęstej ciemności. Klangor, który słyszałem już wcześniej, wzmagał się i przybliżał, aż w końcu zobaczyłem ciemne sylwetki żurawi opadające na drugi koniec ławicy. Nie było ich dużo, ledwie kilka rodzin. Wśród ptaków dało się słyszeć charakterystyczne świszczenie tegorocznej młodzieży. Niespodziewanie zyskałem bardzo atrakcyjne sąsiedztwo, mogłem jednak mu się przyjrzeć dopiero tuż przed wschodem słońca, gdy dolina zaczynała się ponownie wypełniać światłem. Pomarańczowy świt podświetlił delikatną mgłę i sylwetki żurawi dostojnie spacerujących po piachu. (…)

Liczebność tego gatunku gwałtownie wzrasta i dotyczy to zarówno lęgowisk, jak i noclegowisk. Kiedyś żuraw był ptakiem skrytym, zaszywającym się gdzieś w olsach i moczarach, a dziś żyje niemal tak blisko człowieka jak bocian. Widok żurawia spowszedniał, choć jego donośny klangor nadal porusza we mnie jakieś nostalgiczne struny.

Gdy żurawie opuściły wyspę, za sąsiadów ponownie miałem piskliwce, łęczaki i kszyki. Na moment pojawił się zimorodek – siadł nieopodal namiotu na wystającym z mokrego piachu pomarszczonym drewnianym kikucie, być może pozostałości po zamierzchłej działalności bobrów. Posiedział chwilę, po czym wystrzelił jak pocisk i poleciał dokądś nisko nad wodą. Krótko zabawił też kwokacz. (…)

Na przeloty jeżdżę zwykle późnym latem, rzadziej wiosną, kiedy mam znacznie mniej czasu. A szkoda, bo wtedy też jest ciekawie. Przelot wczesnowiosenny przebiega w dolinie pod znakiem gęsi, kaczek i czajek. Z czasem fala tych gatunków opada, a w kwietniu i maju pojawiają się grupy batalionów żerujących na podtopionych łąkach oraz błotnistych brzegach wysp. Niestety, batalion, będący niegdyś w Polsce gatunkiem regularnie lęgowym, obecnie niezwykle rzadko odchowuje tu swoje potomstwo. Każdy taki potwierdzony przypadek staje się wręcz sensacją i elektryzuje środowisko ornitologów. (…) Stada batalionów pojawiają się w Polsce wiosną, ale potem po ptakach nie ma śladu. (…)

Przelot jesienny jest rozciągnięty w czasie. W zasadzie zaczyna się już latem (a w wypadku czajek nawet późną wiosną) i trwa do później jesieni. Ptaki nie śpieszą się i poświęcają dużo czasu na żerowanie. Wiosną lecą zaś znacznie żwawiej. Muszą przecież zająć najlepsze siedliska, wyprzedzając konkurentów. Różne gatunki mają różne szczyty przelotu, np. u piskliwców i kwokaczy moment ten przypada w lipcu oraz sierpniu, u czajek w marcu, a u batalionów i łęczaków w maju. Kaczki najlepiej obserwować wczesną wiosną. W korycie, na starorzeczach i rozlewiskach mamy wtedy kaczą zupę z pierzastymi składnikami w postaci cyraneczek, świstunów, krzyżówek, głowienek i czernic.

Bug ze swoimi starorzeczami, łąkami, podmokłościami i wyspami jest świetnym przystankiem dla migrujących ptaków wodno-błotnych. Odnajdują tu pożywienie i bezpieczeństwo. Za migrującymi ptakami podążają ich obserwatorzy, a czasem niestety także myśliwi. Ptaki podczas wędrówek pokonują tysiące kilometrów, narażając się przy tym na wiele niebezpieczeństw, w tym polowania, załamania pogody, ataki drapieżników, głód. Dlatego tak ważne jest istnienie zasobnych w pokarm i dających względne bezpieczeństwo terenów, gdzie mogą się zatrzymać. Takie obszary powinny być szczególnie chronione, bo są istotne nie tylko z perspektywy jednego kraju – odgrywają znaczącą rolę dla całych populacji obejmujących swoim zasięgiem wiele państw. Chroniąc dolinę Bugu, pomagamy też ptakom z Finlandii, Litwy, Łotwy, Białorusi, Ukrainy i Rosji.

Fragmenty książki Macieja Cmocha *Bug. Opowieści o rzece, łęgach, piachach, łąkach, starorzeczach i mokradłach, a także o życiu zwierząt i ludzi w meandry dzikiej rzeki zaplątanych*, Paśny Buriat, Kielce 2024

eprasa.pl cecf2a93f3

LAS OD KUCHNI

Pyłek sosnowy zwiększa libido, a z pieprznika jadalnego można zrobić nalewkę

Piotr Ciemny

Stare lasy iglaste występują przede wszystkim na ziemiach bielicowych w klimacie umiarkowanym. W Polsce dominują w nich różne gatunki sosen, modrzewi i świerków. Można w nich również spotkać drzewa liściaste: jarząb pospolity, osikę czy brzozę. Runo leśne obfituje w owoce leśne i wrzos zwyczajny, a na terenach podmokłych napotkamy bagno zwyczajne czy borówkę bagienną. Najczęściej spotykanym drzewem w lesie iglastym jest sosna, która zajmuje aż 58% powierzchni lasów w naszym kraju.

Lasy iglaste dzieli się ze względu na dominujący w nich gatunek drzew, wyróżniając: bór sosnowy, bór świerkowy, bór jodłowy.

W Polsce dzieli się je także na:

• bory sosnowe suche – rosną na suchych glebach piaszczystych; dominują w nich sosny zwyczajne, a runo leśne jest bogate w mchy, rośliny kwiatowe oraz porosty,

• bory sosnowe świeże – występują na wilgotnym podłożu, które sprzyja rozwojowi okazałych wrzosów oraz borówek (czarnej i brusznicy); można w nich również spotkać drzewa liściaste (np. brzozę),

• bory sosnowe bagienne – porastają tereny podmokłe, o glebach torfowych; w runie leśnym przeważają mchy.

W zbiorze dzikich ziół lasy iglaste bywają trudnym wspólnikiem i budzą we mnie mieszane uczucia. Często wraca się z nich z niczym, zwłaszcza gdy korony drzew zaczynają się bardzo wysoko, co nie ułatwia dostępu do igieł. (…) Polecam te lasy przede wszystkim na wiosnę, ponieważ wtedy zaczynają się pojawiać młode igły świerku oraz modrzewia, które są przepyszne i aromatyczne. Wczesną wiosną warto też zwrócić uwagę na korę sosny, pamiętając, że należy ją pobierać ostrożnie, z szacunkiem do drzewa. W maju z kolei na sośnie wyrastają młode szyszki, które smakują wyśmienicie. Lato w lesie iglastym to palce granatowe od jagód, do których dołączają piękne wrzosy, nadające się nie tylko do zdjęcia, ale również na pyszne dzikie leśne piwo.

No i ciekawe okazy grzybów, a wśród nich np. siedzuń sosnowy, którego znam od dzieciństwa jako „kozią brodę". Podczas leśnych przechadzek nie zapominaj również o gatunkach trujących: konwalii majowej, kokoryczce wonnej oraz wilczomleczu sosnce wabiącym intensywnie żółtymi kwiatami. Ten ostatni rośnie na skraju lasu, podobnie zresztą jak większość dzikich ziół. Im dalej się w niego zagłębisz, tym mniejsza szansa na napotkanie interesujących nas roślin. (…) W lesie często natrafimy także na drzewa iglaste po wycince. Wedle prawa można z nich pobierać m.in. korę oraz igły. Przed zrobieniem większych zapasów zawsze jednak warto zwrócić się o zgodę do leśnika urzędującego na danym terenie.

Sosna

Najczęściej spotykane drzewo w polskich lasach. Najpowszechniejszym gatunkiem jest sosna pospolita (*Pinus sylvestris*), rzadziej występują objęte ochroną sosny: górska (*Pinus mugo*), limba (*Pinus cembra*) oraz czarna (*Pinus nigra*).

Młode pędy, zebrane wczesną wiosną, są mocno żywiczne w smaku. Można je jeść na surowo, gotować, smażyć. Cieszą się popularnością jako składnik syropów na kaszel. Polecane również na nalewki, jako dodatek do oranżad, a także jako świeży wkład do piwa.

Męskie kwiatostany, które mają postać żółtych pręcików skupionych u podstawy młodych pędów, najlepiej zbierać późną wiosną, zanim zacznie się z nich osypywać pyłek (warto uważnie obserwować drzewa w tym okresie). Żeńskie, rzadsze, przypominają małe, zielonkawe lub czerwonawe łuski. Oba kwiatostany sporadycznie spotyka się na młodych pędach. Tak samo jak młode pędy można je zjadać na surowo albo poddawać obróbce termicznej. Podobnie jak one mają żywiczny smak, ale dzięki kwaskowatej nucie są od nich subtelniejsze. Doskonałe do lekkich dań i deserów.

Pyłek sosnowy to czyste złoto zgromadzone na kwiatostanach męskich. Żeby je pozyskać, należy na przełomie maja i czerwca (podczas pylenia sosny) delikatnie zerwać kwiaty i umieścić je w papierowej torbie. W domu wykłada się je na papier, lekko przesusza, a na koniec przesiewa nad miską i zamyka w słoiku. Pyłek sosnowy podnosi stężenie wolnego testosteronu we krwi, zwiększa libido i poprawia wygląd skóry.

Igły to surowiec, który można zbierać przez cały rok. Oczywiście najlepsze są te młode, ale ze starszych też można wyciągnąć dużo dobrego. Wystarczy je wysuszyć, sproszkować i używać jako przyprawy albo zmiksować z solą lub cukrem. W czasie spaceru w lesie idealnie sprawdzą się jako podstawowy składnik herbaty lub naparu. Na igłach znajduje się dużo dzikich drożdży, więc stanowią one dobry podkład pod octy, syropy i nalewki. Ponadto są doskonałym źródłem witaminy C.

Podkorze spożywano w dawnej Skandynawii na surowo lub przetwarzano na mąkę używaną do wypieku chleba lub do zagęszczania zup. Najlepiej pobierać je wczesną wiosną, gdy trwa wycinka lasu, wtedy na pewno nie zrobimy drzewu krzywdy.

eprasa.pl cecf2a93f3

Zielone szyszki – młode i jędrne – można jeść na surowo. Mają mocny żywiczny smak, są miękkie, chrupiące. Mogą działać jako aromatyzer do alkoholu, kompotów, oranżad, octu. Zblanszowane, a następnie ugotowane w słodkim syropie to niebo w gębie! Pamiętaj, żeby nie zbierać ich na terenach objętych ochroną i nie obrywać wszystkich z jednego drzewa. Sezon zbioru jest krótki, bo trwa jedynie dwa-trzy tygodnie na przełomie maja i czerwca.

Wrzos

Fioletowo-zielony leśny dywan to idealna sceneria do zdjęć. Nie są to jednak jedyne walory wrzosu pospolitego (*Calluna vulgaris*). Kwiaty oraz gałązki nadają się do aromatyzowania potraw i napojów, a także eksperymentów z dzikimi piwami, naparami oraz oranżadami. Do plusów można zaliczyć jeszcze dostępność, bo gałązki można zrywać przez cały rok.

Kwiaty tej miododajnej rośliny obfitują w nektar. W smaku jest słodko-gorzki, bardzo intensywny. Kwiaty możesz również zebrać, ususzyć i dorzucić do mieszanki przypraw albo zaparzyć z nich napar.

Gałązki wykorzystywano dawniej, zanim jeszcze pojawił się chmiel, do produkcji piwa. (…)

Jodła

Jeśli chcesz trafić na jodłę w naturalnych warunkach, musisz się wybrać na południe Polski. W naszych lasach króluje jodła pospolita (*Abies alba*). Spośród innych iglaków wyróżnia się dzięki szyszkom, które sterczą do góry. Ponadto łatwo ją rozpoznać po igłach – od spodu są jasne, a gdy je potrzesz, poczujesz pomarańczową nutę!

Młode pędy dobrze się sprawdzają w klasycznym syropie cukrowym. Możesz też urwać kawałek gałązki i dorzucić do butelki z domowym octem jabłkowym. Podgotowane z innymi leśnymi dodatkami będą świetną bazą pod leśne piwo.

Igły zmielone z cukrem potraktuj jako magiczny składnik do wypieków i deserów. Krawędzie szklanki natrzyj sokiem z cytryny, a następnie oprósz jodłowym cukrem i zaskocz siebie oraz domowników oryginalnym, smacznym pomysłem.

Młode szyszki można rozdzielić na łuski, a następnie zamarynować w lekkiej marynacie octowej albo dodać do miodu. Jeśli wydają ci się zbyt twarde, zblanszuj je przed zalaniem marynatą. Na średni słoik w zupełności wystarczy jedna szyszka.

Modrzew europejski

To bardzo ciekawe drzewo iglaste, ponieważ jako jedyne traci swoje igły na zimę – późną jesienią blakną i opadają. W lasach rośnie modrzew europejski (*Larix decidua*). Ma delikatne igły, zebrane w pokaźne pęczki, dzięki którym łatwo go odróżnić od innych gatunków iglaków.

Igły pojawiają się wiosną. Są delikatniejsze od tych świerkowych. Polecam wykorzystać je na surowo do dekoracji potraw. Można je też zamrozić i w takiej formie potraktować jako dodatek do dżemów, konfitur oraz marynowanych warzyw i owoców. Świeżą gałązkę warto wrzucić do butelki z octem z jabłek albo gruszek, żeby przeszedł leśnym aromatem. Większą porcję możesz zamarynować w lekkiej zalewie octowej – będzie superdodatkiem na zimowe dni, gdy igieł nie będzie już na drzewach.

Gałązki, które zbieramy od wiosny do późnej jesieni, idealnie pasują do naparów, herbat albo octu. Równie dobrze sprawdzą się jako dodatek do ziołowych alkoholi typu wermut.

Szyszki, dostępne od wiosny po koniec lata, mają piękny kształt. Polecam spróbować jedną, aby porównać sobie smaki, np. z szyszkami sosnowymi. Jeśli jesteś w okolicy obfitującej w modrzewie i masz możliwość zebrać z nich spory zapas szyszek tak, żeby nie zniszczyć drzew, możesz się pokusić o ich zamarynowanie. (…)

Brzoza

Tak jak bluszczyk kurdybanek (*Glechoma hederacea*) jest najsławniejszym chwastem, tak najsławniejszym drzewem w Polsce jest brzoza brodawkowata (*Betula pendula*). Bez problemu pozna ją nawet najbardziej „zielony" w terenie, bo widoczna z daleka biała kora to jej znak rozpoznawczy. (…)

Sok zbiera się na przedwiośniu, podczas pierwszych słonecznych dni, zaraz po roztopach. Od razu jednak chciałbym uprzedzić nowicjuszy, że jeśli się nie ma doświadczenia, lepiej odpuścić sobie samodzielne ściąganie soku z drzewa. Tym bardziej że w sezonie łatwo go zamówić przez internet albo kupić na targu. Jest lekko słodki, więc warto go potraktować jako bazę do własnej roboty syropu, rodzimego odpowiednika popularnego kanadyjskiego syropu klonowego. Polecam też przelać świeży sok do butelki, dorzucić młodą gałązkę modrzewia europejskiego, mocno zakręcić, aby do środka nie wdało się powietrze, i… uzbroić się w cierpliwość. Po dłuższym leżakowaniu pojawią się bąbelki – znak, że już czas raczyć się tą niebanalną oranżadą.

eprasa.pl cecf2a93f3

Młode liście, gorzkawe w smaku, nadają się do smoothie, dań jednogarnkowych, gulaszy. Świetnie współgrają ze słodką marynatą, która nie tylko skontrapunktuje zawartą w nich goryczkę, ale również zakonserwuje na zimę.

Kwiatostany męskie – gorzkie tak samo jak liście – są bogatym źródłem białka i składników mineralnych. Możesz je rozetrzeć w rękach na mączkę, a następnie wykorzystać do placków warzywnych i wytrawnych potraw. Wcześniej jednak spróbuj, czy to aby na pewno twój smak.

Wiórki oraz **kora** służą głównie jako surowiec do produkcji ksylitolu, czyli cukru brzozowego. Można się nimi także pobawić w kuchni, np. lekko opalić i dorzucić do octu z sezonowych owoców (jak jabłka czy gruszki), aby oddały im kolor oraz głęboką goryczkę. Bardziej doświadczonym polecam podobne eksperymenty z ciemnymi piwami oraz marynatami do ciemnych warzyw (np. pieczonych buraków).

Podkorze było w dawnej Polsce składnikiem kryzysowej diety. Na przednówku gotowano je, krojono na cienkie niczym makaron paski i spożywano, żeby zaspokoić głód. (…)

Gwiazdnica pospolita

Uwielbiam to dzikie zioło, ponieważ w lesie można na nie natrafić przez cały rok. Na skraju leśnych dróżek rośnie gwiazdnica pospolita (*Stellaria media*). W Polsce występuje również inny gatunek jadalny – gwiazdnica wielkokwiatowa (*Stellaria holostea*), którą spotykałem na obrzeżach lasów zarówno iglastych, jak i liściastych.

Zielone części są w smaku bardzo świeże, o pięknym aromacie. Jeśli jesteś na pikniku lub biwaku i akurat wrzucasz ziemniaki do ogniska, wymieszaj twaróg z odrobiną soli i dosiekaj do niego gwiazdnicę – świeżą zieleninę dostępną nawet w środku zimy! Ponadto poleca się ją do zup, sosów, potrawek, zapiekanek ziemniaczanych i jajecznych potraw typu omlet czy jajecznica. Po prostu potraktuj ją jak szpinak. Jeśli tylko masz przy sobie nożyczki lub ostry nóż, pamiętaj, że gwiazdnicę lepiej przyciąć, niż wyrywać z korzeniami.

Kwiaty są jadalne, a do tego będą pięknie wyglądać na twojej kanapce w środku lasu.

Jałowiec pospolity

Jałowiec pospolity (*Juniperus communis*) rośnie powszechnie na terenie całej Polski, przede wszystkim w suchych borach. Nazwę zawdzięcza skromnym wymaganiom, niestraszna mu bowiem jałowa ziemia. Szyszkojagody, choć w dużych ilościach są trujące, na dobre zagościły w naszej kuchni jako przyprawa. Chronią je silnie kłujące igły, dlatego podczas zbierania owoców uzbrój się w cierpliwość, bo to żmudna i ciężka praca, i uważaj na palce!

Szyszkojagody warto zerwać przy okazji pikniku, uprażyć na patelni, a następnie posiekać i dorzucić do sosu albo ciężkostrawnych dań. Jeśli masz więcej czasu, zbierz ich więcej, a w domu wysusz i używaj jako przyprawy. Szyszkojagody mają na sobie lekki nalot – to

dzikie drożdże, które śmiało możesz wykorzystać jako starter do piwa jałowcowego albo oranżady podobnej do bałkańskiej smreki – napoju z owoców jałowca. Warto też wiedzieć, że prażone owoce służyły jako substytut kawy, choć zrobiony z nich napar smakuje co najmniej kontrowersyjnie.

Gałązki mają piękny aromat. Jeśli planujesz ognisko – nieważne, czy grillujesz ziemniaki, marchew, buraki czy kawałek mięsa – dorzuć ich kilka na koniec do ognia, lekko podpal, wyciągnij (co nie będzie trudne, bo świeży jałowiec zajmuje się powoli, ale intensywnie dymi) i zgaś. Lekki, przyjemny dym uwędzi twoje potrawy.

Lebiodka

Jeśli uwielbiasz włoskie oregano, koniecznie sięgnij po lebiodkę pospolitą (*Origanum vulgare*). Rośnie powszechnie na całym obszarze Polski. Często można ją spotkać w pasie górskim oraz na wyżynach. Dzięki olejkom eterycznym jej silny, przyjemny zapach na długo zapada w pamięć.

Kwiaty idealnie nadają się na składnik dzikich mieszanek przyprawowych. Zerwij je, ususz i schowaj na później. Jeśli jesteś na pikniku, dorzucaj ją śmiało do świeżych pomidorów, leczo i wszystkiego, co potrzebuje majeranku albo oregano.

Liście wydobędą najlepsze nuty z sosów pomidorowych i zup (szczególnie polecam dodać do żurku), a jesienią dobrze współgrają ze świeżymi grzybami. (…)

Ślaz

Przy leśnych drogach warto się rozejrzeć za ślazem. Nie przepada za mokrym podłożem. Jest rośliną wskaźnikową, jeśli chodzi o piaszczyste gleby, a to oznacza, że jest spora szansa, że spotkasz ją właśnie przy wejściu do lasu iglastego. W Polsce występuje aż w pięciu gatunkach, z których najpospolitsze są ślaz dziki (*Malva sylvestris*) i ślaz zaniedbany (*Malva neglecta*). Oba nadają się do zjedzenia zarówno na surowo, jak i po ugotowaniu.

eprasa.pl cecf2a93f3

Liście pokrój w julienne, czyli wąskie paski, a dobrze się sprawdzą jako dodatek do makaronów, kopytek i innych piknikowych dań. Większą porcję polecam wrzucić na średni ogień, lekko skropić oliwą, sokiem z cytryny i zajadać jako dodatek do dania albo na kawałku podpłomyka.

Kwiaty potraktuj jako jadalną dekorację, delikatną i piękną. Pasują do dań wytrawnych, zup, ale również deserów. Dobrze sprawdzają się w naparach i herbatach – szczególnie tych, które mają uprzyjemnić piknik.

Niedojrzałe owoce – kiedyś wrzuciłem na swój profil kilka fotografii owoców ślazu i dostałem sporo wiadomości od osób, które w dzieciństwie traktowały „chlebki" (faktycznie przypominają okrągłe bochenki) jako przekąskę.

Korzenie służą jako surowiec do produkcji popularnych marshmallows, które w Stanach Zjednoczonych tradycyjnie opala się nad ogniem. Co ciekawe, możesz zrobić sobie takie pianki w domu. Wywar z korzenia to dobry substytut białka w wegańskiej diecie.

Siedzuń sosnowy

„Kozia broda" – tak na tego grzyba mówiono w moim rodzinnym domu. (…) Nie zbieramy siedzunia z lasów jodłowych, świerkowych ani dębowych, gdyż w tych lasach jest pod ochroną. Rozejrzyj się, jakie drzewa rosną

dookoła. Kiedy już go zerwiesz, uzbrój się w cierpliwość, bo czeka cię dużo mycia, ale warto. No i nie pomyl go z objętą ochroną koralówką.

Cały grzyb wyglądem przypomina trochę flaki, więc może zainspirować do stworzenia ich wegańskiej wersji. Innym pomysłem jest wielki klasyk – jajecznica. Można go również podzielić na małe kawałki, dokładnie umyć i wysuszyć w piecu. Później wystarczy lekko go uprażyć w oleju, osuszyć, zamoczyć w czekoladzie, lekko przytrzymać, aby usunąć jej nadmiar, i posypać szczyptą soli z igieł sosnowych – i oto gotowy deser. Smażony na patelni również będzie smaczny, ale masz do czynienia z bardzo delikatnym grzybem, który łatwo się kruszy.

Jeżyna

Soczyste, niczym napompowane, niemal czarne owoce kuszą swoim widokiem w lesie. Nasuwa się przy tym jedno pytanie: czemu jedne są matowe, a drugie wprost przeciwnie? Odpowiedz jest prosta – bo to dwa różne gatunki. Owoce jeżyny fałdowanej (*Rubus plicatus*) są lśniące, natomiast jeżyny popielicy (*Rubus caesius*) wyglądają, jakby je pokrywał osad. Obydwa gatunki są jadalne. Jedne są słodsze, drugie przynoszą orzeźwienie podczas przechadzki w lesie.

Gałązki nadają się na napar i herbatę. Dorzuca się je również do octów, aby nadać im oryginalną nutę.

Młode liście warto zamarynować w zalewie octowej. Można je również zalać letnią wodą, a powstanie przyjemny napar. Poddane oksydacji, czyli – mówiąc prościej – sfermentowane, a później suszone, przypominają liście herbaty.

Owoce są pełne koloru i słodko-kwaśnego smaku – im wyżej na krzaku, tym dojrzalsze. Przyrządzone z nich dżemy, chutneye oraz konfitury to już klasyk. Na piknik zabierz słoik z jogurtem naturalnym, na miejscu dorzuć do niego garść świeżo zerwanych jeżyn oraz nieco pokruszonych herbatników, wymieszaj i deser gotowy! Większe zbiory zasyp solą w proporcjach 20 g soli na 1 kg jeżyn, a stworzysz fermentowany przysmak, którego smaku długo nie zapomnisz. Owoce idealnie nadają się nie tylko do gotowania, ale również do eksperymentowania za barem. Nastaw ocet z jeżyn i odrobiny buraka albo zalej je alkoholem z dzikimi kwiatami i używaj do wegańskich sosów demi glace. Wszystko brzmi świetnie, ale nie masz czasu na takie zabawy? Wrzuć jeżyny do zamrażarki i zostaw na lepsze dni.

Pieprznik jadalny

Są grzyby, które w pamięci mam od dziecka. Ich zapach, smak i kształt. Jednym z nich jest pieprznik jadalny (*Cantharellus cibarius*), czyli kurka. Swoje pierwsze okazy znalazłem dobre 20 lat temu pod świerkami w norweskim lesie. Było ich od groma, żółte plamki rozproszone pod igłami. Między czerwcem a październikiem szukaj ich pod liśćmi, w mchu albo we wrzosach. I uważaj, bo łatwo je pomylić z niejadalną lisówką pomarańczową.

Kapelusz z trzonkiem nadaje się do smażenia, gotowania, kiszenia oraz marynowania. Jeśli smażysz, to najlepiej szybko na oleju, na koniec dodaj łyżkę masła, sól i przyprawy. Będą wtedy jędrne i pyszne. Długo smażone robią się twarde i gorzkie. Można je również mrozić, ale później trzeba je zblanszować, bo nabierają goryczki. Jeśli lubisz się bawić w komponowanie nalewek, przyrządź jedną właśnie z pieprznika jadalnego. Na pikniku klasyczna jajecznica będzie najlepszym pomysłem.

Fragmenty książki Piotra Ciemnego *Leśne gotowanie. Chwasty od kuchni*, Znak Koncept, Kraków 2024

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cecf2a93f3

JOLKA

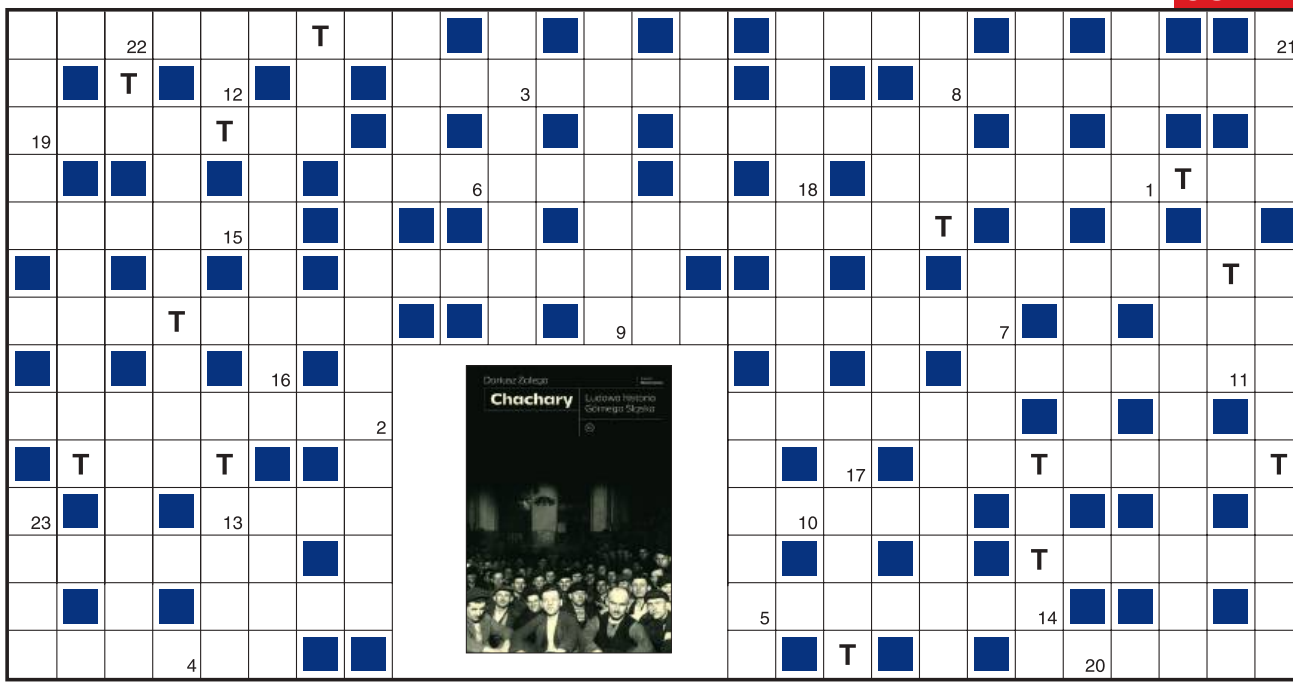

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13

14	15	16

17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- od wcięcia do wcięcia
- niemiecka sieć dyskontów
- gra trafionego strzałą tego poniżej
- rzymski bożek z łukiem
- wołowy lub z górki cielęcej
- doktryna społeczno-polityczna w RPA
- uczeń Jezusa, głosiciel chrześcijaństwa
- koszowy lub kurzenny dowódca
- człowiek wobec drugiego
- miasto z zamkiem nad Nysą Szaloną
- drapieżny chrząszcz strzel
- bóg stwórca w hinduizmie
- ich kuzynami bąki i bączki
- Tusk lub Trump
- stracenie skazańca, ściągnięcie długu
- ciekawski na miejscu wypadku
- zawieszany do leżenia
- książę kijowski zabity przez Drewlan
- po iksie, przed zet
- kontroluje lub prowadzi śledztwo
- skrzydlaty gołębiarz
- brunatny płyn do odkażania
- żąda okupu od rodziców
- zjednoczenie firm jednego właściciela
- melodia wygrywana przez zegar
- do utrwalania fryzury
- tybetański guru
- nielegalna robota
- najlżejszy pierwiastek stały
- ślad po zbyt namiętnym pocałunku
- de Sade, de Custine lub de Pombal
- zawieszana przez Żydów na framudze drzwi
- zna się na eksponowaniu zbiorów
- …od rzeczywistości niektórych dotyka
- między heptanem a nonanem
- vectra na szosie
- podobny do kilofa
- broń drzewcowa, dziś dla sportowca
- maluszek w gnieździe
- pauza, luka w czymś
- starotestamentowa pieśń religijna
- łowiecki, komorniczy, dzielnicowego
- taktyczne posunięcie w sporze lub brydżowa
- zadrapanie, szczelina
- rąbie tusze na kawałki
- gwiazdozbiór jak przyrząd nawigacyjny
- niemetal od greckiej nazwy Księżyca
- haftowana lub szydełkowa na stole
- tyle lat lub pociech
- kolor ciemnoczerwony
- puls, rytm
- kromka na ciepło
- nudne gadanie
- czasem zakłada się …na przód
- stroma ściana skalna
- „ogonowa” część konia
- zakręt rzeki
- po nim – potocznie bardzo duży
- maku, grochu lub piasku
- żaba lub jaszczurka

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1165”. Do rozlosowania książki „Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska” ufundowane przez Krytykę Polityczną. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 kwietnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1162” z nr. 13: *Logika serca ma swoje prawa.* Nagrody otrzymują: Krzysztof Kozakowski z Łaska, Grażyna Nowosielska z Wałbrzycha, Zofia Ziemiańska z Jastrzębia-Zdroju.

eprasa.pl cecf2a93f3

Scheda po PiS

A co, jeśli prezydent nie będzie chciał podpisywać nominacji ambasadorów wysuniętych przez ministra Sikorskiego? Na to pytanie możemy odpowiedzieć w ten sposób: będzie mniej więcej tak jak za PiS.

Oto jeden z przykładów. 1 stycznia 2015 r. ambasadorem we Francji został Andrzej Byrt, swego czasu wiceminister w MSZ. Poza tym Byrt kilka lat wcześniej był ambasadorem w Niemczech, znakomicie mu szło, zwłaszcza w kołach wielkiego biznesu, więc z poczuciem sukcesu wrócił do Polski. We Francji miał działać podobnie i może tak by było, gdyby nie zmiana władzy. Jesienią 2015 r. PiS wygrało wybory i po paru miesiącach Byrta odwołano do Warszawy. Zrobiono to w lipcu 2016 r., dając mu miesiąc na zamknięcie paryskich spraw. W środku wakacji.

W MSZ z ciekawością czekano, kogo PiS do Paryża wyśle. Spodziewano się, że kogoś ma, bo od przejęcia władzy minęło ponad pół roku, no i Byrta odwoływano ekspresowo. I co? Jego następca objął placówkę w… sierpniu 2017 r. Czyli 12 miesięcy nie mieliśmy w Paryżu ambasadora.

Pytano Witolda Waszczykowskiego, dlaczego tak długo tak ważna placówka była nieobsadzona. Na co minister odpowiadał: „Intensywnie poszukiwaliśmy właściwego kandydata", który – uwaga – „po 28 latach od transformacji mógłby być bez wstydu twarzą nowej Polski".

I cóż to była za twarz? Był to Tomasz Młynarski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który pracował w Katedrze Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej. I który na podstawie monografii „Francja w procesie uwspólnotowienia bezpieczeństwa energetycznego i polityki klimatycznej Unii Europejskiej" uzyskał tytuł doktora habilitowanego. Poza tym odbywał staże we Francji.

A jakie miał doświadczenie, jeśli chodzi o pracę w administracji? Na to Waszczykowski odpowiadał, że przyszły ambasador był m.in. pracownikiem Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego oraz dyrektorem gabinetu wojewody.

Wcześniej do Paryża wysyłaliśmy wiceministrów, a przynajmniej dobrego dyrektora departamentu. PiS wysłało dyrektora gabinetu wojewody.

Skończyło się to wszystko tak, jak musiało się skończyć. A w zasadzie dużo gorzej. Przy okazji Tomasz Młynarski pobił pewien rekord. Był bowiem oficjalnie odwoływany… cztery razy. Od kwietnia 2021 r. do marca 2022 r., kiedy do Polski zjechał.

Dodajmy, że były to oficjalne odwołania, z podpisem prezydenta, publikowane w „Monitorze Polskim". Oczywiście Francuzi o tym, że ambasador jest odwoływany, po czym jego pobyt zostaje przedłużony, doskonale wiedzieli. Przez ten rok mieliśmy zatem ambasadora i jakbyśmy go nie mieli.

Dodajmy jeszcze jedno – gdyby nie fakt, że trzeba było znaleźć zajęcie dla Jana Emeryka Rościszewskiego, odwołanego ze stanowiska prezesa zarządu PKO BP, to pewnie Młynarski byłby na paryskim wyjeździe jeszcze dłużej.

Tak więc, szanowny panie ministrze Sikorski, ma pan bardzo szeroki margines działania i niedziałania. PiS przetarło szlaki.

Attaché

PS Ale lepiej byłoby trzymać się pewnych standardów, więc jeśli żona dyrektora generalnego ma jechać do Londynu jako szefowa Instytutu Polskiego, to zgrzyta. A jeżeli on też ma jechać do Londynu, jako z kolei ambasador – to zgrzyta już bardzo głośno. Ale to plotki, prawda?

Podczas prac w wielkiej sali bankietowej w Pompejach odkryto nowe freski. Są jednymi z najlepiej zachowanych w mieście zniszczonym w 79 r. n.e. przez wybuch Wezuwiusza, zapewne więc powstały krótko przed erupcją. 11 kwietnia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cecf2a93f3

PENETRACJE

ZDANIE

PAWEŁ SĘKOWSKI,
REDAKTOR NACZELNY

Nasze czasopismo w dalszym ciągu stara się być ważnym głosem intelektualnej lewicy w Polsce, wykraczającym poza szeregi członkowskie Stowarzyszenia „Kuźnica" – właściciela tytułu. Chcemy pozostać istotnym czasopismem biorącym udział w dyskusjach wewnątrz polskiej lewicy, i szerzej: w polskim życiu intelektualnym, także w kolejnych latach. Oby jak najdłużej! Z okazji jubileuszu 200. numeru pisma przygotowaliśmy „Zdanie" nietypowe – złożone z 22 wybranych tekstów, które ukazały się na łamach czasopisma w latach 1982-2023, czyli w 199 dotychczasowych numerach. Są to artykuły, które uznaliśmy za szczególnie istotne w kilku aspektach. Po pierwsze, teksty te są ważne z punktu widzenia podejmowanej problematyki. Po drugie, staraliśmy się uwzględnić autorki i autorów, którzy stanowili o znaczeniu intelektualnym naszego pisma. Po trzecie, chcieliśmy wybranymi tekstami zaznaczyć wszystkie okresy w już 42-letniej historii „Zdania".

TYGODNIK POWSZECHNY

ZUZANNA RADZIK,
PUBLICYSTKA

Prokuratura zarzuca bp. Andrzejowi Jeżowi, że pomimo posiadania wiarygodnych informacji o przestępstwach pedofilskich, których mogli się dopuścić dwaj podlegli mu księża, zawiadomił organa ścigania zbyt późno. Zgodnie z prawem powinien zrobić to niezwłocznie. Czy biskup tarnowski będzie pierwszym duchownym tej rangi w Polsce, który odpowie przed sądem za domniemane krycie pedofilii? To precedensowe oskarżenie przypomina pozostałym polskim hierarchom, że w tego typu sprawach nie odpowiadają wyłącznie przed Watykanem i historią, bo ciąży na nich także odpowiedzialność karna. Niezawiadomienie zagrożone jest karą do trzech lat więzienia.

VIVA!

JOANNA DARK,
PIOSENKARKA

Bywało różnie. Dwa razy się pakowałam i wychodziłam z walizką. Marek (Dutkiewicz) nie dawał za wygraną i zawsze mnie zawracał. Był rozbisurmanionym mężczyzną z wieloma wcześniejszymi znajomościami, a ja pomyślałam, że skoro wróciłam, to: albo razem, albo osobno. Jestem dość kategoryczna. Nie podoba się, to do widzenia. To zawsze ja kończyłam moje związki, nikt ze mną nie zrywał. Poza tymi drobnymi kłótniami na początku, przez kolejne 30 lat nie mieliśmy żadnego trzęsienia ziemi. Uważam, że trudniej zbudować jeden długi związek niż trzy małżeństwa.

PANI

KATARZYNA WARNKE,
AKTORKA

W odkrywaniu kobiecości najbardziej pomógł mi Grzegorz Jarzyna. Myślę, że do swojego teatru przyjął mnie również ze względu na wygląd, bo dla niego estetyka zawsze była kluczowa. I to właśnie Grzegorz uświadomił mi, że uroda jest w mojej pracy istotnym narzędziem. Otworzył mnie tym, jak mnie traktował, jak obsadzał, jak oświetlał na scenie i ubierał (oczywiście pracował z nami cały zespół wspaniałych twórców). Dlatego kiedy wchodziłam w show-biznes, ta świadomość kobiecości już we mnie była. I pochodziła właśnie z pracy w teatrze.

FOT. MEMY GORSZEGO SORTU, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, POLSKA ORKA POLITYCZNA, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl cecf2a93f3

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

		R		

* połowa w lesie

				E	

* walczy między lipami

					Ę		

* dziatki przy działkach

ROZWIĄZANIA: SARNA, BOKSER, WNUCZĘTA

Aby język giętki…

PROF. ZBIGNIEW LEWICKI
O CELACH USA NA UKRAINIE

Mieli trzy cele: osłabienie Rosji, sprawdzenie, jaką bronią Rosja dysponuje, sprawdzenie własnej broni w warunkach bojowych. Te cele Amerykanie już osiągnęli.

KS. ADAM BONIECKI
O PAPIEŻU FRANCISZKU

U Franciszka to jest piękne, że rozpoczyna mnóstwo procesów, licząc, że poprowadzi je Duch Święty. Tak patrzy człowiek wierzący.

JERZY STUHR O PAMIĘCI

Jest strach, cholernie mocny strach, że pamięć zawiedzie na scenie. Dawniej tego nie miałem.

ROBERT JANOWSKI
O PROGRAMIE „JAKA TO MELODIA?"

Program był naturalny, przez 20 lat nikt nie napisał mi tekstu. Nigdy nie oszukiwałem, popełniałem błędy, przejęzyczałem się, to było ludzkie.

KATARZYNA DOWBOR O MĘŻCZYZNACH

Mężczyzna musi mi zaimponować intelektem. Ja się zakochuję w głowie, a nie w ciele.

KUBA WOJEWÓDZKI
O KRZYSZTOFIE STANOWSKIM

Nie obwiniajmy klauna, że zachowuje się jak klaun. Zadajmy sobie pytanie, dlaczego wciąż chodzimy do cyrku.

ANIA DĄBROWSKA O SOBIE

Jestem domatorką, która najchętniej chodziłaby cały dzień w piżamie, nieuczesana i nieumalowana.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl cecf2a93f3

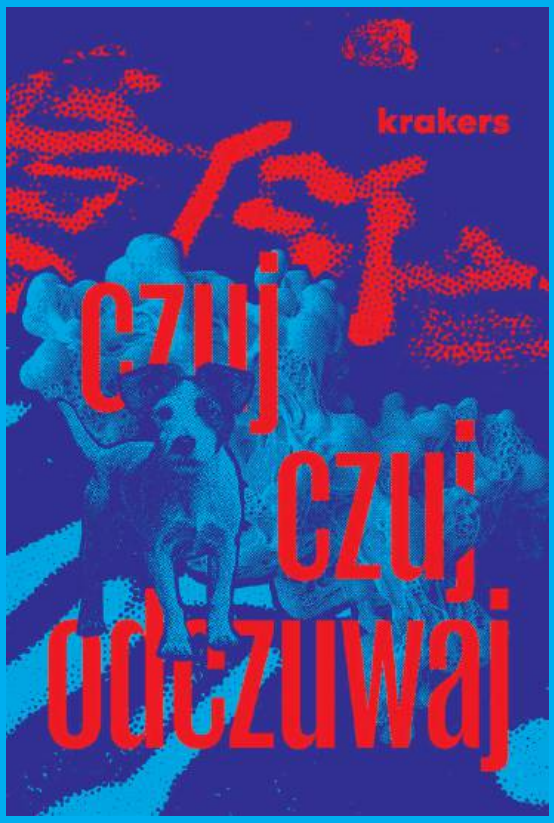

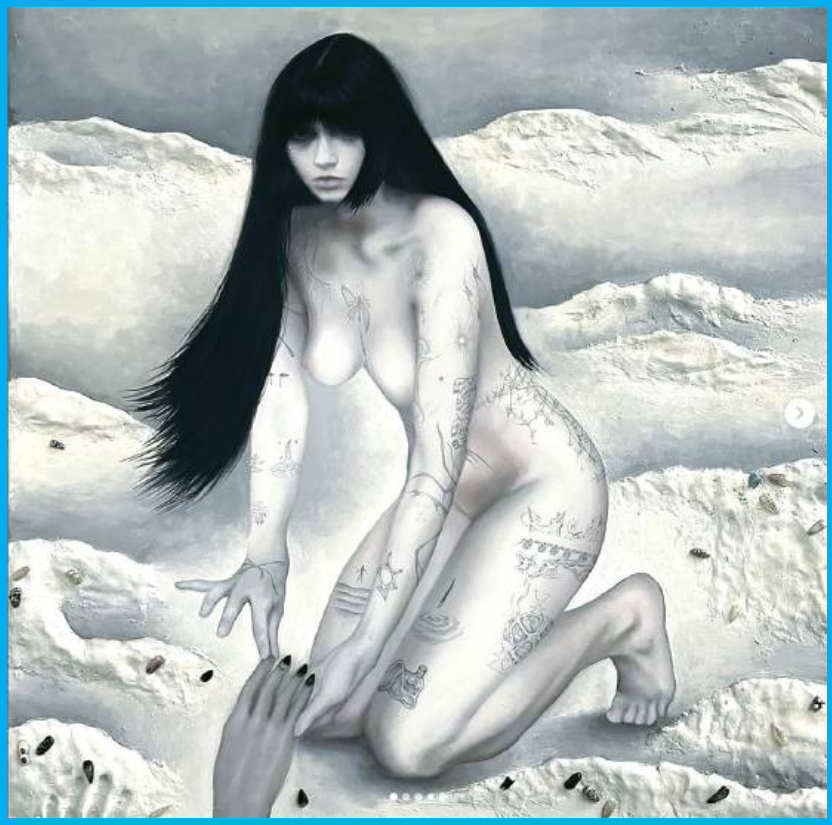

CZUJ, CZUJ, ODCZUWAJ

krakers
Cracow Art Week

19-26 kwietnia

patronat **PRZEGLĄDU**

Cracow Art Week powraca do krakowskich galerii sztuki i pracowni, a także, by zająć nietypowe przestrzenie publiczne i niepubliczne. Jego 13. edycja ma hasło „Czuj, czuj, odczuwaj". Jest ono trawestacją harcerskiego zawołania, ale to nie fraza wykrzyknikowa jak w pierwowzorze, lecz zachęta do zanurzenia się w sobie, pogłębienia odczuć oraz skupienia na emocjach. Współcześni artyści wychodzą poza problematykę sztuki, dbają o swój dobrostan i równowagę emocjonalną, korzystają z psychoterapii i dzięki temu są bardziej świadomi, pewni swoich celów. Dla osób biorących udział w Cracow Art Week istotne są również takie pojęcia i wartości jak opieka, troska, uważność. Program główny dostępny na stronie cracowartweek.pl obejmuje prawie 60 wydarzeń. W sekcji Miasto obecne są uznane galerie i miejsca z wieloletnią tradycją. Flagową częścią wydarzenia jest rozstrzygana w drodze konkursu sekcja Laboratorium.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, PATRYK OLCZYK

eprasa.pl cecf2a93f3

GAUMONT PRZEDSTAWIA

SSIFF

FESTIVAL DE CANNES
UN CERTAIN REGARD
SÉLECTION OFFICIELLE 2023

FFA 2023
COMPÉTITION OFFICIELLE

NADIA TERESZKIEWICZ BENOÎT MAGIMEL

ROSALIE

REŻYSERIA STÉPHANIE DI GIUSTO

BENJAMIN BIOLAY GUILLAUME GOUIX GUSTAVE KERVERN ANNA BIOLAY

SCÉNARIO, ADAPTATION DIALOGUES DE STÉPHANIE DI GIUSTO ET SANDRINE LE COUSTUMER PRODUIT PAR ALAIN ATTAL

D'APRÈS UN TRAITEMENT DE SANDRINE LE COUSTUMER ET ALEXANDRA ECHKENAZI LIBREMENT INSPIRÉ D'UNE HISTOIRE VRAIE MUSIQUE ORIGINALE HANIA RANI

AVEC LUCAS ENGLANDER SERGE BOZON EUGÈNE MARCUSE AVEC LA PARTICIPATION DE JULIETTE ARMANET DIRECTEUR DE LA PHOTOGRAPHIE CHRISTOS VOLIDOURIS DÉCORS LAURENT OTT ADC MONTAGE NASSIM GORDO-TEHRANI UN PIERRE MERTENS JULIEN GERBER THOMAS DESSOUQUÈRES ERIC CHEVALLIER DIRECTEUR DE CASTING PASCALE BÉRARD UNE ASSISTANTE RÉALISATRICE PASCALE JEANNIARD DÉCORS MADELINE FONTAINE AVEC LA PRODUCTION EXÉCUTIVE XAVIER AMBLARD DIRECTEUR DE PRODUCTION FRANÇOIS LAMOTTE DIRECTEUR DE POST-PRODUCTION NICOLAS MOUCHET SÉVERINE CAVA SUPERVISION MUSICALE EMMANUEL FEBRIER UNE COPRODUCTION TRÉSOR FILMS GAUMONT LAURENT GASSAULT BOND-POINT ARTÉMIS PRODUCTIONS AVEC LE SOUTIEN DE CANAL+ AVEC LA PARTICIPATION CINE+ EN COPRODUCTION AVEC SHELTER PROD EN ASSOCIATION AVEC TAXSHELTER.BE ET ING AVEC LE SOUTIEN DE TAX SHELTER DU GOUVERNEMENT FÉDÉRAL DE BELGIQUE AVEC LE SOUTIEN DE LA RÉGION BRETAGNE EN PARTENARIAT AVEC LE CNC EN ASSOCIATION AVEC COFINOVA 10 PALATINE ETOILE 20 CINE CAPA LA BANQUE POSTALE IMAGE 8 AVEC CADRE AU DÉVELOPPEMENT DE LA RÉGION GRAND EST ET DU DÉPARTEMENT DES VOSGES DÉVELOPPÉ AVEC LE SOUTIEN DE COFINOVA DÉVELOPPEMENT 8 DISTRIBUTION ET VENTES INTERNATIONALES

trésor CANAL+ CINE+ Gaumont

W KINACH OD 12 KWIETNIA

DIORAMA/LAURENT LUTRIT PHOTO: MARIE-CAMILLE ORLANDO

Dystrybucja w Polsce
www.galapagosfilms.pl

WP FILM|ORG|PL dla Lejdis.pl wysokieobcasy.pl GAZETA.PL Przegląd INSTITUT FRANÇAIS

eprasa.pl cecf2a93f3

rampa
TEATR
NA
TARGÓWKU

WIRUJĄCY SEKS

POLSKIE LOVE STORY

SPEKTAKL INSPIROWANY FENOMENEM FILMU DIRTY DANCING

SCENARIUSZ I REŻYSERIA **TADEUSZ KABICZ**

PREMIERA 20-21.04.2024

TEATR RAMPA NA TARGÓWKU, ul. Kołowa 20, Warszawa,
BIURO OBSŁUGI WIDZÓW tel.: +48 22 679 89 76, +48 573 801 004,
SPRZEDAŻ BILETÓW ONLINE: bilety.teatr-rampa.pl oraz www.ebilet.pl, www.kicket.com
teatr-rampa.pl

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

PATRONI MEDIALNI: GAZETA.PL Przegląd KOBIETA•PL party polki.pl

eprasa.pl cecf2a93f3